Team Trumpa ▪ Ukraina: tysiąc dni wojny ▪ „Konklawe”: przepis na papieża
Dzieci świadków Jehowy ▪ Co kręci Jana Holoubka ▪ Ptaki uczą się miasta

Kraków 20 – 26 listopada 2024 nr 47 (3933) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

PO BURZY WOKÓŁ ROZMOWY OLEJNIK–SIKORSKI

MIRIAM SYNGER: Jak być Żydówką w Polsce

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Subskrybuj Tygodnik i odblokuj dostęp do nauki medytacji

KURS AUDIO

SZLAKI DUCHOWOŚCI POWSZECHNEJ

NAUKA MEDYTACJI

Jak zacząć medytować w domu? Zapraszamy na kurs medytacji inspirowanej mądrością chrześcijaństwa i innych tradycji duchowych ludzkości. Prowadzi go **PIOTR SIKORA** – filozof, publicysta „Tygodnika" i nauczyciel medytacji.

Tematy najnowszych części:

- **ODPOWIEDZIALNOŚĆ BEZ OBWINIANIA SIĘ**
- **WOLNOŚĆ OD GNIEWU**
- **ŻYCZLIWOŚĆ DLA SIEBIE**
- **WARTOŚĆ SAMA W SOBIE**
- **ROZPOZNAJ SWOJE MOTYWY**
- **POWRÓT DO CIAŁA**

Opinie odbiorców:

Po raz pierwszy udała mi się taka praktyka KINGA K.

Bardzo ciekawie poprowadzona medytacja KATARZYNA Z.

Jako szybka praktyka w ciągu dnia czy przed rozważaniem – idealnie. Dziękuję ANONIMOWY KOMENTARZ

Wspaniałe ćwiczenie, dziękuję! Czekałam na nie i na takie spotkanie ze sobą moderowane przez Piotra Sikorę KAMMELIE

Najnowsze części dostępne tylko dla subskrybentek i subskrybentów Tygodnika. Wejdź na szlak pod adresem tygodnikpowszechny.pl/szlak

SUMIT SAHARKAR / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Konklawe przyszłości*

O filmie „Konklawe” w reżyserii Edwarda Bergera według książki Roberta Harrisa nie będę pisał – lepiej robi to Edward Augustyn w tym numerze. Jak zauważa, trudno o lepszy temat dla filmu niż procedura, która w Kościele rusza po śmierci papieży: wręcz nieziemska, a zarazem jakże bardzo ziemska.

O wyborach papieża jedna uwaga historyczna: zasadę, że papieża wybierają kardynałowie, wprowadził Mikołaj II w 1059 r. Od świata zewnętrznego zaczęto ich odcinać (słowo *conclave* oznacza zamknięte pomieszczenie) od II Soboru Lyońskiego w 1274 r. Potem wprowadzano kolejne przepisy. Mniejsza o nie. Nie chcę pisać o filmie ani o historii, lecz o tym, co przyniesie konklawe przyszłości.

To ryzykowne. Byłem świadkiem, jak pewien afrykański biskup dał się podpuścić na wypowiedź o następcy ówczesnego papieża. Po czym tak się zmieszał, że nie było już z nim dalszej rozmowy. Trudno. Pisząc o dylematach przyszłego papieża, raczej oddaję się spekulacji niż zajmuję się konkretnym człowiekiem.

Myślę o następcy Franciszka (po jego oby jak najdłuższym życiu). Z tym papiestwem łączy się niebywała czystka w Kościele. Czegoś takiego nie było nigdy. Dokonuje się na naszych oczach usuwanie ze stanowisk – wysokich czy niskich – ludzi, którzy nie sprostali kapłańskiej misji czy kapłańskiej czystości. Proces ten z jednej strony usuwa ludzi z miejsc, do których wymogów nie dorastali, z drugiej strony nie bardzo jest kogo na te miejsca wstawić. I tak jak nie da się zaprzeczyć słuszności papieskich decyzji, tak trudno wyobrazić sobie przyszły świat bez księży. Żyjemy więc prawdopodobnie w epoce zmiany stylu duszpasterstwa. Nie będzie tylu księży, a ci, którzy będą, staną wobec całkiem innego niż dziś sposobu działania. Doświadczenie krajów, które już weszły w ten etap, może się okazać bezcenne.

Może sposobem zaradzenia niedostatkom personelu będzie zniesienie celibatu. Celibat księży wprowadził Kościół i nie we wszystkich rytach jest on obowiązkowy. Dziś dla wielu rzymskich katolików celibat duchownych wciąż jest wartością ważną, acz jedni mówią o nim jako o wartości duchowej, drudzy twierdzą, że istotą celibatu jest to, iż w przeciwnym wypadku Kościół musiałby wziąć odpowiedzialność, także materialną, za rodziny księży. Czy to – powtórzmy, wprowadzone przez Kościół – rozwiązanie, przy malejącej liczbie powołań, się uchowa?

Powracamy może do czasów, w których kler był nieliczny. Chcąc nie chcąc, przeprowadzamy rewizję obowiązków księży. Nie dezaktualizują się nigdy obowiązki apostołów wiary, obowiązki świadków miłości miłosiernej, obowiązki obecności bliskiej ludziom. I oczywiście talenty każdego księdza, który swoją pomysłowością, inicjatywą odpowiada na jakieś zapotrzebowania środowiska, w którym się znalazł. Zawsze jako świadek wiary. Nie odgrywający rolę świadka, ale będący nim naprawdę, aż do płacenia własnym życiem.

Każde czasy zaskakują. Zaskakują nas ludzie. Zaskakują albo wspaniałymi reakcjami na potrzeby bliźnich, albo egoizmem i zamknięciem się na innych. Taki jest świat, w którym – tak, tak – mamy głosić Ewangelię. Myślę, że ostatecznie nie chodzi nawet o głoszenie Pana Jezusa Chrystusa, ale o głoszenie dobrej nowiny, którą przyniósł.

Czas, w którym żyjemy, jest czasem prawdy. Spadają zasłony z naszych oczu, wyrzucamy precz rzeczy, któreśmy cenili, czujemy się oszukani i nikomu już więcej nie wierzymy. Nie przychodzi nam do głowy, że może gdzieś jeszcze, przykryta różnymi śmieciami, prawda jest i nas wyzwoli. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

Kapitulacja wobec zmian klimatu?

- Ameryka pod przywództwem Donalda Trumpa wkrótce wycofa się zapewne z porozumienia paryskiego
- Szczyt klimatyczny w Baku to klęska, a Europa nie wie, co dalej
- Walka z klimatyczną katastrofą dotarła na krawędź przepaści
- Czy mamy szansę uniknąć czarnego scenariusza? – piszą Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński

A TAKŻE PIERWSZA Z CYKLU ROZMÓW NA ADWENT: Z MAŁGORZATĄ LEBDĄ O MIŁOŚCI ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kilkanaście ostatnich sekund telewizyjnego wywiadu Moniki Olejnik z Radosławem Sikorskim, jednym z kandydatów KO w prawyborach prezydenckich, sprawiło, że wywróciliśmy na nice pierwotną rozpiskę tego numeru, a **MICHAŁ OKOŃSKI** siadł do pisania Tematu Tygodnika poświęconego słowu na „ż". Okazuje się, że z jednej strony niewielką drogę wykonaliśmy od legendarnego tekstu **JANA BŁOŃSKIEGO** „Biedni Polacy patrzą na getto" sprzed 37 lat. Z drugiej – sporo się zmieniło, i z „antysemityzmu bez Żydów" wbiliśmy na level „antysemityzmu... bez antysemitów".

Żydzi, „nawet nieobecni, pozostają kluczowym elementem tożsamości polskiej jako definiujący ją i dopełniający obcy". Polski rasizm, stereotypy antyukraińskie czy antymuzułmańskie, są budowane m.in. przez złożenie w nową całość starych kodów antysemityzmu – przypomina Okoński za raportem wydanym przez Muzeum POLIN. O relacjach z Żydami nie potrafimy rozmawiać spokojnie, bo – świadomie czy nieświadomie – boimy się oskarżeń.

Jakich? To wyjaśnia rozmówczyni **KAROLINY PRZEWROCKIEJ-ADERET**, influencerka, socjolożka i edukatorka **MIRIAM SYNGER**: „Jeżeli w Polsce chcesz kogoś zdyskredytować, to mówisz, że jest a) Żydem, b) antysemitą. Żyd umiejętnie zastosowany w gierce politycznej czy dziennikarskiej może wiele zdziałać". W dodatku za polski antysemityzm wsunęło się nowe tło – obecnej wojny na Bliskim Wschodzie i koszmaru ludności cywilnej Gazy, bombardowanej od ponad roku przez siły zbrojne Izraela. Za decyzje tamtejszych polityków i wojskowych obrywają – na razie w internetowych komentarzach, nie na ulicach, jak to zdarza się na Zachodzie – nieliczni polscy Żydzi, nawet jeśli wprost popierają państwowe dążenia Palestyńczyków i potępiają Netanjahu.

„Najtrudniejszą formą niechęci jest wrzucanie wszystkich Żydów do jednego worka. Jeżeli jakiś Żyd coś powiedział lub jakoś się zachował, to na pewno ja myślę tak samo i z pewnością zachowałabym się identycznie. To mocno dehumanizuje" – mówi Synger.

„Co z tego, że jesteś Żydówką?" – pyta nasza dziennikarka, cytując krytyczny wpis jakiegoś instagramowego obserwatora. Synger odpowiada: „A nic. Bo jakie to ma znaczenie?". ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni" o początkach chrześcijaństwa.

32 Kici, kici, miau, miau
ŁUKASZ GAMROT
Dzieci śmieją się z Anety, bo nie umiała przeczytać prostego wersetu. Nie idzie też na głoszenie. Jej ojciec jest wykluczony, więc rodzice mówią, że zaraziła się słabą wiarą.

49 Żółte naszywki z najwyższej pryczy
BARTOSZ RUMIEŃCZYK
W rodzinnym białoruskim Mozyrzu Krystsina Charankova, zwana Kitą, była dekoratorką ślubów. A także członkinią subkultury lewicowych skinheadów.

64 Głębia szarości
ROZMOWA Z JANEM HOLOUBKIEM, REŻYSEREM:
Zawsze bliżej było mi do postawy ojca, który skupiał się na przyszłości. Teraz myślę, że wdałem się jednak w dziadka zapatrzonego w przeszłość.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // ARCHIWUM PRYWATNE // ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Ukraina, dzień tysięczny
WOJCIECH PIĘCIAK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Polska w oku cyklonu
OLAF OSICA: *Polska jest silnym filarem Unii i oparciem dla NATO*

24 W imię dobra wspólnego
PIOTR SOŁOWIJ *o ustawie o ochronie sygnalistów*

27 Co ludzie powiedzą
JAKUB WOJTASZCZYK: *Coming out dziecka to wywrócenie do góry nogami wielu marzeń i wyobrażeń rodziców*

30 Tygodnik Czytelników

■ ■ WIARA

32 Kici, kici, miau, miau
ŁUKASZ GAMROT

37 Ewangelia księży nazistów
JÓZEF MAJEWSKI *o duchownych wspierających Hitlera*

38 Fikcja nie dogoni rzeczywistości
EDWARD AUGUSTYN *ogląda film „Konklawe”*

■ ■ ŚWIAT

42 Chińska marchewka i kij
WOJCIECH KONOŃCZUK Z CHIN: *Pekin postrzega Rosję jako niezbędny zasób w konfrontacji z USA*

45 Zakotwiczamy NATO w Polsce
ROZMOWA Z JUSTYNĄ GOTKOWSKĄ: *W obozie Republikanów Polska cieszy się opinią sojusznika, na którym można polegać*

TEMAT TYGODNIKA

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

12 Słowo na „Ż”
MICHAŁ OKOŃSKI
Czy pochodzenie żony szefa MSZ to faktycznie „hak”? I co właściwie mówi o nas ów dziwaczny eufemizm „pochodzenie”?

16 Pochodzenie nie ma znaczenia
ROZMOWA Z MIRIAM SYNGER, SOCJOLOŻKĄ I EDUKATORKĄ:
Czuję się w Polsce bezpiecznie, ale wiem, że to się może skończyć.

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **58** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MIRIAM SYNGER, KRAKÓW
FOT.: EDYTA DUFAJ

46 Ekipa Trumpa
ROZMOWA Z JOHNEM E. HERBSTEM, B. AMBASADOREM USA W UKRAINIE: *Kandydat na sekretarza stanu Marco Rubio i przyszły doradca ds. bezpieczeństwa Mike Waltz rozumieją, że ambicje Putina są zagrożeniem także dla USA*

49 Żółte naszywki z najwyższej pryczy
BARTOSZ RUMIEŃCZYK

■ ■ HISTORIA

54 Berlińska walka o pamięć
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA *relacjonuje spór o „polski pomnik”*

■ ■ NAUKA

60 Ćwierkam z miasta
MARIUSZ GOGÓL: *Miejskie ptaki ewoluują na naszych oczach. Stają się mniejsze niż wiejscy krewniacy i zmieniają dietę*

■ ■ KULTURA

64 Głębia szarości
ROZMOWA Z JANEM HOLOUBKIEM, REŻYSEREM

68 Arytmetyka i pamięć
TOMASZ FIAŁKOWSKI *o nowej książce Hanny Krall*

70 Człowiek z podziemia
JAKUB MAJMUREK: *Serial „Pingwin” pokazuje nam świat, w którym zachwycona sobą elita wzięła wiele więcej, niż społeczność była w stanie zaakceptować*

74 Wielka draka
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Anora” Seana Bakera*

75 Mędrzec
LEKTOR *o „Fraszkach” Stanisława Jerzego Leca*

■ ■ ZMYSŁY

78 Co jest w pudełku
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Pod względem prawnym nic nie należy już do nas, nawet jeśli nabywamy to „na własność” w cyfrowych sklepach*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ... ... NA STRONIE 63

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

DZIEŃ TYSIĘCZNY

Maria-Krystyna już na zawsze będzie mieć swoje 32 lata.

Gdy 24 lutego 2022 r. Rosja zaczęła inwazję, Maria-Krystyna rzuciła się ratować zwierzęta. Zawoziła karmę do wyludnionych wsi, gdzie żyją gromady porzuconych psów i kotów. Zabierała je, by miały nowy dom. Potem zaczęła ratować ludzi: zgłosiła się do jednostki medycznej „Hospitaliery" („Szpitalnicy") i została sanitariuszką. Przybrała odzwierzęcy pseudonim „Alpaka" – tu każdy ma pseudonim, to pozostałość z czasu wojny w Donbasie

„Hospitaliery" są ochotnikami; jednostka powstała jeszcze w 2014 r., gdy Rosja zaczęła działania wojenne na wschodniej Ukrainie (początkowo maskowane jako „powstanie ludu Donbasu"). W minionej dekadzie jej członkowie mieli w swoich rękach życie 25 tys. ludzi (większość przez ostatnie trzy lata), opatrując ich i ewakuując na tyły. Cena to 37 zabitych i 225 rannych „Szpitalników".

Wśród nich jest Maria-Krystyna Dwojnik: zginęła, ewakuując rannych, w środę 13 listopada. „Kochała to, co robiła. Miała swoje plany, marzenia. Rosjanie odebrali jej życie" – napisała jej komendantka (kobiety są dobrymi duchami i liderkami „Hospitalierów").

PRZERWANE ŻYCIE Marii-Krystyny to epizod tej wojny. Jeden z niezliczonych, z jakich kiedyś składany będzie jej obraz, jej monografia (gdy przyjdzie czas, by ją pisać). W ciągu tysiąca dni inwazji – dzień tysięczny to wtorek 19 listopada – Rosjanie odebrali życie być może stu kilkudziesięciu tysiącom ukraińskich żołnierzy, mężczyzn i kobiet, a także kilkudziesięciu tysiącom cywilów.

Pomimo ofiar ludzkich i zniszczeń materialnych (najnowszy akapit w tym rozdziale wojennej monografii Rosja napisała rankiem 17 listopada, wypuszczając 120 rakiet wymierzonych w ukraińską energetykę) – opór militarny i społeczny trwa. Choć wtedy, tysiąc dni temu, powszechna była opinia, że zorganizowana obrona potrwa parę tygodni, a potem pozostanie to, co tak znamy z polskiej historii: dalsza walka w podziemiu, w partyzantce.

Jeśli podczas rozmów pokojowych Ukraina otrzymałaby gwarancję, iż zachowa niepodległość i może sama wybrać swoją drogę, to większość społeczeństwa zaakceptowałaby utratę ziem, które zagrabiła Rosja.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Wieczorem 17 listopada rosyjska rakieta uderzyła w wieżowiec w mieście Sumy; zginęło 11 mieszkańców (w tym dwoje dzieci), 68 zostało rannych (w tym 10 dzieci).

GDY MÓWIMY dziś o dniu tysięcznym: ta liczba nie powinna przesłonić faktu, iż agresja Rosji nie zaczęła się 24 lutego 2022 r. Punktem wyjścia dla obecnej „wojny egzystencjalnej" (wojny o istnienie niepodległego państwa i narodu z własną tożsamością) były wydarzenia sprzed 11 lat.

Wtedy, w listopadzie 2013 r., ludzie wyszli na kijowski Majdan, żądając prawa do wyboru własnej drogi: ku Europie, jej instytucjom i wartościom. W lutym 2014 r. protesty przerodziły się w rewolucję. Kilka miesięcy później uzyskała ona legitymizację suwerena – została potwierdzona w wyborach prezydenckich i parlamentarnych (uzyskując w nich większość nawet na wschodzie kraju).

Właśnie wtedy Ukraina zaczęła być wyzwaniem dla Putina. Nie dla Rosji, lecz Putina i jego totalitarnego systemu. Bo Ukraina, która idzie własną drogą, mogłaby stać się zachętą i dla Rosjan: że oni też mogą wybrać, jak chcą żyć. Nie chodziło o żadne NATO „szczekające u bram Rosji". Putin nie chciał pozwolić, by ukraiński eksperyment udał się na poziomie wartości (wolność, demokracja) i praktyki (spokojne, dostatnie życie).

ARCHIWUM PRYWATNE

Maria-Krystyna Dwojnik zginęła, ewakuując rannych, w środę 13 listopada

TO, CO STAŁO SIĘ w ciągu kolejnych ośmiu lat (2014-21) – zabór Krymu, wojna gorąca w Donbasie i hybrydowa przeciw całej Ukrainie, destabilizująca system polityczny i gospodarkę – miało skłonić Ukraińców, by poniechali tej drogi, a Zachód, by przestał pomagać (choć była to wtedy pomoc boleśnie skromna – wielu na Zachodzie nie było świadomych, o co idzie gra).

Ponieważ przez osiem lat strategia ta okazała się nieskuteczna, w grudniu 2021 r. Putin postawił ultimatum Ukrainie, a także Europie Środkowej, USA i NATO. Gdy nic nie uzyskał, 24 lutego 2022 r. „fajką na mapie strzałki ruszył" (przywołując fragment o Stalinie z songu „17 września" Jacka Kaczmarskiego). Jego żołnierze wieźli ze sobą policyjne pałki i tarcze (widziałem je w muzeum tej wojny, które powstaje na poligonie pod Kijowem). Rosyjscy dowódcy sądzili, że w kilka dni ukraińska armia się rozpadnie i głównym problemem będą uliczne protesty.

MIJA TYSIĄC DNI oporu i cierpienia, i znów jesteśmy w punkcie zwrotnym. Po wygranej Trumpa powszechny jest pogląd, że prędzej lub później dojdzie do rozmów. Kto z kim, na jakich warunkach? Wszystko jest otwarte. Na razie minister Ławrow przypomina, że cele Rosji z grudnia 2021 r. są aktualne. Jej armia zaś tworzy fakty: na lądzie (na wschodzie do granicy z Dniepropietrowszczyzną zostało jej 7-8 km) i w powietrzu (terroryzując ludzi i niszcząc kraj). Decyzja Bidena, który właśnie dał zgodę na użycie przez Ukraińców zachodnich rakiet przeciw celom w Rosji, ułatwi obronę przed tym rosyjskim terrorem, ale nie zmieni sytuacji na poziomie strategicznym.

Z rozmów z ukraińskimi przyjaciółmi można wnioskować, że jeśli w efekcie tych negocjacji Ukraina otrzyma gwarancję, iż zachowa niepodległość i będzie mogła sama wybierać swoją drogę, to większość społeczeństwa zaakceptuje nawet utratę tej jednej piątej kraju, którą Rosja zagrabiła od 2014 r. do dziś. Gwarancje musiałyby być jednak uwiarygodnione, być może obecnością zachodnich wojsk na linii demarkacyjnej.

Jak by się takie rozmowy nie skończyły: one mogą określić przyszłość nie tylko Ukrainy, lecz także Europy i NATO. Również dlatego warto nastawiać się już – także w Polsce – na działania nieszablonowe i ryzykowne. Udział w nich będzie w naszym własnym interesie. ©℗

KATERYNA GLADENKO / SUSPILNE UKRAINE / GETTY IMAGES

Gra o przestrzeń

PIOTR ŚMIŁOWICZ

W MINIONYM TYGODNIU ZDARZYŁY SIĘ DWIE RZECZY, które mogą mieć wpływ na wynik zbliżających się wyborów prezydenckich. Koalicja Obywatelska podjęła decyzję o terminie przeprowadzenia prawyborów, a marszałek Sejmu Szymon Hołownia ogłosił już oficjalnie swoje prezydenckie aspiracje, przedstawiając się jako kandydat „niezależny".

KO ma przeprowadzić prawybory już w najbliższy piątek 22 listopada. Trochę to może dziwić, bo „deadline" mija dopiero 7 grudnia. Dziwne jest więc, że szefowie KO nie zdecydowali się wykorzystać całego możliwego czasu na wewnętrzną kampanię i nie postanowili, że prawybory odbędą się przykładowo na przełomie listopada i grudnia. Wiadomo, że w aktualnej rywalizacji kandydatem goniącym jest Radosław Sikorski, Rafał Trzaskowski zaś broni pozycji lidera i oczywistego dla wielu kandydata. W takiej sytuacji czas gra zawsze na korzyść goniącego. Podejmując zatem decyzje w sprawie takiego, a nie innego terminu prawyborów, kierownictwo KO zdecydowało się podać pomocną dłoń prezydentowi Warszawy.

Z tego z kolei powinien cieszyć się Szymon Hołownia. Ewentualna wygrana Rafała Trzaskowskiego w prawyborach może być dla marszałka korzystna, bo stwarza więcej politycznego pola dla kandydata odwołującego się do wartości konserwatywnych. Tak jak ewentualna wygrana Sikorskiego powiększałaby przestrzeń dla kandydatki lub kandydata lewicy.

Notowania Hołowni nie są zbyt dobre, ale to nie jest akurat zła okoliczność, bo wraz z kampanią może on tylko zyskiwać.

A jeśli tak się stanie, może zacząć działać efekt kuli śniegowej. Ciekawe jest też często krytykowane hasło „kandydat niezależny".

Uwikłanie głowy państwa w politykę partyjną jest jedną ze słabości polskiej prezydentury. Mamy z tym do czynienia od roku 1995, odkąd urzędują prezydenci, których formacje polityczne albo rządzą, albo są główną siłą opozycyjną. Powoduje to, że prezydenci muszą sprawować urząd, zwracając uwagę na interes własnej formacji.

Polsce 2050 raczej nie grozi, że stanie się ugrupowaniem w pełni rządzącym, więc Hołownia może być pierwszym od Lecha Wałęsy prezydentem rzeczywiście niezależnym. Mądre wytłumaczenie tego argumentu może marszałkowi Sejmu pomóc w kampanii, jeśli część elektoratu okaże się zmęczona prezydentami partyjnymi. Być może więc marszałek Sejmu nie jest na całkowicie straconej pozycji. ©℗

Platforma płaci słono za Sutryka

MAREK KĘSKRAWIEC

Bohaterem został trochę z przypadku, ale jego kariera wiele mówi o polskiej polityce. Jacek Sutryk (na zdjęciu) zyskał w ostatnich wyborach samorządowych poparcie Platformy Obywatelskiej tylko dlatego, że jej własny kandydat nie miał szans na zwycięstwo – tymczasem partia chciała zachować wpływ na władzę we Wrocławiu, uznawanym za jej matecznik. Sutryka poparły tuzy w rodzaju Tomasza Siemoniaka i Grzegorza Schetyny, a w końcu także Donald Tusk, który choć asekuracyjnie nadmienił, że Sutryk „ma wpadki, bez dwóch zdań", to uznał, że powinien otrzymać drugą szansę.

JAREK PRASZKIEWICZ / PAP

Premier zrobił tak mimo głośnych ostrzeżeń poprzedniego włodarza Wrocławia, Rafała Dutkiewicza. Przez 16 lat rządził on miastem z poparciem PO, a na koniec sam wskazał Sutryka, dyrektora w magistracie, jako swego następcę. Pięć lat później serdecznie już za to przepraszał, dodając, że „król jest absolutnie nagi". Powodem była afera w Collegium Humanum, która w skrócie polegała na tym, że uczelnia oferowała ludziom władzy ekspresowe studia podyplomowe MBA (niejednokrotnie niemal fikcyjne, bez konieczności zdawania egzaminów), które pozwalały obejmować dobrze płatne funkcje w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa – bez zdawania trudnego państwowego testu.

Możliwość taką dało prawo zmienione przez PiS w 2017 r., ale z systemu korzystali politycy zarówno ówczesnej władzy (niektórzy, jak Ryszard Czarnecki i Karol Karski, mieli też za pieniądze lobbować w sprawie zagranicznych filii uczelni), jak też armia wrocławskich urzędników. Na czele z Jackiem Sutrykiem, który właśnie usłyszał zarzut wręczenia łapówki rektorowi uczelni oraz wyłudzenia 230 tys. zł. Na tę sumę złożyły się zyski z posad uzyskanych dzięki nielegalnie zdobytemu dyplomowi MBA.

Efekt pazerności PO na władzę jest taki, że dziś już nie da się afery Collegium Humanum przypisywać tylko PiS. To raczej systemowy skok polityków na kasę. Miejmy nadzieję, że prokuratura pójdzie za tym śladem. Będzie to uczciwe wobec tych, którzy zdobyli uczciwie dyplom i wiedzę. ©℗

NA PUNKTY

ZARZĄDY I RADY
Przegrani samorządowcy, krewni polityków, zasłużeni działacze z terenu – Onet opisał, jak zarządy i rady nadzorcze spółek z grupy PKP opanowali ludzie PSL związani z ministrem infrastruktury Dariuszem Klimczakiem.

NORMY I REGULACJE
Sekretarką Pawła Moskalewicza, wicedyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej ds. TVP Info, została jego była partnerka – ujawnił dziennikarz Piotr Krysiak. „Przyznaję, że zawiodła mnie prawidłowa ocena sytuacji" – uznał Moskalewicz, a TVP orzekła, że doszło do „naruszenia norm etycznych", choć nie do „złamania wewnętrznych regulacji Spółki".

KOGUTY I ZDJĘCIA
„Super Express" dotarł do zdjęć, na których widać nieuprzywilejowane samochody Ministerstwa Klimatu i Środowiska jadące z włączonymi „kogutami".

PIŁKARZE I SELFIE
Cała Polska widziała za to kapitana reprezentacji Piotra Zielińskiego, który po sromotnie przegranym meczu z Portugalią zrobił sobie selfie z Ronaldo. ©℗

Dymisja po ujawnieniu skandalu

MACIEJ MÜLLER

Justin Welby, arcybiskup Canterbury i zwierzchnik Kościoła anglikańskiego, ogłosił, że ustępuje z urzędu. Po kilku dniach wahania zdecydował się wziąć odpowiedzialność za sprawy ujawnione w niezależnym śledztwie Keitha Makina. Dotyczy ono Johna Smytha, prawnika, wychowawcy i kaznodziei, który przez pięć dekad dopuścił się przynajmniej 115 przestępstw polegających na biciu i wykorzystywaniu seksualnym chłopców. Jego czyny były tuszowane, co umożliwiło Smythowi wyjazd z kraju w 1984 r. i kontynuację procederu w Zimbabwe i RPA. Do śmierci w 2018 r. pozostał bezkarny.

Cytowane świadectwa ofiar są wstrząsające: „Moje pośladki krwawiły od bicia. Musiałem przez kilka dni nosić pieluchy". „Pamiętam, że myślałem: »on chce mnie zabić«". Do aktów przemocy i nadużyć seksualnych – Smyth m.in. zmuszał do wspólnych z nim kąpieli – dochodziło głównie na letnich obozach, których był organizatorem.

W 1982 r. powstał na temat czynów Smytha wewnętrzny raport kościelny, jednak prominentnym działaczom udało się utrzymać go w tajemnicy. Welby miał dowiedzieć się o sprawie w 2013 r., po objęciu stanowiska. W oświadczeniu kaja się: „osobiście nie zadbałem o to, by po ujawnieniu w 2013 r. ta straszna tragedia została energicznie zbadana". Raport Makina wskazuje jednak, że Welby musiał być świadom działalności Smytha znacznie wcześniej – był np. wychowawcą podczas jednego ze wspomnianych obozów.

Tuszowanie przestępstw seksualnych w Kościołach jest zjawiskiem swego rodzaju „ekumenicznym" i dochodzi do niego bez względu na kształt struktur. Na początku roku ukazał się raport nt. molestowania w niemieckim Kościele ewangelickim. Mechanizmy tuszowania w Kościele katolickim znamy choćby z filmów braci Sekielskich. Jak widać, również w rzeczywistości Kościoła anglikańskiego przestępcy znajdowali sprzymierzeńców kryjących ich „dla dobra Ewangelii". ©℗

Fiskus na Bookingu

MAREK RABIJ

Urzędy skarbowe w całej Polsce przystąpiły do weryfikacji deklaracji podatkowych osób wynajmujących mieszkania. Fiskus sprawdza, kto oferuje lokal na wynajem krótkoterminowy za pośrednictwem internetowych platform rezerwacyjnych. To przygotowanie do skarbowej ofensywy, która ruszy od nowego roku.

Obowiązek przekazywania organom skarbowym danych osób parających się takim wynajmem narzuciła platformom typu Booking czy AirBnB dyrektywa unijna DAC7, która w Polsce obowiązuje od lipca br. Pierwsze raporty trafią do skarbówek w styczniu, ale mają zawierać informacje za dwa lata wstecz oraz informować o nowych osobach oferujących lokale na wynajem krótkoterminowy. Fiskus chce dzięki temu zainkasować około miliarda złotych, a przy okazji – bo taka była intencja autorów dyrektywy DAC7 – poprawić konkurencyjność tradycyjnej branży hotelarskiej, która od kilku lat prowadzi nierówny bój z osobami i podmiotami oferującymi noclegi przez internet.

Służby skarbowe szacują, że spośród około 80 tysięcy takich ofert, jakie co roku trafiają do sieci z Polski, co najmniej 60 proc. jest nieopodatkowanych.

Część wynajmujących odprowadza z kolei podatek w wysokości 8,5 proc., traktując takie transakcje jak zwykły wynajem. Polski fiskus stoi tymczasem na stanowisku, że są to *de facto* usługi hotelarskie, od których należy odprowadzić następujące podatki: VAT w wysokości 8 proc., PIT według wybranej formy opodatkowania przychodów z działalności gospodarczej (skala, ryczałt, liniowy), oraz VAT od importu usług, naliczony w wysokości 23 proc. od kwoty prowizji portali rezerwacyjnych (jeżeli oferta była zamieszczona na platformie zagranicznej). Do tego trzeba doliczyć nieodprowadzone składki ZUS czy lokalne podatki i opłaty należne samorządom.

Wynajem krótkoterminowy wpływa nie tylko na specyfikę działalności branży hotelarskiej. Zmienia również krajobraz i schematy funkcjonowania dużych miast. W stolicy, jak wynika z danych pracowni DeLab przy Uniwersytecie Warszawskim, w ostatnich pięciu latach liczba lokali oferowanych za pośrednictwem platform rezerwacyjnych wzrosła o 30 proc., co nie pozostaje bez wpływu także na ceny stołecznych nieruchomości. Władze Amsterdamu z tego samego powodu apelują o zmianę przepisów, które uniemożliwią wynajem krótkoterminowy przez pięć lat od zakupu mieszkania. ©℗

Lęk przed wiedzą

ARTUR SPORNIAK

Ministra edukacji Barbara Nowacka przedstawiła projekt rozporządzenia, które w przyszłym roku szkolnym zlikwidować ma nieobowiązkowy przedmiot „wychowanie do życia w rodzinie", a na jego miejsce wprowadzić edukację zdrowotną. Proponowana podstawa programowa obejmuje wiedzę na temat zdrowia jako wartości, zdrowia fizycznego, psychicznego, społecznego oraz seksualnego – w tym zagadnienia związane ze zdrowym odżywianiem i przemianami okresu dojrzewania.

Przedstawiony do konsultacji społecznych projekt wywołał protesty środowisk prawicowych. Ultrakatolicki, prawniczy think tank Instytut Ordo Iuris zorganizował akcję wysyłania do ministerstwa petycji protestacyjnej. Domaga się ona pozostawienia przedmiotu „wychowania do życia w rodzinie", a z edukacji zdrowotnej usunięcia zagadnień dotyczących seksualności. Autorom źle się kojarzą niektóre pojęcia obecne w podstawie programowej, takie jak płeć psychiczna, kulturowa, tożsamość cispłciowa i transpłciowa, a także zagadnienia związane z przerywaniem ciąży, antykoncepcją, tolerancją, różnorodnością. Dają do zrozumienia, że za wiedzą i tolerancją wobec różnorodności kryje się afirmacja stylu życia np. środowisk homoseksualnych.

Petycja odwołuje się do konstytucyjnego prawa rodziców do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania moralnego oraz religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami (art. 48 i 53). Prawnicy z Ordo Iuris już zapowiadają, że jeżeli edukacja seksualna zostanie wprowadzona do szkół jako obowiązkowa, będą w sądach reprezentować rodziców niegodzących się na ten przedmiot.

Z drugiej strony ministra Nowacka stwierdziła w rozmowie z TVN24, że nie interesuje ją „co boli Ordo Iuris" i nazwała „bezwzględnością" ignorowanie kryzysu zdrowia psychicznego wśród młodzieży. Zanosi się więc na nową odsłonę wojny kulturowej.

Ordo Iuris rzeczywiście bezwzględnie wykorzystuje tu fakt, że w edukacji zdrowotnej nie da się oddzielić przekazywania wiedzy od kształtowania prozdrowotnych postaw, a zatem od wychowania. Nie bierze jednak pod uwagę, że dzisiaj to niewiedza deprawuje dzieci, a nie wiedza o antykoncepcji, aborcji czy tożsamości płciowej, czyli po prostu o otaczającej rzeczywistości. ©℗

Spotkanie ministry edukacji Barbary Nowackiej z uczniami IV LO im. Witolda Pileckiego w Piasecznie. 24 października 2024 r.

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEW

Eksodus z Twittera

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE ▪ Twitter/X systematycznie tracił użytkowników, odkąd dwa lata temu kupił go Elon Musk (średnio o 14 proc. na miesiąc), jednak takiego eksodusu, jak dzień po amerykańskich wyborach, jeszcze nie było – 7 listopada konta zamknęło ponad 115 tys. internautów (CNN podaje, że to osoby, które dezaktywowały konta za pośrednictwem strony internetowej, a nie aplikacji).

Pisarz Stephen King (7 mln obserwujących) na odchodne stwierdził, że „atmosfera tam stała się zbyt toksyczna". „The Guardian" (ponad 80 kont, 27 mln obserwujących) wskazał, że zbyt częste są treści „niepokojące, w tym skrajnie prawicowe teorie spiskowe i rasizm". „Nie chcę być tego częścią" – ogłosił podkaster Jody Avirgan (15 mln obserwujących). Konta zdezaktywowały m.in. Austrian Airlines, norweska Policja i kultowy Clifton Suspension Bridge w Bristolu.

Zasadniczo powody są dwa. Musk (200 mln obserwujących) w ciągu dwóch lat zmienił serwis w praktycznie niemoderowane przez nikogo szambo. Po drugie, po tym jak włączył się w kampanię Trumpa, można było odnieść wrażenie, że podkręcane są tam treści na rzecz Republikanina. Wrażenie było słuszne – z opublikowanego właśnie badania Queensland University of Technology wynika, że X promowało treści przychylne Trumpowi, w tym posty Muska, dzięki czemu na finiszu kampanii były wyświetlane 138 proc. częściej i miały 238 proc. więcej udostępnień. Według badaczy gwałtowny skok nastąpił 13 lipca, czyli w dniu, gdy Musk formalnie poparł Trumpa. A to znaczy, że serwis, który miał być „areną wolności słowa", jest tubą do uprawiania propagandy i manipulowania.

Sytuacji nie poprawia też to, że 15 listopada X zmienił zasady: można teraz publikować dowolne brednie, a serwis nie ponosi za to odpowiedzialności; jednocześnie bez względu na ustawienia prywatności wszystkie wpisy mogą być użyte do szkolenia sztucznej inteligencji budowanej przez Muska. A do tego serwis zastrzega sobie prawo do wyrzucenia każdego bez podawania powodu.

Użytkownicy X odpływają do zeszłorocznych debiutantów – należącego do Mety serwisu Threads oraz do Bluesky założonego przez Jacka Dorseya (który 20 lat temu zakładał Twittera). Obie platformy zapowiadają, że docelowo będą usługami zdecentralizowanymi, co oznacza, że użytkownicy różnych serwisów mogliby się między sobą komunikować, ale też, że nikt w pełni nie będzie kontrolował tego, co jest im wyświetlane, ani ich danych.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

MONIKA PYREK, LEKKOATLETKA:

Bez dobrego wuefu nie będzie zrelaksowanych i szczęśliwych dzieci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Co Pani dało wychowanie fizyczne?

MONIKA PYREK: Te lekcje były tak atrakcyjne, że raz poszłam na nie pomimo poparzonej ręki – ukryłam tę kontuzję. Do pewnego momentu moją specjalizacją była koszykówka, grałam w szkolnej drużynie. Raz przeniesiono zajęcia do sali lekkoatletycznej, a nasz trener się rozchorował. Zajęła się nami pani od „lekkiej" – jak się okazało, moja pierwsza trenerka.

Później była piękna, zakończona już kariera sportowa, i początek Pani działalności społecznej. Teraz ministrowie sportu i edukacji powołali Panią do zespołu mającego opracować nową podstawę programową z wuefu.

Stawka jest wysoka: kolejne badania mówią o coraz gorszej kondycji i sprawności młodych ludzi, którzy masowo unikają też wuefu. Ci, którzy ćwiczą, w ponad 80 proc. nie potrafią np. zrobić przewrotu w przód ani skakać na skakance. Trzeba to jak najszybciej zmienić.

Jak?

Po pierwsze, trzeba ulepszyć lekcje wuefu w klasach 1-3.

Dziś zajęcia te, prowadzone przez wychowawczynię dzieci, bywają fikcją.

Ministrowie zapowiedzieli, że zostanie na tym etapie edukacji wprowadzony nauczyciel asystujący – wuefista lub wuefistka – przynajmniej przez jedną godzinę w tygodniu. Jego lub jej rolą będzie też doszkolenie wychowawców z tego, jak efektywnie te lekcje wykorzystać.

Po drugie, musimy na wuefie uprawiać sporty, które młodzi ludzie będą mogli później kontynuować jako dorośli. A więc już nie tylko katalog gier zespołowych, ale też aktywności rekreacyjne, jak badminton, rower, bieganie i ćwiczenia wzmacniające.

Po trzecie, trzeba odejść od zbyt dużej ilości teorii. Będzie to o tyle łatwiejsze, że powstaje nowy przedmiot: „edukacja zdrowotna", którego rolą stanie się np. nauczanie o zdrowym stylu życia. Będziemy więc okrajać te podstawy programowe i tworzyć w nich przestrzeń do tego, by każdy uczeń mógł się wykazać własnymi talentami. Tylko wtedy te lekcje będą atrakcyjne. Przy okazji konferencji dotyczącej wuefu spotkaliśmy się z uczniami reprezentacji różnych dyscyplin sportowych szkół województwa zachodniopomorskiego. Na pytanie, czy unikają wuefu, jedna trzecia podniosła ręce. Na pytanie drugie, czy chodzą na jakieś zajęcia dodatkowe, ręce wznieśli niemal wszyscy. To pokazuje, że wuef często nie odpowiada potrzebom uczniów!

I ma w szkole niską rangę, którą też trzeba podnieść.

Będzie ciężko, bo w polskiej edukacji wszystko, czego nie ma na egzaminach – ósmoklasisty i maturze – jest z automatu uznawane za nieważne.

Dlatego być może warto rozważyć przyznawanie – podobnie jak to jest w przypadku olimpijczyków z innych przedmiotów – punktów do rekrutacji na wyższy etap edukacji za osiągi sportowe. A co do priorytetów w tym systemie, też je niestety dostrzegam. Prowadzę uczniowski klub sportowy i widzę odpływ uczniów w okolicach siódmej i ósmej klasy, a potem w klasie maturalnej... Tymczasem wuef jest świetnym sposobem na zresetowanie głowy, dzięki czemu można więcej przyswoić. Nie mówiąc o tym, że bez regularnego wysiłku nie będzie zrelaksowanych i szczęśliwych dzieci, a potem dorosłych. ©℗

MONIKA PYREK *jest medalistką mistrzostw świata i Europy w skoku o tyczce. Prowadzi fundację swojego imienia, realizującą projekty dla dzieci, a także edukacyjną e-platformę silasportu.pl.*

Czy Trump da wolną rękę premierowi Izraela?

AHMAD GHARABLI / EAST NEWS

„Gratulujemy! Donaldzie Trumpie, uczyń Izrael wielkim!" – billboard na ulicy Jerozolimy, 7 listopada 2024 r.

BLISKI WSCHÓD ▪ Beniamin Netanjahu był jednym z pierwszych, którzy gratulowali reelekcji Donaldowi Trumpowi. „Gratulacje z powodu największego powrotu w historii!" – napisał premier Izraela. Ma on powody do radości; w przeszłości obwołał Trumpa mianem „największego przyjaciela, jakiego Izrael kiedykolwiek miał w Białym Domu". Ten wraca jednak z obietnicą zakończenia „wiecznych wojen", a za taką wojnę dla Izraela wielu ekspertów uważa Gazę, gdzie sytuacja pogarsza się dramatycznie.

Od października 2023 r. konflikt ten – rozpoczęty atakiem Hamasu, po którym nastąpiła trwająca do dziś izraelska interwencja – pochłonął już po stronie palestyńskiej 43 tys. istnień, wśród których według danych ONZ aż 60 proc. to kobiety i dzieci. ONZ i organizacje pozarządowe od tygodni alarmują o „apokaliptycznych" warunkach zwłaszcza w północnej części Strefy, gdzie trwają intensywne działania wojskowe i nie dociera żadna pomoc humanitarna. Przesiedlonej od miesięcy ludności grozi tam poważny głód. Zdaniem organizacji międzynarodowych Izrael nie wywiązał się ze zobowiązania, by zwiększyć przepływ niezbędnej pomocy dla mieszkańców Gazy. Bombardowania nasilają się w całej Gazie, także w regionach, które były przez izraelskie władze oznaczone jako bezpieczne.

Tymczasem niemal natychmiast po ogłoszeniu wygranej Trumpa premier Netanjahu usunął ministra obrony Joawa Gallanta. Gallant uważany był za polityka, który w izraelskim rządzie w pewnym stopniu hamował zapędy szefa w kwestii Gazy. Zastąpił go Jisra'el Kac, znany z bezkompromisowych przekonań w tej materii.

Eskaluje też sytuacja w Libanie, gdzie Izrael walczy z szyickim Hezbollahem. Obok intensywnych bombardowań, w południowym Libanie trwa lądowa operacja sił izraelskich.

Izraelski analityk Ori Goldberg uważa, że reelekcja Trumpa nie musi oznaczać upragnionej przez Netanjahu wolnej ręki. – Jest realna szansa, że Trump nie pozwoli, aby to trwało znacznie dłużej – mówi mi Goldberg.

– Trudno, aby Trump był gorszy niż Biden, który wspierał Izrael dostawami broni – mówi z kolei palestyński dziennikarz Daud Kuttaba. – Polityka Trumpa trzymania się z dala od konfliktów jest wyczekiwana przez wielu, w tym przez Palestyńczyków, którzy cierpią z powodu tego, jak Europa i USA traktują kraj dokonujący codziennie zbrodni wojennych.

„Times of Israel" twierdzi, iż Trump miał poinformować Netanjahu, że chce, by ten zakończył konflikt, zanim wróci on w styczniu do Białego Domu.

© JAGODA GRONDECKA z Libanu

Nadludzka poezja

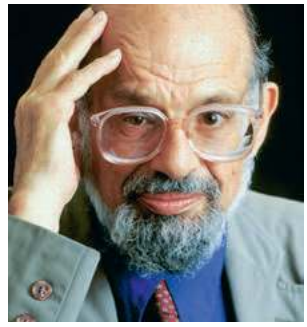

EFFIGIE / EAST NEWS

WIERSZE I AI ▪ Wiersze generowane przez ChatGPT 3.5 są oceniane jako bardziej „ludzkie" od rzeczywistych dzieł Byrona, Whitmana czy Ginsberga (na zdjęciu) – donoszą B. Porter i E. Machery w „Scientific Reports". Uczestnikom badania pokazywano 10 wierszy, z których pięć było autentykami, a pięć stworzył generator, poproszony wcześniej o „krótki wiersz w stylu X". Testowano dziesięcioro poetów, od Chaucera po twórców żyjących. Na pytanie, czy dany wiersz stworzył człowiek czy AI, padło łącznie tylko 46,6 proc. prawidłowych odpowiedzi, czyli gorzej od rzutu monetą. A niemal na pewno niektórzy uczestnicy oszukiwali – wystarczyło googlować każdy wiersz.

Podobne badania dawały dotychczas inny wynik: zwykle uczestnicy umieli rozpoznać wiersze ludzkie, a ponadto oceniali je wyżej. Tym razem wiersze wygenerowane uzyskały wyższe od ludzkich oceny w kategoriach takich jak „piękny", „harmonijny", a nawet „wnikliwy" i „inspirujący". Co ciekawe, uznawano je też częściej jako stworzone przez człowieka niż wiersze faktycznie stworzone przez człowieka. Podobny efekt występuje zresztą dla obrazów: te generowane przez Midjourney albo DALL-E bywają oceniane jako bardziej ludzkie niż te tworzone przez ludzi. Jak to możliwe?

Pewien wpływ na to miał prawdopodobnie fakt, że uczestnicy sami zgłaszali swój brak zainteresowania poezją i wiedzy o niej – a do podobnych badań często zaprasza się ekspertów. Twory AI są tymczasem bardziej „typowe" od tego, co tworzą artyści. Przykładowo, aż 89 proc. wierszy z generatora – a tylko 40 proc. wierszy oryginalnych – miało rymy. Być może laicy oceniają eksperymenty z formą jako „błąd w sztuce" i zrzucają je na karb niedoskonałości algorytmu?

Na koniec ciekawostka: badani zaznaczali też, jak bardzo pewni są swojej odpowiedzi. Dzięki temu wiemy, że osoby bardziej pewne siebie miały rację... rzadziej. Jeżeli więc macie znajomych, którzy stanowczo twierdzą, że zawsze rozpoznają tekst z generatora, prawdopodobnie robią to niezbyt dobrze.

© ŁUKASZ LAMŻA

TEMAT TYGODNIKA

SŁOWO NA „Ż”

Czy publiczne postawienie pytania o polski antysemityzm i jego potencjalny wpływ na decyzje wyborcze to złamanie tabu? Czy pochodzenie żony szefa MSZ to faktycznie „hak”? I co właściwie mówi o nas ów dziwaczny eufemizm „pochodzenie”?

MICHAŁ OKOŃSKI

Wrzesień 2020 r., targi zdrowej żywności w Gdyni. Piotr Jarecki, producent ekologicznych serów, wypakowując towar, kładzie na stoisku również numer czytanego właśnie „Tygodnika Powszechnego”. Potencjalna klientka pyta: „A pan z Platformy?”. „Nie jestem politykiem” – odpowiada kobiecie Jarecki. Jest świadom, że rzuciła okiem na okładkę pisma, z której – notabene obok hasła „Kto chce murów między nami” – spogląda Anne Applebaum. „A wie pan, że to Żydówka?” – słyszy kolejne pytanie sprzedawca. „Wiem, ale to nie ma nic do rzeczy, pani jest pewnie katoliczką i to też jest w porządku – zaczyna swoją odpowiedź Jarecki. – Pani Applebaum jest bardzo mądrą...” – ale te słowa lądują już w próżni, bo jego rozmówczyni odeszła.

Czerwiec 2022 r., mieszkanie na krakowskim Salwatorze. Miriam Synger, socjolożka i edukatorka prowadząca na Instagramie profil „Jestem Żydówką” [zob. rozmowa na str. 16 – red.], wysyła znajomej badaczce kolejną dawkę antysemickich odzywek i życzeń śmierci, jakie otrzymuje w komentarzach. Przy okazji uświadamia sobie, że kiedy usłyszała o przygotowywanym przez tą znajomą raporcie na temat mowy nienawiści, odczuła ulgę. Wcześniej nie wiedziała, co robić z hejterskimi wpisami, a zachowywanie ich w telefonie, między zdjęciami dzieci, wiadomościami czy żartami bliskich, nie robiło jej dobrze.

Listopad 2024 r., studio TVN w Warszawie. Monika Olejnik pyta ubiegającego się o nominację Koalicji Obywatelskiej w wyborach prezydenckich Radosława Sikorskiego o pochodzenie jego żony, błędnie powołując się przy tym na artykuł z „Tygodnika”, w którym miała wyczytać, iż owo pochodzenie to dla członków KO problem. „Jest już świecką tradycją, że pierwszymi damami powinny zostać osoby pochodzenia żydowskiego” – ripostuje szef MSZ, ale chwilę później oburzony wychodzi ze studia i za pośrednictwem portalu X żąda od TVN „przywrócenia standardów dziennikarskich”.

GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Obchody święta Purim, synagoga w Tykocinie, 30 marca 2008 r.

„Uważam, że ustawianie pochodzenia żony kandydata jako tematu w wyborach prezydenckich jest niedopuszczalne. Wbrew insynuacji red. Olejnik nie jesteśmy krajem antysemitów" – dodaje.

W zaplombowanych wagonach
jadą krajem imiona,
a dokąd tak jechać będą,
a czy kiedy wysiędą
nie pytajcie, nie powiem, nie wiem.

W kolejnych godzinach, jak to się mówi w nowomowie dzisiejszych portali, „nie milkną echa". Monika Olejnik zapewnia, że od lat walczy z antysemityzmem; przeprasza też, że nie była „dość precyzyjna i dobitna". „Nie były moją intencją żadne insynuacje, podobnie jak min. Sikorski uważam, że Polska to nie jest kraj antysemitów!" – zapewnia. W sprawie jej programu postępowanie wszczyna Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, wyrazy wsparcia pod adresem „Anne i Radka" kieruje rywal Sikorskiego w partyjnych prawyborach, Rafał Trzaskowski, „Tygodnik" zaś prostuje pomyłkę Olejnik, bo zdanie, iż problemem dla niektórych w KO jest pochodzenie żony ministra, nigdy na naszych łamach się nie pojawiło.

W rzeczywistości sformułował je publicysta „TP" Piotr Śmiłowicz na portalu Gazeta.pl w analizie prezydenckich ambicji Sikorskiego i Trzaskowskiego. „Teoretycznie wygrana Donalda Trumpa w USA mogłaby zwiększać szanse obecnego szefa MSZ, bo ma większe niż Trzaskowski doświadczenie międzynarodowe, jest też, jak można usłyszeć od jego zwolenników w KO, »fighterem na trudne czasy« – pisał Śmiłowicz. – Tak naprawdę jednak wygrana Trumpa zmniejsza szanse Sikorskiego, bo jego żona Anne Applebaum jest nie tylko silnie związana z amerykańską Partią Demokratyczną, ale jeszcze w ostatnim okresie mocno atakowała rywala Harris, porównując go do Hitlera i Stalina. W otoczeniu Trumpa zostało to zapewne zapamiętane. Poza tym, jak można usłyszeć już zupełnie »na offie« w KO, w naszym społeczeństwie dobrą rekomendacją nie jest pochodzenie Applebaum".

Śmiłowicz, dodajmy, nie jest jedynym obserwatorem polskiej polityki, który poruszył tę kwestię. O tym, że „można usłyszeć w otoczeniu prezydenta Warszawy", iż żona Sikorskiego „może nie zostać zaakceptowana przez Polaków w roli pierwszej damy, szczególnie jeżeli w kampanii prawica wyciągnie antysemicką kartę", napisał np. Rafał Kalukin w „Polityce".

Imię Natan bije pięścią w ścianę,
imię Izaak śpiewa obłąkane,
imię Sara wody woła dla imienia
Aaron, które umiera z pragnienia.

Miejmy za sobą to proste zdanie: fakt, że szykujące się do wyborów partie analizują silne i słabe strony kandydatów, jest rzeczą normalną. Wglądu w tę polityczną rutynę dostarczają np. sierpniowe dywagacje Jarosława Kaczyńskiego, że „w czasie wojennym" kobieta nie ma wielkich szans, mężczyzna zaś „musi być młody, wysoki, okazały, przystojny", musi mieć rodzinę i znać bardzo dobrze język angielski, a najlepiej dwa języki.

Znajomość kampanijnej kuchni każe zresztą podejrzewać, że tak wytrawny polityk jak min. Sikorski miał na pytanie o żonę przygotowaną ripostę. Jest wszak rzeczą normalną również i to, że sztaby kandydatów oraz oni sami próbują przygotować się na ataki, rozbroić bomby i wytrącić przeciwnikom z ręki haki, którymi tamci mogliby się ewentualnie posłużyć. ↦

↦ Tylko czy publiczne postawienie pytania o polski antysemityzm i jego potencjalny wpływ na decyzje wyborcze jest złamaniem jakiegoś tabu? Czy pochodzenie żony szefa MSZ to faktycznie „hak"? I co właściwie mówi o nas ten dziwaczny eufemizm „pochodzenie"? Przecież używając go, nie mówimy o Anne Applebaum jako absolwentce prowadzonej przez kwakrów renomowanej Sidwell Friends School w Waszyngtonie, gdzie pod okiem zafascynowanej Solidarnością panny Cleaver śpiewała polskie pieśni renesansowe, na lekcjach pana Hershera czytała Prousta, a poza tym słuchała z koleżankami Grateful Dead.

Nie skacz w biegu, imię Dawida.
Tyś jest imię skazujące na klęskę,
nie dawane nikomu, bez domu,
do noszenia w tym kraju zbyt ciężkie.

Psycholog społeczny prof. Michał Bilewicz jest zdania, że antysemickie są raczej insynuacje, iż pytanie Olejnik było niestosowne. „Wydawało mi się, że w Polsce o tym można mówić na luzie – tak jak minister Sikorski. A nie obrażać się za samo podniesienie tematu, jak to uczynił w późniejszym tweecie. Wracamy do złych czasów, gdy do żydowskiego pochodzenia »się przyznawano«, jak do jakiegoś występku?" – zapytał na portalu X szef Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. „Jeśli życzliwe lub neutralne wspomnienie o żydowskim pochodzeniu bliskiej osoby jakiegoś człowieka uznajemy za »atak na jego rodzinę«, to sami powielamy antysemickie uprzedzenie. I nieważne, czy chodzi o rodzinę Radosława Sikorskiego, Andrzeja Dudy czy Jezusa Chrystusa" – dodał.

„Często jestem pytana, czy moje żydowskie dzieci nie mają problemów przez swoje pochodzenie" – napisała z kolei na Facebooku Miriam Synger. Dodała, że nie uraża jej to pytanie: „Nawet jeżeli osoba je zadająca sugeruje, że żydowskie pochodzenie może być dla kogoś problemem. No bo ja wiem, że nim bywa. Przecież sama tego doświadczam".

W książce „Jestem Żydówką" (jak głosi podtytuł: „pamiętniku religijnej feministki, patriotki, wielodzietnej matki Polki") Synger opisuje m.in. wizytę z synem u pediatry. Chłopiec ma jarmułkę i pejsy, ona sama zaś – chustę, długie rękawy i długą spódnicę. Zaciekawiona lekarka pyta, czy są długo w Polsce („Od zawsze" – słyszy w odpowiedzi...), a następnie, czy są Izraelitami, judaistami, Izraelczykami, względnie hebraistami. Słowo na „ż" nie chce jej przejść przez gardło.

Syn niech imię słowiańskie ma,
bo tu liczą włosy na głowie,
bo tu dzielą dobro od zła
wedle imion i kroju powiek.

Wbrew insynuacji red. Olejnik nie jesteśmy krajem antysemitów"... Ale zaraz, chwileczkę, czy to zdanie czegoś nam nie przypomina? Czy owego mechanizmu gorliwego zaprzeczania nie analizowano już na tych łamach, bagatela, 37 lat temu w tekście „Biedni Polacy patrzą na getto"? Jan Błoński pisał w nim m.in., że nie umiemy rozmawiać o relacjach polsko-żydowskich spokojnie dlatego, że – świadomie czy nieświadomie – boimy się oskarżenia.

To oczywiście prawda, że zwłaszcza w ostatnich miesiącach, kiedy ulicami europejskich miast suną demonstracje żądające likwidacji Izraela, Polska wydaje się dla mieszkających w niej Żydów krajem bezpiecznym. Tutejszych synagog nie strzegą policyjne patrole. Ubiegłoroczny eksces Grzegorza Brauna w Sejmie spotkał się z jednomyślnym potępieniem klasy politycznej. „To, że Giertych jest dzisiaj przyjacielem domu, jest osobliwą puentą mojego osobistego doświadczenia antysemityzmu w Polsce" – opowiada w książce „Matka Polka" Anne Applebaum, opisując ewolucję dawnego lidera Młodzieży Wszechpolskiej, którego od antyżydowskich uprzedzeń uwolniło objawienie religijne na widok chusty Weroniki („Zobaczył na niej twarz o tak semickich cechach, o jakich go uczono za młodu. Zobaczył ten stereotyp, wiesz, Żyd wygląda tak i tak... I zrozumiał, że antysemityzm jest wymierzony w Jezusa").

Zarazem jednak „przyglądając się napisom na murach, wsłuchując w kibicowskie przyśpiewki albo śledząc dyskusje w mediach społecznościowych, nietrudno dostrzec, że antysemityzm pozostaje żywym elementem wyobraźni zbiorowej. Potwierdzają to badania. Większość Polaków przyznaje, że styka się ze stereotypami nieprzychylnymi wobec Żydów. Kwestia jest tym poważniejsza, że tego rodzaju rozpoznawany, wyrażony wprost antysemityzm stanowi wierzchołek góry lodowej. Jeszcze istotniejszą rolę odgrywa antysemityzm nieświadomy. To zestaw wyobrażeń, kalek językowych, praktyk czy scenariuszy opowieści, które przez same osoby posługujące się nimi nie są w ogóle rozpoznawane jako dyskryminujące. Tego rodzaju uprzedzenia łatwo stają się jednym z »kodów potoczności« – niewidocznymi dla nas okularami, przez które spoglądamy na świat".

Nie skacz w biegu. Syn będzie Lech.
Nie skacz w biegu. Jeszcze nie pora.
Nie skacz. Noc się rozlega jak śmiech
i przedrzeźnia kół stukanie na torach.

Powyższy akapit zaczerpnąłem z ubiegłorocznego raportu „Kogo widzą Polacy, kiedy widzą Żyda", podsumowującego badania realizowane przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, a zredagowanego przez obecnego p.o. dyrektora Muzeum Historii Polski Marcina Napiórkowskiego. Z badań tych wynika, że Żydzi, „nawet nieobecni, pozostają kluczowym elementem tożsamości polskiej jako definiujący ją i dopełniający obcy". Polski rasizm, stereotypy antyukraińskie czy antymuzułmańskie są budowane m.in. przez złożenie w nową całość starych kodów antysemityzmu.

Dominujące motywy narracyjne na temat Żydów, z którymi zetknęli się badacze, to: wiara w istnienie „żydowskiego lobby"; poczucie, że Żydzi tworzą negatywny obraz Polski i Polaków; przekonanie, że Żydzi nie okazują Polakom należytej wdzięczności; postrzeganie Żydów jako obcych agentów; przypisywanie winy za nieszczęścia Żydów samym Żydom; opisywanie Żydów jako władców świata; odezwy do „walki z żydostwem"; opisywanie „żydostwa" jako choroby i znaku zepsucia; wiara, że Żydzi zarabiają na krzywdzie; wezwania do uczenia się od Żydów.

Doświadczenia Anne Applebaum potwierdzają aktualność tych mechanizmów. Kiedy Polska po przejęciu władzy przez PiS zaczęła mieć w świecie złą prasę, to – zdaniem ówczesnej propagandy rządu – nie dlatego, że w naszym kraju dochodziło do łamania konstytucji czy ataków na sądownictwo. „Jak wytłumaczyć, że »The New York Times«, w domyśle organ światowego żydostwa, który do tej

pory chwalił, teraz krytykuje? – ironizuje żona Radosława Sikorskiego. – Najprościej żydowskim spiskiem. Nie, nie, to nie tak, że jakieś »Wsieci« czy »Do Rzeczy« napisze to otwartym tekstem albo powiedzą to w TVP. Na to są już za sprytni. Napiszą, że to Anne Applebaum kieruje zachodnią prasą przeciwko Polsce".

„Wyobraźmy sobie, że kongresmen lub senator pyta cię: »Ms Applebaum, czy Polacy są antysemitami?«. Co odpowiesz dzisiaj?" – pyta Paweł Potoroczyn. „Przecież pytają. Mówię, że nie. Ale myślę, że w tej chwili partia rządząca używa podobnych narzędzi polaryzacji. To dziwne, bo to nie jest prawdziwy antysemityzm, to znaczy, że nie ma na ulicy bandytów, którzy szukają i biją Żydów, jak w latach 30." – odpowiada autorka „Zmierzchu demokracji". Dalej mówi nie tylko o „antysemityzmie bez Żydów", ale i nowej wersji tego paradoksu: „antysemityzmie bez antysemitów". I choć opisuje rzeczywistość kraju rządzonego przez PiS, w którym pamiętna nowelizacja ustawy o IPN miała zamknąć usta historykom zajmującym się badaniem polskiego współudziału w Zagładzie, to jej opis brzmi niepokojąco aktualnie nawet po zmianie władzy.

Chmura z ludźmi nad krajem szła,
z dużej chmury mały deszcz, jedna łza,
mały deszcz, jedna łza, suchy czas.
Tory wiodą w czarny las.

Wróćmy do kwestii owego „pochodzenia" Anne Applebaum. Czy da się o nim mówić wprost? I czy w ogóle... potrzeba? Przodkowie matki mającej polskie obywatelstwo dziennikarki, laureatki Pulitzera, autorki fundamentalnych dla naszego rozumienia sowieckiego aparatu represji książek „Gułag", „Czerwony głód" i „Za żelazną kurtyną", przybyli do Stanów Zjednoczonych na początku XIX w. z Alzacji i szybko wrośli w amerykański *establishment*. Przodkowie ojca uciekli z carskiej Rosji pod koniec XIX w. i błyskawicznie się zasymilowali. „Kiedy dorastałam, ani z jednej, ani z drugiej strony rodziny nikt nie miał poczucia, że pochodzimy z Europy, zapomnieliśmy o tym" – opowiada w rozmowie z Potoroczynem. Pojawiająca się w siódmym czy ósmym zdaniu jej biogramu na amerykańskiej Wikipedii fraza, że pochodzi z rodziny żydów reformowanych, dla

GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Broniąc się przed rzekomym insynuowaniem Polakom antysemityzmu, liderzy opinii nie tylko powielają uprzedzenia, ale także fałszują rzeczywistość.

przytłaczającej większości czytelników ma charakter czysto informacyjny.

Jak widać, u nas są jednak tacy, którzy czytają ją w kontekście małżeństwa z polskim politykiem i w kontekście owego „antysemityzmu bez antysemitów". I to nie jest insynuowanie czegokolwiek naszemu społeczeństwu, raczej stwierdzenie faktu. Gdyby Adam Wajrak zechciał kiedyś kandydować na prezydenta (dalibóg, głosowałbym...), „pochodzenie" Nurii Selvy Fernández nie byłoby przedmiotem rozważań w wystawiającej go partii, a pytająca o to dziennikarka nie musiałaby tłumaczyć, że nie insynuuje Polakom iberofobii.

„Myślę, że tajemnicą toksycznych relacji społecznych jest tabu. Jeśli jesteśmy w stanie mówić wprost o tym, co się wydarzyło, to nawet jeśli w trakcie jest ciężko, w końcu można znaleźć spokój. Ale tu wszystko, co związane z Żydami, jest tabu. No, może poza »Skrzypkiem na dachu« i Jankielem" – mówił mi kiedyś Mikołaj Grynberg.

Tak to, tak, stuka koło. Las bez polan.
Tak to, tak. Lasem jedzie transport wołań.
Tak to, tak. Obudzona w nocy słyszę
tak to, tak, łomotanie ciszy w ciszę.

Przyznam, że od czasu burzy, jaką wywołała rozmowa Olejnik–Sikorski, myślę głównie o tym, dlaczego w ustach Polaka słowo na „ż" rzadko brzmi neutralnie, a czołowi politycy i dziennikarze zachowują się tak, jakby samo jego użycie w przestrzeni publicznej mogło uwolnić z butelki jakiegoś straszliwego dżina. A przy okazji: czy da się poruszyć problem polskiego antysemityzmu i przez samo omawianie zagadnienia nie podsycać i nie wzmacniać antysemickich stereotypów? Mam przecież mocne poczucie, że broniąc się przed rzekomym insynuowaniem Polakom antysemityzmu, liderzy opinii publicznej nie tylko – jak twierdzi Bilewicz – powielają uprzedzenia, ale także fałszują rzeczywistość.

Miriam Synger pisze, że pytania o antysemityzm stara się zbywać, odpowiadając z uśmiechem, że to nic takiego. „Chyba boję się powiedzieć całą prawdę" – komentuje. A kiedy próbuje tę prawdę wypowiedzieć, spotyka się z postawą, dzięki której poznaje nowe słowo, „whataboutyzm", opisujące technikę odwracania kota ogonem. „No a co z" antypolonizmem, żydokomuną, Gazą...

„Z rozmów z nauczycielami i z rodzicami żydowskich dzieci wiem, że w szkołach znowu się pojawia sformułowanie »mydło«, że się słyszy »do gazu« i »będziecie mieszkać w getcie«" – relacjonował mi Grynberg wkrótce po burzy o nowelizację ustawy o IPN, ale napis „Żydzi do gazu" pojawił się na Wydziale Filozofii UJ we wrześniu 2024 r., podczas protestu studentów domagających się wstrzymania izraelskiego ludobójstwa w Gazie. Zresztą: ile razy widzieliście go na murach?

„Co się z nami wydarzyło, że po kilku wojnach, milionach zgładzonych istnień, ofiarach poniesionych przez naszych przodków, byśmy mogli żyć w wolnym, szczęśliwym kraju, w przyjaźni, wzajemnym szacunku i miłości, na nowo budzą się w nas demony niosące nienawiść i zniszczenie" – zastanawiał się Piotr Jarecki po spotkaniu z niedoszłą klientką na targu w Gdyni. Nie umiałem i nie umiem mu odpowiedzieć. Wiem jednak, że problemem rozmowy Olejnik–Sikorski nie było to, że dziennikarka coś Polakom insynuowała. Nasz „antysemityzm bez antysemitów" jest faktem.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Śródtytuły tekstu są strofami wiersza Wisławy Szymborskiej „Jeszcze".

Pochodzenie nie ma znaczenia

MIRIAM SYNGER, SOCJOLOŻKA I EDUKATORKA:

Czuję się w Polsce bezpiecznie, ale wiem, że to się może skończyć.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Czy bycie Żydówką w Polsce pomaga Ci w życiu, czy je utrudnia?

MIRIAM SYNGER: Ani jedno, ani drugie. W każdym razie nikt mi wprost nie powiedział: „dostaniesz pracę, bo masz żydowskie pochodzenie". Albo odwrotnie: „coś cię z tego powodu ominie". Widzę jednak, że wiadomość o moim pochodzeniu ludzi elektryzuje.

To znaczy?

Reagują ekspresyjnie. „Wow, zazdro!" – to, gdy byłam nastolatką w krakowskim liceum. Albo: „Ojej, nigdy nie poznałam Żydówki! No, opowiadaj, jak to tam u ciebie jest?". „Ja tak kocham Żydów!" – to również się zdarza. „Jesteś taka ciekawa!" – tu zwykle się opieram, bo skąd wiadomo, że jestem ciekawa, skoro jeszcze nie otworzyłam ust?

Są też ekspresyjne reakcje negatywne – najczęściej w internecie. „Wypieprzaj stąd", „całe zło na świecie jest przez was", „no i po co się afiszujesz?", „co z tego, że jesteś Żydówką?".

No właśnie. Co z tego?

A nic. Bo jakie to ma znaczenie?

Kiedy Monika Olejnik rozmawia z Radosławem Sikorskim o tym, czy pochodzenie jego żony – żydowskie w domyśle – może mu zaszkodzić w wyścigu o prezydenturę, widać, że jednak ma. W dorosłość weszło pokolenie urodzone w wolnym kraju, a to wciąż jest temat.

Jeżeli w Polsce chcesz kogoś zdyskredytować, to mówisz, że jest a) Żydem, b) antysemitą. Żyd umiejętnie zastosowany w gierce politycznej czy dziennikarskiej może wiele zdziałać.

Jasne: wyciąganie komuś pochodzenia w sejmowych kuluarach, w gazecie, w telewizji czy gdziekolwiek indziej, jest nie na miejscu. Dlaczego? Bo, jak powiedziałam, ono nie ma znaczenia, a więc nie powinno być kłopotliwe. Jeśli więc ten temat się już pojawia, najgorsze, co można zrobić, to uciekać w popłochu, pocić się ze stresu, a osobę, która go wywołała, wyzywać od antysemitów.

Skąd bierze się ten strach przed niepolskim pochodzeniem?

Współcześnie źródeł tego problemu dopatruję się poniekąd właśnie w reakcjach polityków. Zamiast zwyczajnie mówić o swoim pochodzeniu, jakiekolwiek by było, zwykli się obrażać lub temu pochodzeniu zaprzeczać. W efekcie polskie społeczeństwo jest przekonane, że żydowskie pochodzenie ma w sobie coś podejrzanego. Jakąś tajemnicę. Że Żydzi nie dość, że są Żydami, to jeszcze udają, że nimi nie są, ukrywając się pod polskimi nazwiskami. Teorie spiskowe same się piszą.

Szczerze mówiąc, jestem już zmęczona tym, że w Polsce – niemal pozbawionej społeczności żydowskiej – wybucha tak wiele afer wokół Żydów. Że panuje przekonanie, że to my je wywołujemy i że są one wymierzone przeciwko Polakom, którymi przecież też jesteśmy. To wszystko jest absurdalne. Po wspomnianym wywiadzie przeczytałam np. w sieci: „Oho, już się czepiacie! Taka dobra dziennikarka, a wy, Żydzi, znów macie coś do gadania". Nieważne, że znaczące osoby z naszej społeczności, w tym rabin Schudrich, publicznie wsparły Monikę Olejnik. To jednak wciąż nasza, Żydów, wina.

Żydów nie ma, ale są. Trochę tak, jakbyśmy symbolicznie nie mogli się uwolnić od wspólnej historii. Od kości, po których siłą rzeczy stąpamy.

Jesteśmy straumatyzowani historią. Najpierw wchodzą trzy mocarstwa i dzielą nasze terytorium między siebie. Potem, jak już odzyskaliśmy niepodległość i jakoś się pozbieraliśmy, wchodzą inni, którzy mordują naszych sąsiadów i przyjaciół. W końcu, zanim zdążyliśmy nad tym wszystkim zapłakać i odbudować nasze miasta i społeczności, przychodzi nowy ustrój i wyniszcza nas na nowo. Nic dziwnego, że boimy się siebie nawzajem, jesteśmy wobec siebie i innych podejrzliwi.

Trauma transgeneracyjna.

Ukształtowały mnie doświadczenia pokoleń mojej babci i mamy, czyli wojna i komunizm. Niby na jakiej podstawie mam teraz ufać ludziom? W tamtych czasach donosicielstwo miało się świetnie – mogło kogoś wzbogacić, a kogoś innego zabić. Jesteśmy w UE, raczej już nikt na mnie nie doniesie, ale kto to wie?

Antysemityzm to miecz obosieczny. Nigdy nie wiadomo, kto kogo, po której stronie, bardziej się boi: czy Żyd antysemity, czy antysemita wyobrażonego przez siebie Żyda. Czy to zjawisko jest w Polsce dużym problemem? Odczuwasz go?

Zacznijmy od pytania, co to jest antysemityzm? Często słyszę: wszystko to, co się nie podoba Żydom. Przewrotna definicja, przyznaję. I oczywiście niewłaściwa. Ta oficjalna brzmi: niechęć i wrogość wobec Żydów, wynikająca tylko z tego, że są Żydami. Pytanie, jak w praktyce wygląda ta niechęć i wrogość? Czasem jest oczywista i nie podlega dyskusji. Innym razem każdy będzie daną sytuację widział inaczej, i tutaj jest miejsce na rozmowę. Dla mnie jednak najtrudniejszą formą niechęci jest wrzucanie wszystkich Żydów do jednego worka. Jeżeli jakiś Żyd coś powiedział lub jakoś się zachował, to na pewno ja myślę tak samo i z pewnością zachowałabym się identycznie. To mocno dehumanizuje.

W Polsce odczuwam zarówno nienawiść, jak i miłość do Żydów. Myślę, że oba te uczucia mają inne źródła i inaczej się objawiają poza naszym krajem, ale nie są tam ani większe, ani mniejsze. Choć moja obserwacja jest taka, że Polacy uważają, iż antysemityzm w Polsce jest mniejszy,

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MIRIAM (MARIA) SYNGER
jest socjolożką i edukatorką, na Instagramie prowadzi profil @jestem_zydowka. Autorka książek „Jestem Żydówką" i „Dziennik Rut".

na zdjęciu: w Łodzi, 8 maja 2019 r.

niż istnieje w rzeczywistości. Z kolei ludzie za granicą są przekonani, że polski antysemityzm jest większy niż w rzeczywistości.

Jaki jest polski antysemityzm?

On jest w gębie. Jest bardzo werbalny, oparty na słowach, bo w gadaniu jesteśmy dobrzy. Ludzie piszą czasem na moim profilu o teoriach spiskowych i wrzucają linki do stron, które przeglądam z przerażeniem. Znajduję tam długie rozważania o tym, jak Żydzi próbują zawładnąć światem, z niezbitymi dowodami na prawdziwość tych stwierdzeń. Regularnie wysyła się mnie też do gazu. W sezonie grzewczym jestem pytana o to, czy nie wpadłabym do kogoś na podpałkę. Tak, tego jest bardzo dużo.

Ale u siebie w domu, na ulicy, czuję się bardzo bezpiecznie, moje dzieci, mąż i znajomi Żydzi również. Oczywiście nie mówię, że wszyscy. I że nie ma przypadków dewastacji pomników, jak kilka dni temu w Warszawie, cmentarzy czy palenia kukieł Żyda. Ale nie ma tego, co się dzieje we Francji, w Niemczech, w Anglii, w Ameryce: nie ma przemocy fizycznej wobec Żydów.

Wojna na Bliskim Wschodzie nie wpłynęła na Twoje poczucie bezpieczeństwa?

Nie zdziwiłabym się, gdybym prędzej czy później z tego powodu oberwała. Bo w ciągu roku ta werbalna wrogość wobec mnie przeniosła się jednak z internetu na ulicę. Zdarzyło się, że ktoś mnie rozpoznał i krzyczał za mną, że jestem morderczynią palestyńskich dzieci. Dziś jeszcze czuję się bezpiecznie, ale wiem, że to się może skończyć.

Ci, którzy to mówią, uważają, że ponosisz odpowiedzialność za politykę Izraela?

To prawdziwy paradoks. Chcę, żeby Palestyńczycy mieli swoje państwo, pełnię praw obywatelskich i żyli w spokoju. Krytykuję politykę premiera Netanjahu i najchętniej widziałabym go w więzieniu za to, co zrobił ludziom po obu stronach. Ale dla większości działaczy propalestyńskich to, co myślę, jest nieistotne. Dla nich jestem tylko częścią tej masy zwanej „Żydzi", odpowiedzialnej za wszystko, co złe w tej wojnie.

W moim odczuciu krytykowanie polityki Izraela to nie jest antysemityzm. Ale odmawianie Żydom prawa do swojego państwa, dostrzeganie tylko jednej strony konfliktu, robienie z Izraelczyków jedynych katów, a z Palestyńczyków jedyne ofiary wojny, wrzucanie wszystkich Żydów do worka z napisem „mordercy" – już tak.

Kogo się teraz najbardziej obawiasz?

Odpowiedź na to pytanie dziwi mnie samą. To frustrujące, że grupa społeczna, z którą było mi dotąd po drodze – polska lewica – odwróciła się od nas i wręcz traktuje wrogo. Zawsze wspierałam środowiska LGBT+ i organizacje feministyczne, chodziłam w marszach równości i w marszach kobiet. A teraz czuję, że jestem ich wrogiem. Rozumiesz to? Boję się walczącego o prawa Palestyńczyków geja bardziej niż faceta spod hasła „Polska dla Polaków". Pod postami na moim Instagramie czytam: „Wypierdalaj do Izraela. Polska to nie twoje państwo", a komentarz niżej: „Spierdalaj z Izraela. To nie jest twój kraj". Zastanawiam się, jak ci ludzie wyobrażają sobie moje miejsce w świecie. Gdzie według nich mam się podziać?

Zaskakuje mnie zaangażowanie w ten konflikt. Większość Polaków nie ma tam swoich rodzin, ale nagle wszyscy dobrze wiedzą, co się dzieje.

Myślę, że wielu tylko czekało na ten moment. Przecież Żydzi non stop wytykają nam błędy, więc my też im teraz wytknijmy. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tym, co dzieje się w Gazie, leczymy sobie w Polsce wszystkie bolesne debaty na temat Holokaustu.

© Rozmawiała KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Anioł czy Bóg

„Święty, święty, święty Wiekuisty zastępów, pełną wsza ziemia chwały Jego!" (Iz 6, 3; Cylkow). Domyślam się, że ten cytat – choć nie w kanonicznym tłumaczeniu i bez drobnej modyfikacji – dla większości Państwa zabrzmi znajomo. Zapewne nie tylko melomani zakrzykną: „*Sanctus*".

Otóż wers ten jest istotną częścią także i żydowskiej liturgii. Stanowi on, wraz z cytatem z Proroka Ezechiela (3, 12), trzon fragmentu modlitwy, zwanego keduszą, co dosłownie oznacza „świętość". Kedusza występuje w trzech odmianach, natomiast nazwa ta bez dookreślenia odnosi się do responsywnego odśpiewywania wersetów biblijnych – na przemian przez prowadzącego modlitwę i zgromadzonych – na wzór wychwalających Boga aniołów. Związana jest z tym określona choreografia: keduszę odmawia się ze złączonymi stopami (albowiem aniołowie mają tylko jedną nogę, czego dowiadujemy się z Ez 1, 7), unosząc się na palcach przy każdym powtórzeniu słowa „Święty" (z jedną nogą aniołowie mogą poruszać się jedynie w górę i w dół).

Aniołów w przypadającym na ten tydzień fragmencie Tory nie brakuje. Wpierw Abrahama odwiedzają trzej aniołowie. „I ukazał mu się Wiekuisty w dąbrowie Mamre, gdy siedział u wejścia namiotu, w czasie upału dziennego. I podniósł oczy swoje, i spojrzał, a oto trzej mężowie stanęli przed nim" (Rdz 18, 1-2). Nie ma jednomyślności wśród komentatorów co do kwestii, czy Najwyższy objawił się Praojcowi niezależnie od wysłania do niego trzech aniołów w ludzkiej postaci, czy też „ukazał mu się" w osobie swoich wysłanników (*mal'ach* – anioł – znaczy dosłownie „wysłannik"). W każdym razie jeden z nich kontynuuje rozmowę z Abrahamem, dwaj pozostali zaś udają się do Sodomy, by uratować Lota z rodziną, a potem zniszczyć miasto.

Tułająca się po pustyni wraz z synem, którego urodziła Abrahamowi, słyszy anielski głos: „zawołał anioł Boży na Hagarę z nieba" (Rdz 21, 17), po czym „otworzył Bóg oczy jej, i ujrzała studnię wody" (wers 19), dzięki czemu matka i dziecko przeżyli. Kiedy na górze Moria Praojciec już podniósł nóż, „zawołał nań anioł Wiekuistego z nieba" (Rdz 22, 11) i wstrzymał ofiarowanie Izaaka. „I nazwał Abraham imię miejsca onego: »Wiekuisty upatrzy... na górze Wiekuistego ukaże się«" (wers 14). Sam Najwyższy czy „tylko" anioł? Nigdy nie możemy być pewni. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie z tego świata

To nie znaczy, że Królestwo z tym tutejszym światem nigdy nie miało i nie ma, a nawet nie powinno mieć nic wspólnego. Jezus na pytanie Piłata: „Czy jesteś królem?", odpowiedział: „Moja władza królewska nie ma umocowania w porządku rzeczy na tym świecie. Gdyby tak było, moi ludzie walczyliby, abym nie został pojmany przez Judejczyków. Lecz moja władza królewska nie pochodzi stąd". Według Jezusa Jego Królestwa nie można traktować jako wrogiej konkurencji.

Jednak w Jego przypadku do takiej tragicznej kolizji doszło, o czym Jezus uprzedzał uczniów, gdy ci zaczęli się kłócić o to, kto zajmie jakie stanowisko: „Wiecie, że wśród goim ci, którzy mają nimi rządzić, stają się tyranami, a ich władcy dyktatorami. Ale wśród was nie tak ma być. Przeciwnie, kto z was chce być przywódcą, musi się stać waszym sługą, a kto chce być pierwszy, musi być waszym niewolnikiem! Bo Syn Człowieczy nie przyszedł, żeby mu służono, ale żeby służyć – i dać swoje życie jako okup za wielu" (cyt. „Komentarz żydowski do Nowego Testamentu"). Komu więc Syn Człowieczy wypłacił ten okup i za co? Wygląda na to, że tym, do których został posłany.

„Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A Ja wam mówię: Nie zwalczajcie zła złem, lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. (...) Jeśli cię ktoś zmusza, żebyś szedł z nim tysiąc kroków, idź z nim dwa tysiące (...). Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził. A Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. On sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych, i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych", o czym nie chcemy pamiętać.

To nie kto inny, ale my, ludzie, prześladowaliśmy Jezusa, zażądaliśmy też Jego życia, a On zgodnie z tym, co powiedział, spełnił nasze żądania. Skazaliśmy Jezusa na nieistnienie w trosce o dobro wspólne. I tak jest do dzisiaj, wciąż się nam wydaje, że mimo wszystko, przykro nam, ale jednak „będzie korzystniej, jeśli jeden człowiek umrze za lud, niż gdyby miał zginąć cały naród". W rezultacie zamiast dobra szerzymy zło, niczego i nikogo nie ocalając, łącznie z nami. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Wielka karta wychowania

„Poszedł z nimi i wrócił do Nazaretu; i był im poddany (...). Czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi" (Łk 2, 51-52). W tych dwóch zdaniach św. Łukasz streścił dwadzieścia lat ukrytego życia Jezusa, które przygotowało Go do podjęcia publicznej misji.

Przygotowanie to można opisać czterema słowami. Pierwsze: „zstąpił" (zszedł na dół) – a więc nieco inaczej niż brzmi polskie tłumaczenie: „poszedł". W zapisie Łukasza mamy tu greckie „katebe", co św. Hieronim tłumaczy przez „descendit". Chodzi tu o uniżenie się Jezusa, o pokorę, o wybór miejsca, w którym niemal nikt nie chce żyć – nie wiążąc z nim żadnej przyszłości.

Pokora wiąże się ściśle z drugim słowem, które brzmi: „poddany" (grec. hypotasso; łac. subditus). A więc uniżył się do posłuszeństwa. „Stwórca świata poddał się cieśli" (św. Antoni z Padwy).

I słowo trzecie: „wzrastał". Posłuszeństwo otwierające na wzrost w łasce. To znaczy, że Maryja i Józef oczekują od Niego posłuszeństwa nie tyle wobec siebie, co wobec Ojca, od którego wszelka łaska pochodzi!

Jest jeszcze czwarte słowo, które wprost nie pada, ale stanowi syntezę: „dom". To w domu Jezus „wzrasta w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi". To zdanie jest właściwie cytatem z Pierwszej Księgi Samuela (por. 1 Sm 2, 26). I dotyczy wielkiego proroka i sędziego (Samuela), który namaścił Dawida na króla w Izraelu. Różnica jest jedna: Samuel przygotowywał się do swojej misji, żyjąc w świątyni. Otóż także misji arcykapłańskiej nasz Pan uczy się w domu, a nie w świątyni – co pokazuje wyraźnie, że nie da się jej sprowadzić do „sprawowania kultu"... Jezus przygotowuje się do tego, by w przyszłości zbierać ludzi we wspólnotę, która opiera się na więziach rodzinnych – wspólnotę „sióstr" i „braci".

I teraz to, co najważniejsze: wymienione powyżej cztery słowa: pokora, posłuszeństwo, wzrost w łasce i dom – nie odnoszą się jedynie do 20 lat przygotowania Jezusa do oczekującej Go misji. Dopiero w swojej publicznej działalności Jezus w pełni objawi swoją pokorę, posłuszeństwo, dojrzewanie w łasce i umiejętność tworzenia głębokich i odpowiedzialnych relacji z ludźmi.

Jak dalece owe dwa wersety mogą stać się programem wychowawczym: do kapłaństwa, w rodzinie, do życia konsekrowanego... Boję się, że nie dla każdego wydają się oczywiste. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Doskonała postawa „pokój czyniąca" polega chyba na tym, by traktować pozorne sprzeczności wszechświata jako najpiękniejszą harmonię aktu stworzenia.

KLEMENS Z ALEKSANDRII

Człowiek uwolniony od namiętności, odrzucając smutek, dzięki łasce stworzyciela widzi wielkiego, wszechprzenikającego ducha. Siedząc, wędruje daleko, leżąc, podąża w każdym kierunku.

UPANISZADA KATHA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (24 XI –1 XII)

Niedziela, uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37;
Poniedziałek: Ap 14, 1-3. 4b-5; Ps 24; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Ap 14, 14-20; Ps 96; Łk 21, 5-11;
Środa: Ap 15, 1-4; Ps 98; Łk 21, 12-19;
Czwartek: Ap 18, 1-2. 21-23; 19, 1-3. 9a; Ps 100; Łk 21, 20-28;
Piątek: Ap 20, 1-4. 11 – 21, 2; Ps 84; Łk 21, 29-33;
Sobota: Iz 49, 1-6 lub Rz 10, 9-18; Ps 19; Mt 4, 18-22;
1. niedziela Adwentu: Jr 33, 14-16; Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36.

KRAJ

POLSKA W OKU CYKLONU

Świat wyraźnie się rozchwiał, jednak w naszej części Europy istnieje kotwica stabilności, silny filar Unii i mocne oparcie dla NATO. To Polska. Jak możemy się przygotować na powrót Donalda Trumpa?

OLAF OSICA

Ameryka zagłosowała. Europa, w tym Polska, zadrżała. Niby wszyscy wiedzieliśmy, że w starciu między Kamalą Harris a Donaldem Trumpem nie ma faworytów. Jednak czym innym jest znać możliwe scenariusze, a czym innym patrzeć, jak one się na naszych oczach realizują.

Skala zwycięstwa Trumpa jest niesamowita. To nie tylko ogromna przewaga w głosach elektorskich (312 do 226), ale i wygrana w głosowaniu powszechnym (tj. więcej głosów oddanych w skali kraju na niego niż na Harris, co w systemie wyborczym w USA nie zawsze jest regułą), jak również triumf w Senacie (53 do 47 na rzecz Republikanów) i niewielka, ale jednak większość w Izbie Reprezentantów.

To daje ogromny mandat do realizacji obietnic wyborczych. Albo mówiąc inaczej: jeśli po takim zwycięstwie hasło „*Make America Great Again*" pozostałoby jedynie kampanijnym sloganem, to nic i nikt nie byłby w stanie wytłumaczyć porażki Trumpa.

Chyba że... I tu wchodzimy na śliski grunt praktyki politycznej. Nie ma bowiem planów i ambicji, które byłyby odporne na zderzenie z istniejącym porządkiem rzeczy.

Jak więc teraz może się zmienić Ameryka? I co z tego może wyniknąć dla Polski?

EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS

Andrzej Duda i Donald Trump. Spotkanie prezydentów w Białym Domu. Waszyngton, 24 czerwca 2020 r.

Głębokie zmiany potrzebują lat

Najpierw o Ameryce. System polityczny Stanów Zjednoczonych jest jednym z najbardziej zawiłych i złożonych na świecie. Większość w Senacie pozwala Republikanom przegłosować podatki i budżet, ale do wszystkich innych ważnych decyzji potrzeba 60 głosów, czyli o osiem więcej niż oficjalnie zdobyli dotąd w wyborach (tj. w chwili, gdy kończono ten tekst, 15 listopada). W Izbie Reprezentantów ich większość opiera się na kilku głosach, wymaga zatem ogromnej dyscypliny.

Kongresmeni i senatorzy na Kapitolu reprezentują przede wszystkim swoje okręgi. Ich interesy nie układają się w prostą listę rzeczy do załatwienia, lecz przypominają raczej pozbawiony konturów wielowarstwowy patchwork. Gdy więc dla jednych podnoszenie ceł na wyroby z Europy czy Chin nie będzie problemem, dla innych może oznaczać kłopot dla lokalnej gospodarki w ich okręgu. Tymczasem za dwa lata są kolejne wybory, do których stanie jedna trzecia obecnych senatorów i wszyscy członkowie Izby Reprezentantów.

Stąd pierwsza teza: o tym, jak głęboka będzie realna zmiana w polityce USA – od gospodarki, przez kwestie społeczne, po politykę wewnętrzną i światową państwa – zadecyduje pierwszy rok rządów obecnego prezydenta elekta. Wcale nie ma pewności, że przyniesie on satysfakcję wyborcom Republikanów i przerażenie wyborcom Demokratów. Albo, dla odmiany, może okazać się, że ci drudzy odetchną z ulgą, a wśród pierwszych zapanuje rozczarowanie. Głębokie zmiany mają to do siebie, że potrzebują lat, aby przynieść efekty.

Na to wszystko nakładają się decyzje personalne, które (jeśli zyskają wsparcie Senatu) mogą okazać się strzałem w dziesiątkę, ale też strzałem w stopę. Wszystko przed nami.

Trudno o racjonalne scenariusze

Teza druga dotyczy samego Donalda Trumpa. Jak pisał w ostatnim „Tygodniku" Andrzej Kohut, cytując anonimowego rozmówcę gazety „Wall Street Journal": „Trump podejmuje własne decyzje w kwestiach bezpieczeństwa narodowego często pod wpływem chwili". To jest cecha, która zapewne dotyczyć będzie większości kwestii, w jakich zdanie przyszłego prezydenta może zdecydować o tym, czy Ameryka skręci w lewo, w prawo, czy też odda się dryfowi w nieznane.

Budowanie scenariuszy i próba racjonalnego oszacowania ryzyka wydają się zatem nie mieć na razie większego sensu. Każdy lider ma swoją definicję racjonalności, która może, ale nie musi być postrzegana jako racjonalna przez tych, którzy próbują go zrozumieć. O wszystkim zdecydują nadchodzące wydarzenia i ich subiektywna ocena przez samego prezydenta, przyprawiona dużą dawką politycznego temperamentu.

Na tym polega właśnie owa nieprzewidywalność, o której wszyscy mówią, gdy akcentują nadzieje bądź obawy związane z wygraną Trumpa.

Siły i słabości Europy

Dlatego trzecia teza odnosi się do metody, jaką możemy analizować potencjalny wpływ nowej amerykańskiej polityki na Europę. Otóż zamiast czekać na to, co przyniesie czas i co zrobi Trump, lepiej dobrze określić własne słabe i mocne strony. Oraz założyć, że słabości zostaną przez kogoś wykorzystane, a siły pozwolą na obronę własnych pozycji.

Wygrana Trumpa przypadła na czas, w którym polityka europejska przegrupowuje siły, obmyśla nowe strategie i sama nie za bardzo jeszcze wie, co wyniknie z tego przegrupowania i przyszłych strategii.

Zaczynając od poziomu Unii: przesłuchania kandydatów na komisarzy trwają, Parlament Europejski czeka na pierwsze propozycje z Komisji, a państwa ↦

↦ członkowskie są coraz bardziej skupione na własnych kłopotach wewnętrznych. Niemcy – ostoja stabilności nawet w czasach, gdy bywa ona problemem, a nie zaletą – właśnie zaliczyły spektakularny rozpad koalicji rządowej. Wielka Brytania nadal szuka pomysłu na siebie na bycie poza Unią i próbuje zrównoważyć budżet po latach rządów konserwatystów. Francja ma mniejszościowy rząd. W Hiszpanii gwałtowne ulewy przyniosły równie gwałtowny kryzys polityczny.

Polska kotwicą stabilności

Ze „starych" dużych państw Unii jedynie Włochy – co samo w sobie może wydać się historycznym paradoksem – okazują się stabilne pod rządami premier Giorgii Meloni i trzymają konsekwentny kurs w polityce europejskiej oraz atlantyckiej.

Natomiast w naszej części Europy kotwicą stabilności jest Polska, która – przy wszystkich naszych problemach – jest zarówno silnym filarem Unii, jak też mocnym oparciem dla NATO w regionie Europy Środkowej oraz wschodniego i północnego Bałtyku. Wojna w Ukrainie i ciągłe próby rosyjsko-białoruskiej dywersji są bez wątpienia czynnikami, które organizują politykę w regionie od Skandynawii, przez Finlandię, po Litwę, Łotwę i Estonię. Także te kraje pozostają stabilne.

Jednak idąc dalej na południe Europy Środkowej, sytuacja wygląda już inaczej. Po Węgrzech, Słowacji i Austrii, wkrótce także Czechy (jesienią 2025 r. są tam wybory, które wygra zapewne Andrej Babiš) mogą dołączyć do klubu krajów, które kontestują zachodnią politykę sankcji wobec Rosji i udzielania pomocy Ukrainie.

Co łączy Europę i Trumpa?

Jak mają się do tego wybory w Stanach i co z tego wynika?

Dla tych komentatorów, którzy lubią klucz ideologiczny w analizie polityki, sytuacja wydaje się jasna. Wygranymi są wszyscy ci politycy i wszystkie te rządy, które są bliskie temu, jak Donald Trump myśli o świecie, zaś dla reszty nadchodzą trudne czasy. Jednak to nie jest dobry klucz. Nie uwzględnia on bowiem, jak złożona jest sytuacja zarówno w Europie, jak też w stosunkach między naszym kontynentem a Stanami.

> „Amerykański żandarm" nie powinien wypowiadać szorstkiej przyjaźni sojusznikom. **W końcu NATO jest najlepszą rzeczą,** jaka udała się Amerykanom, Kanadyjczykom i Europejczykom w XX wieku.

Zacznijmy od kilku rzeczy, które łączą Polskę, Europę i Donalda Trumpa.

To oczywiście, po pierwsze, podejście do nielegalnej imigracji, która jest wyzwaniem już nie tylko dla ochrony granic, ale przede wszystkim dla polityki wewnętrznej w państwach Unii Europejskiej. Stąd tak silne przekonanie po obu stronach Atlantyku, że niekontrolowany i masowy napływ kolejnych fal imigrantów może zagrozić zarówno spójności społecznej, jak też stabilności wewnętrznej.

Paradoks – albo, jak kto woli, ironia – polega dziś na tym, że wciąż silne liberalne centrum w Europie walczy dziś z tak pojmowaną imigracją, aby odciąć tlen politykom, dla których wzorem jest właśnie Donald Trump.

„Zieloność" i protekcjonizm

Drugim wspólnym tematem jest podejście do polityki klimatycznej, która miała być (i w wielu segmentach faktycznie jest) kołem zamachowym nowej gospodarki, ale której koszty i harmonogram stają się ciężarem nie do udźwignięcia przez europejski przemysł i europejskich wyborców.

Tu oczywiście Stany mają większe pole manewru niż w zasadzie pozbawiona własnych surowców energetycznych Europa. Przesunięcie priorytetu w stronę konkurencyjności kosztem „zieloności" jest jednak faktem i w USA, i w Europie. I wcale nie oznacza porzucenia idei „Zielonego Ładu", ale jej dostosowanie do warunków oraz możliwości społecznych. Koncern Tesla Elona Muska może więc spać spokojnie, czego nie można wciąż powiedzieć o europejskich koncernach z branży samochodowej.

Trzeci wspólny element to apetyt na protekcjonizm. I Trump, i rządy europejskie widzą w nim nie tylko szansę na ochronę własnych rynków, lecz także na odbudowę zaufania społecznego po latach globalizacji. Na niej bowiem wygrały Chiny, a nie – jak kiedyś z nadzieją zakładano – zachodnie gospodarki.

W Unii nie jest to jednak pogląd tak samo silny we wszystkich krajach. Węgry szukają chińskich inwestycji, a Niemcy dostępu do chińskiego rynku. Francja czy Polska nie mają podobnych dylematów i uzależnień. Może się więc okazać, że gdy amerykański i europejski protekcjonizm stanie naprzeciwko siebie, zwycięzcą znowu będą Chiny.

Punkty sporne Europy

I tutaj przechodzimy do ewidentnych słabości Europy, które każda administracja amerykańska próbowała mniej lub bardziej wygrywać. Ta, która zacznie urzędowanie 20 stycznia 2025 r., będzie to robić zapewne ze zdwojoną siłą.

Chodzi o Chiny, Izrael i Rosję. Każde z tych trzech państw jest jak klin, który można wbijać między poszczególne państwa Unii i patrzeć, jak mozolnie wypracowywana i krucha unijna jedność rozpada się na naszych oczach.

Chiny to nie tylko kwestia handlowa, ale i polityczna – nowi Republikanie Trumpa będą chcieli, aby Europa stanęła po ich stronie i potraktowała Pekin jak wroga. Z przyjęciem takiej optyki w Unii będzie problem. Ale samo takie żądanie zapewne otworzy pole do negocjacji np. w obszarze współpracy handlowej Unia–Chiny.

Drugi klin to Izrael i wojna na Bliskim Wschodzie, która stała się elementem polityki wewnętrznej wielu krajów Europy (przede wszystkim tych, w których żyją duże społeczności arabskie/islamskie). Dalsze bezwarunkowe wsparcie dla Izraela będzie tworzyć napięcia i dzielić poli-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

UKRAINE PRESIDENCY / REX FEATURES / EAST NEWS

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i Donald Trump. Nowy Jork, 27 września 2024 r.

tykę europejską, a także Europę i Stany. Zaostrzy też zapewne konflikt, który widać na ulicach zachodnioeuropejskich miast.

Co z Ukrainą?

Jednak dla Polski najważniejsze jest pytanie o losy dalszego wsparcia dla Ukrainy.

Zapowiedzi z amerykańskiej kampanii (np. o 24 godzinach, które wystarczą na zaprowadzenie pokoju) są oczywiście niemożliwe do zrealizowania. Ważniejsze jest pytanie, czy administracja Trumpa podejdzie do problemu strategicznie, czyli mając świadomość, że przegrana Ukrainy i zwycięstwo Rosji będą interpretowane w Pekinie jako dowód słabości USA? Czy też górę weźmie potrzeba taktyczna: naklejenie jakiegoś polityczno-wojskowego plastra, by „zamrozić" wojnę, odtrąbić sukces i zająć się innymi kwestiami?

W praktyce będziemy się zapewne poruszać między tymi dwiema skrajnymi sytuacjami. Przy czym przekonanie, że wojna na wyniszczenie Ukrainy nie jest w niczyim interesie (poza oczywiście interesem Kremla), jest dziś powszechne i w Stanach, i w Europie. Przedmiotem ewentualnych rokowań nie będą kwestie wewnętrznego ustroju Ukrainy, bo Rosja nie osiągnęła i nie osiągnie swojego głównego celu, którym było zainstalowanie w Kijowie swojego marionetkowego rządu. W tym sensie pojawiające się czasem w debacie analogie do Jałty i Poczdamu są więc nietrafione.

Test dla Waszyngtonu

Kwestią sporną w rozmowach – najpierw tych niejako wewnętrznych, pomiędzy krajami Zachodu, a potem tych z Rosją – będzie natomiast granica rosyjsko-ukraińska (dziś wyznacza ją linia frontu), a także swoboda wyboru sojuszy przez Kijów. To drugie przesądzi nie tylko o przyszłości Ukrainy, lecz również o kształcie bezpieczeństwa w Europie Wschodniej. No i jest jeszcze perspektywa dalszego wsparcia wojskowego oraz finansowego.

To będzie probierz prawdziwych intencji Waszyngtonu. I to przesądzi, czy Europa stanie w obliczu konieczności samodzielnego przejęcia odpowiedzialności za Ukrainę, czy też będzie to robić dalej we współpracy ze Stanami. Ta pierwsza możliwość oznaczałaby pogłębienie podziałów i nie pozostałaby bez konsekwencji dla relacji między Ameryką Trumpa a Europą Północno-Wschodnią (w tym Polską), czyli dziś głównym filarem NATO. Druga możliwość daje szansę na rozsądny podział pracy, w którym byłaby przestrzeń i dla całego NATO, i dla całej Unii.

„Żandarm" na pół etatu?

Sprawne zarządzanie tymi trzema tematami – chińskim, bliskowschodnim i ukraińsko-rosyjskim – jest potencjalnie największym narzędziem siły i wpływu polityki amerykańskiej w Europie. Będzie rodzić podziały, a wraz z nimi pokusy wychodzenia poza format czy to Unii, czy NATO, aby zawierać jakieś własne dwustronne porozumienia z Waszyngtonem. Wprawdzie, patrząc historycznie, to nic nowego: w przeszłości dochodziło do sporów między Stanami a krajami Europy, sporów „w rodzinie". Tym razem jednak nowa może być siła i determinacja Ameryki Trumpa, z którą przyjdzie się nam zmierzyć.

Jeśli damy się skusić na jakieś dwustronne „deale", to krótkofalowe zyski nie wystarczą na pokrycie długofalowych strat. Jeśli prawdziwe jest założenie, że nowa Ameryka, którą ujrzeliśmy we wtorek 5 listopada, chce się od nas uwolnić, to powinniśmy szykować się na ten czas, a nie liczyć, że komukolwiek w Europie uda się w pojedynkę wygrać tę zmianę.

Ale czy rzeczywiście tak musi być? Mimo wszystkich problemów z Europą, które od dekad z różną siłą rezonują w amerykańskich kampaniach, Stany nie mają lepszych sojuszników niż tych, którzy są z nimi teraz.

Ameryka Trumpa (i jego następców, także z Partii Demokratycznej) może nie chcieć gwarantować bezpieczeństwa Europy, Japonii czy Korei Południowej na tych zasadach, co przez ostatnie dekady. Ale jeśli „amerykański żandarm" zechce przejść na pół etatu, a potem na emeryturę, to nie powinien wypowiadać szorstkiej przyjaźni tym, od których także zależy, czy swój uwolniony czas i zasoby USA przeznaczą na siebie, czy znów na ratowanie własnych interesów w różnych zakątkach świata.

W końcu NATO jest i pozostanie najlepszą rzeczą, która udała się Amerykanom, Kanadyjczykom i Europejczykom w XX wieku.

O czym warto rozmawiać

Jeśli czeka nas, Amerykę i Europę, stopniowe rozchodzenie się dróg i zmiana reguły gry – co jest przecież zawsze możliwe – to mamy jeszcze czas, aby się przygotować. Pod warunkiem jednak, że odrzucimy niemądrą tezę, iż Europa, w tym Polska, ma do wyboru tylko dwie drogi: albo zacząć mówić jednym głosem i stanąć w kontrze do administracji Trumpa, albo rozpaść się na kawałki, tj. na nowo na państwa narodowe. A także pod warunkiem, że nie zaczniemy teraz w UE dywagować o reformach unijnych traktatów i instytucji, lecz skupimy się na rozmowie o bliskiej współpracy strategicznej, opartej na silnym komponencie wojskowym.

Dróg adaptacji Europy i Polski do nowego kontekstu politycznego jest bowiem więcej, a nieprzewidywalność nie jest atutem tylko przyszłego lokatora Białego Domu.

© OLAF OSICA

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

W imię dobra wspólnego

PIOTR SOŁOWIJ

Ustawa o ochronie sygnalistów ma pomóc w ujawnianiu naruszeń prawa i innych nieprawidłowości w miejscu pracy. Czy nowe przepisy mają szansę zakorzenić się w naszym kraju?

Julian Assange ujawnił na portalu WikiLeaks setki tysięcy dokumentów obrazujących ogrom strat cywilnych podczas wojskowych interwencji w Afganistanie i Iraku. Frances Haugen, pracowniczka Facebooka, opublikowała wewnętrzne dokumenty, z których wynikało, że władze korporacji zdają sobie sprawę z negatywnego wpływu jej flagowego portalu na społeczeństwo, ale ważniejsze dla nich są zyski firmy. Zarówno Assange, jak i Haugen byli sygnalistami (ang. *whistleblower*), czyli osobami ujawniającymi nieprawidłowości w swoim miejscu zatrudnienia i działającymi w interesie publicznym. Ich decyzje przyczyniły się do rozpoczęcia szerokiej dyskusji na temat prawdziwych kosztów obalania dyktatur oraz negatywnego wpływu algorytmów na jednostki oraz całe społeczeństwa.

Naruszył „zasady współżycia"

Sprawy sygnalistów to również historie bliższe naszej codzienności. Krzysztof Dobosz przez lata pracował jako asystent i wykładowca na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Studenci uczelni zaczęli zgłaszać mu, że jeden z profesorów na wydziale praktykuje wobec nich nieregulaminowe „dopytki", które najczęściej kończą się oblaniem, mimo wcześniejszego pozytywnego wyniku egzaminu pisemnego. Dodatkowo pojawiły się również wątpliwości co do oprogramowania wykorzystywanego przez profesora przy przeprowadzaniu egzaminów zdalnych. Miało ono inwigilować komputery zdających osób.

W porozumieniu ze studentami Dobosz zgłaszał te nieprawidłowości, najpierw wewnątrz uczelni, a gdy to nie przyniosło skutków, opublikował apel w sprawie na swoim facebookowym profilu. Także wtedy władze uczelni nie podjęły żadnych działań, by zaradzić zgłaszanej sytuacji, natomiast wykładowca po kilku miesiącach otrzymał wypowiedzenie. Władze uczelni uzasadniły ten krok „naruszeniem (...) zasad współżycia społecznego w miejscu pracy wskutek powtarzającego się postępowania stwarzającego napięcia, konflikty i zagrożenia spokoju".

Sprawa zwolnienia Dobosza trafiła do sądu, który jednak nie miał łatwego zadania. Wydając wyrok w lipcu 2024 r., jako sąd I instancji nie mógł jeszcze oprzeć się na nowej ustawie o ochronie sygnalistów. Została ona uchwalona w połowie czerwca, ale weszła w życie po upływie trzech miesięcy, czyli 25 września 2024 r. Sędzia orzekający w sprawie, na podstawie ogólnych reguł Kodeksu pracy oraz unijnej dyrektywy, będącej podstawą wdrożenia polskich przepisów, orzekł, że zwolnienie było niezasadne, a działania Dobosza zasługiwały na ochronę m.in. z uwagi na fakt, że był sygnalistą.

Ochrona z definicji

Sygnaliści mogą ujawniać nieprawidłowości i naruszenia prawa w ogromnych międzynarodowych korporacjach, w instytucjach państwowych, ale też w niedużych lokalnych przedsiębiorstwach. Od września działania takich osób w Polsce wspiera wspomniana ustawa o ochronie sygnalistów, stanowiąca wdrożenie do polskiego porządku prawnego unijnej dyrektywy. Nowe prawo ułatwia zgłaszanie nieprawidłowości w miejscu pracy, a także chroni osoby, które robią to w dobrej wierze i na rzecz dobra wspólnego. Celem przepisów jest skorygowanie nieprawidłowości w danej organizacji na jak najwcześniejszym etapie, najlepiej we-

wnątrz niej samej, bez konieczności angażowania prokuratury, sanepidu czy Państwowej Inspekcji Pracy.

– Ustawa rozwiązuje podstawowy problem, jakim był brak prawnej definicji sygnalisty w polskim prawie – mówi Grzegorz Makowski, profesor Szkoły Głównej Handlowej i ekspert Fundacji im. Stefana Batorego, który od lat zajmuje się tematem sygnalistów oraz przeciwdziałania korupcji. – Wieloletnie doświadczenia programu pomocy prawnej dla sygnalistów prowadzonego przez Fundację pokazywały, że brak definicji był barierą dla ich ochrony. W obliczu braku koncepcji prawnej sygnalisty sądy niechętnie wykorzystywały dostępne instrumenty, jak np. prawo pracy, by dbać o bezpieczeństwo takich osób.

Kto może zostać sygnalistą w świetle nowych regulacji? Tak naprawdę – każdy. Sprawa musi mieć jednak związek z miejscem pracy. W pierwszej kolejności będzie to więc pracownik danej firmy, urzędu czy innej instytucji, ale nie tylko. Naruszenie może zgłosić również członek rady nadzorczej, stażysta, wolontariusz czy nawet kandydat do pracy. Nie liczy się miejsce w służbowej hierarchii; ważne jest, czy ktoś wie o zachodzących nieprawidłowościach w danej firmie lub instytucji.

Co może być tematem zgłoszenia sygnalisty? Ustawa wymienia 17 obszarów. Może to być korupcja lub zamówienia publiczne, np. wtedy, gdy pracując w urzędzie gminy, dowiemy się, iż przetarg na budowę nowej drogi został za odpowiednią gratyfikacją skrojony pod jedną z lokalnych firm. Innym obszarem naruszeń może być ochrona środowiska, choćby wówczas, gdy jako kontrahenci zakładu produkcyjnego uzyskamy wiedzę o tym, że fabryczne zanieczyszczenia są wylewane bezpośrednio do rzeki.

Sygnał, a nie donos

Jak można ujawnić naruszenie prawa? Pierwszą opcją jest zgłoszenie go w jasno określonej procedurze wewnętrznej. Obowiązek jej wprowadzenia ma każdy podmiot, który zatrudnia przynajmniej 50 osób. Firma musi zapewnić poufność zgłoszenia, zarejestrować je, a na koniec zawiadomić sygnalistę, jakie działania podjęto.

– Aby wyjaśnić rolę sygnalistów i zerwać ze szkodliwymi dla tych przepisów skojarzeniami z poprzednim ustrojem oraz słusznie potępianą praktyką „donoszenia" Służbie Bezpieczeństwa, obecną sytuację można przyrównać do jednej z ewangelicznych zasad. Jeżeli masz do kogoś jakieś zastrzeżenia, to idź i powiedz mu, żeby mógł zmienić swoje postępowanie – tłumaczy dr Karol Kulig, radca prawny specjalizujący się w prawie pracy i tematyce sygnalistów. – Gdy widzę w swoim środowisku pracy, że coś nie działa tak jak powinno, jest niezgodne z przepisami, to ustawa o ochronie sygnalistów daje mi dzisiaj możliwość zwrócenia uwagi na ten fakt. Jest też szansą dla organizacji, by dokonała wewnętrznie i dobrowolnie skorygowania swojego sposobu funkcjonowania, bez konieczności angażowania organów kontroli.

Jeżeli zgłoszenie dokonane wewnętrznymi kanałami nie przyniesie efektu, lub sygnalista nie ma do nich zaufania, będzie mógł dokonać zgłoszenia zewnętrznego – ale jeszcze nie dziś. Ustawa co prawda już obowiązuje, jednak zewnętrzne raportowanie nieprawidłowości będzie możliwe od 25 grudnia.

Głównym organem obsługującym takie sprawy stanie się Rzecznik Praw Obywatelskich. Alternatywnie ↦

REKLAMA

TOK FM

TOK FM PREMIUM

60% TANIEJ

BLACK WEEKS

Audycje
Podcasty
Radio TOK FM bez reklam

Sprawdź na
tokfm.pl/premium

zgłoszenia zewnętrznego będzie można dokonać do innego organu publicznego uprawnionego do podjęcia odpowiednich działań następczych, np. prezydenta miasta czy wójta w gminie. Organy publiczne mają za zadanie zweryfikować podane informacje i jeżeli uznają je za uzasadnione, podjąć właściwe działania lub przekazać sprawę w odpowiednie miejsce, np. do prokuratury czy sanepidu.

Jeżeli ani zgłoszenie wewnętrzne, ani zewnętrzne nie przyniesie żadnych skutków, sygnalista będzie mógł dokonać ujawnienia publicznego. Również w takiej sytuacji zostanie objęty prawną ochroną, przy spełnieniu odpowiednich warunków. To m.in. przypadek Krzysztofa Dobosza. Gdyby ustawa weszła w życie wcześniej, sąd nie musiałby w jego przypadku szukać wykładni w ogólnych regułach Kodeksu pracy.

Kulturowe zagrożenie

Uchwalone przepisy to jedno, ale kluczową kwestią jest to, jak będzie wyglądała praktyka ich stosowania przez firmy, instytucje państwowe i samych sygnalistów.

– Powiedzenie komuś, że robi coś źle, niezależnie czy mówimy o relacji interpersonalnej, czy zawodowej, wymaga dojrzałości, kultury, ale też odwagi. Zazwyczaj któregoś z tych elementów brakuje, najczęściej kultury. Zarówno po stronie organizacji, ale często też po stronie samych sygnalistów – zwraca uwagę mecenas Kulig. Prawo, nawet najlepsze (choć nasz ustawodawca raczej nie jest w tej materii prymusem), nie nauczy nas automatycznie, jak umiejętnie przekazywać szefom informację zwrotną w obliczu dostrzeganych nieprawidłowości.

> Ujawnianie nieprawidłowości we własnym środowisku nie spotyka się w naszej kulturze ze zrozumieniem. **Sygnaliści nazywani są często donosicielami i kapusiami.**

Kolejnym problemem jest to, że ujawnianie nieprawidłowości we własnym środowisku nie spotyka się w naszej kulturze ze zrozumieniem. Sygnaliści nazywani są często donosicielami i kapusiami. W zmianie tego wizerunku nie pomagają polskie doświadczenia historyczne: przesiąknięta ingerencją tajnych służb codzienność PRL, okupacyjne doświadczenia II wojny światowej czy długie lata życia pod zaborami, bez własnej państwowości.

Przedsiębiorcy z kolei widzą w nowych regulacjach biurokratyczny wymysł, a wielu pracowników, znając niską skuteczność działania chociażby inspekcji pracy, sceptycznie podchodzi do zapewnień, iż faktycznie będą mogli liczyć na skuteczną ochronę, gdy zdecydują się na zgłoszenie nieprawidłowości.

– Brak wiedzy o tym, jaki jest cel i sens tych przepisów sprawia, że pojawia się duży opór przed ich wdrożeniem. Uwaga skupia się na obowiązkach i sankcjach wynikających z ustawy, a nie na tym, do czego mają doprowadzić przepisy, czyli na poprawie komunikacji, rozwoju kultury organizacyjnej i eliminacji negatywnych zjawisk – zauważa mecenas Kulig.

Bez dobrego społecznego zrozumienia, kim są sygnaliści, oraz przekonania, że podejmują oni działania w imię interesu publicznego, przez co zasługują na wsparcie i ochronę, trudno zakładać, że nowe regulacje wydadzą dobre owoce.

Po pierwsze edukacja

Ustawa o ochronie sygnalistów jest milowym krokiem ku zrozumieniu, co możemy zyskać, wspierając ich działania. – Ustawa ma też wymiar edukacyjny. Już zmienia się sposób mówienia o tych, którzy zgłaszają nadużycia w miejscu pracy. I choć dalej pojawiają się obawy przed ostracyzmem czy negatywne skojarzenia z przeszłości, to wprowadzenie tych regulacji już wpływa na postawy społeczne i kulturę pracy – zauważa prof. Makowski.

Czym zatem kierować się przy stosowaniu nowych przepisów, aby faktycznie mogły one przynieść efekty?

– Po pierwsze: nie bać się sygnalistów. Po drugie: tworzyć dobre procedury ochronne i nie poprzestawać na ustawowym wymogu konsultacji, ale faktycznie zaangażować pracowników w ten proces. To szansa na wyższą świadomość, lepsze zrozumienie procedur oraz większą chęć ich stosowania – wylicza prof. Makowski. – Nie należy bać się zalewu zgłoszeń w pierwszym okresie obowiązywania ustawy. Zawsze będzie tak, że nie wszystkie sprawy będą wartościowe, ale nawet pojedyncze zgłoszenie może uratować dany zakład przed poważnymi konsekwencjami naruszenia prawa lub ryzykiem przestępstwa. © PIOTR SOŁOWIJ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **ZIELONA GÓRA,** środa 20 listopada godz. 17.00, spotkanie z prof. Lilianną Kiejzik, „Czy kobiety potrafią filozofować?”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)
- **GLIWICE,** piątek 22 listopada godz.18:00, spotkanie z Janiną Ochojską, „Bezpieczeństwo a człowieczeństwo”, aula Centrum Edukacyjnego im. Jana Pawła II (ul. Jana Pawła II 5A)
- **WARSZAWA,** czwartek 28 listopada godz. 18.00, spotkanie autorskie z Michałem Bilewiczem wokół książki „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości”, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)
- **GRUDZIĄDZ**, czwartek 28 listopada godz. 17.30, oprowadzenie kuratorskie z Łukaszem Ciemiński po wystawie „Wojciech Marchlewski. Rzeźba, grafika, malarstwo”, Muzeum im. ks. dr. Władysława Łęgi (ul. Spichrzowa 11)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Imiona dzieci – śmiertelnych ofiar homofobii – zostały wypisane na Małopolskim Kuratorium Oświaty w Krakowie, 5 października 2020 r.

Co ludzie powiedzą

JAKUB WOJTASZCZYK

Coming out dziecka to wywrócenie do góry nogami wielu marzeń i wyobrażeń rodziców. Fachowa pomoc bywa potrzebna nie tylko młodym ludziom, ale również dorosłym.

Zazwyczaj chodzi o oczekiwania, bardziej lub mniej podświadomie wpajane nam od pokoleń przez społeczeństwo. – Zastanawialiśmy się z mężem, jak to będzie, gdy Kajetan przedstawi nam swoją dziewczynę? – wspomina Dorota. Krzysztof dodaje: – Myślałem, że będę dziadkiem, a syn z żoną będą przychodzić na niedzielne obiady.

Wtóruje im Tomasz: – Pewnie, że chciałem doczekać się wnucząt.

Tolerancyjni tylko w połowie

Ostatnie dane z raportu Kampanii Przeciw Homofobii (KPH) i stowarzyszenia Lambda Warszawa („Sytuacja społeczna osób LGBTA w Polsce. Raport za lata 2019-2020") pokazują, że 37 proc. badanych ukrywa własną orientację seksualną lub tożsamość płciową przed całą swoją rodziną. Robi to ze strachu przed brakiem akceptacji i utratą bliskich, wyśmiewaniem, niezrozumieniem, w obawie przed bezpośrednią przemocą czy wyrzuceniem z domu.

Odrzucenie nieheteronormatywnego człowieka przez najbliższe otoczenie odziera go z podstawowej tarczy ochronnej przed społeczeństwem, w którym wciąż nietrudno o homofobię i transfobię. Zaledwie 61 proc. matek i 54 proc. ojców w Polsce akceptuje odmienną od „normy" orientację swoich dzieci. Transpłciowość już tylko – kolejno – 47 i 40 proc. „Co, jeśli moi rodzice są we wrogo nastawionej grupie?" – to pytanie zadaje sobie wiele osób.

W świetle danych każdy dobrowolny *coming out* przed matką i/lub ojcem to dowód ogromnego zaufania, częściej więc zdarza się, że dzieci wypuszczają, jak nazywa to jeden z moich rozmówców, „balony próbne". Mają one rozpoznać światopoglądowe granice rodziców.

– W czasach raczkującego internetu, kiedy mieliśmy w domu jeden stacjonarny komputer, na pulpicie kilkukrotnie znalazłem gejowski film pornograficzny. Pomyślałem, że to wirus. Dopiero później syn przyznał, że były to wskazówki dla mnie – wspomina Krzysztof.

Tomasz dodaje: – Syn miał ledwie kilkanaście lat, kiedy na komputerze znalazłem odpalone strony internetowe dotyczące społeczności LGBT+. Na początku je zignorowałem.

Rodzice przymykają oko z nadzieją, że to niedopasowanie jest „fazą", która przeminie i wszystko wróci na znajome tory. Zdarza się i tak, choć z nieheteronormatywnej orientacji czy tożsamości płciowej nie można przecież wyrosnąć jak z dziecięcej niechęci do warzyw. W naszej rozmowie Wiolka opowiada ↦

↦ o „chłopackich” zainteresowaniach swojego dziecka: piłka nożna, szermierka, spędzanie czasu tylko z kolegami. Nie chciało nosić się typowo dziewczęco, a róż był nielubianym kolorem. Włosy? Ścinane na krótko.

Diagnoza: depresja

Dziecku Wiolki, któremu przy urodzeniu przypisano płeć żeńską, od małego towarzyszyły zachowania stereotypowo przypisane do płci „przeciwnej”. To, że są one konstruktem społecznym, który częstokroć ma się nijak do rzeczywistości, pokazuje opowieść Agnieszki. Jej dziecku przy urodzeniu przypisano płeć męską. – Zachowywało się jak typowy chłopiec. Bawiło się autkami, rycerzami, robotami. Dopiero w czasie dojrzewania, w gimnazjum, zaczęło zawalać szkołę, zamykać się w pokoju, zamiast bawić się z rówieśnikami i rówieśniczkami, wolało grać samotnie w gry. Coraz trudniej było mi do niego dotrzeć. Coś ewidentnie się stało – mówi Agnieszka.

Najczęściej rodzice nie mają w takich sytuacjach dobrych wzorców. Nie znają zazwyczaj osób niehetero albo transpłciowych w swoim otoczeniu. Są one odległe, obce. Tomasz, który 30 lat przepracował w policji, wspomina homofobiczne kawały i wzajemne wyzywanie się od „pedałów”. – Co prawda nie uważałem się za homofoba, ale potencjalna homoseksualność syna budziła mój wewnętrzny sprzeciw. Bycie gejem nie kojarzyło mi się z męskością, jaką widziałem w otoczeniu – dodaje.

Coming out często przychodzi niespodziewanie. Dorota wspomina: – Pewnego wieczoru mój 18-letni syn powiedział: „Mamo, tato. Jestem gejem”. Tak po prostu.

24-letnia córka Anny wyznała, że jest lesbijką, po upartym dopytywaniu przez matkę: „Dlaczego się za żadnych chłopakiem nie obejrzysz?”.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

Z kolei Agnieszka, obserwując postępującą alienację swojego dziecka, zgłosiła się z nim po pomoc psychiatryczną. Diagnoza: depresja. Leki na niewiele się zdały. – Dziecko jeszcze bardziej zamknęło się w sobie – opowiada. – Myślałam: „Na pewno jest gejem”. Nie miałabym z tym problemu, pochodzę z otwartej rodziny. Minęło gimnazjum, zaczęło się liceum. Dziecko samo do mnie przyszło. Usłyszałam: „Mamo, jestem kobietą, nie mężczyzną”. Jeśli miałam jakieś wyobrażenia o jego przyszłości, właśnie runęły.

– Moje 11-letnie dziecko zamykało się w sobie, izolowało. Nie potrafiłam do niego dotrzeć. Szukałam powodów. Z bezsilności zaczęłam przeglądać jego telefon. Wszystko miał poustawiane po angielsku, do przyjaciół pisał również w tym języku. Języku, dodam, którego właściwie nie znam. W nocy przepisywałam te wiadomości i potem tłumaczyłam. Zajęło mi to trzy miesiące – opowiada Katarzyna. – Dowiedziałam się, że moje dziecko czuje niezgodność płciową i cierpi tak bardzo, że chce odebrać sobie życie. Wstrząsnęło mną nie to, że jest transpłciowe, tylko to, że boi się i nie ufa mi na tyle, by powiedzieć, co się dzieje. Rano, gdy wstało, powiedziałam, że o wszystkim wiem. Że przejdziemy przez to razem, że go nigdy nie zostawię, bo je kocham.

Jak kijem w głowę

Dziecko Wiolki zostawiło list, w którym napisało, że obrzydza je własne ciało. Matka przyznaje, że niewiele z tego zrozumiała. W szóstej klasie powiedziało: „Czuję się chłopakiem”. „Pogadamy po 18-tce” – bagatelizowała mama. – Myślałam, że napatrzył się, jak ciężko kobietom jest w życiu, jak wiele z nich ma nieudane związki – wspomina Wiolka, która sama miała bardzo złe doświadczenia z byłym partnerem.

Teraz jej własne dziecko cierpiało. Zaczęło się samookaleczać. Groziło, że skoczy z mostu. Nie było akceptowane przez rówieśników, a nauczyciele nie reagowali.

Doświadczenia współczesnej młodzieży potwierdzają, że utożsamianie się z jedną z literek skrótowca LGBTQ+ to nadal w rodzinie bardziej problem niż powód do dumy. W głowie matek i ojców zapalają się wtedy sygnały ostrzegawcze. Pytania: „Co ludzie powiedzą?”, „Czy to moja wina?”. Lęki: „Jego/jej życie będzie horrorem”, „Nie poradzi sobie!”, „Skończy na ulicy”, „Będzie samotna/y”.

– Wszystkie te trwogi i strachy ukryłam w sobie, ale do córki wyszłam z sercem. Samo wyoutowanie pomogło nam w dalszej drodze. Zresztą, córka okazała się dobrze przygotowana. Wiedziała już, do którego ma iść lekarza, by rozpocząć terapię hormonalną – komentuje Agnieszka.

Dorota z kolei wspomina, że w podobnej sytuacji wybuchnęła płaczem. To mąż stanął na wysokości zdania. Powiedział synowi: „Kochamy cię”.

Wiolka na oczy przejrzała dzięki terapeutce, która używanie deadname’u (imię sprzed rozpoczęcia tranzycji) porównała do wbijania synowi gwoździa w serce. Kiedy wyszła z gabinetu, przytuliła dziecko i obiecała wsparcie.

Tomasz przyznaje, że nie pamięta konkretnego momentu wyjścia syna „z szafy”; o jego homoseksualności „po prostu wiedział”. Przypomina sobie jednak inną sytuację: – Kiedy syn, już wtedy student, nas odwiedził, powiedziałem mu, że wiem, iż jest gejem i że to toleruję, ale nie wyobrażam sobie, żeby przyjechał do domu z chłopakiem. Jakiś czas potem syn przypomniał mi o tym, mówiąc, że niewiele brakowało, by już nigdy tu nie wrócił. Poczułem, jakby ktoś kijem bejsbolowym przyfasolił mi w głowę. Dotarło do mnie, że przecież rodzice są po to, aby wspierać dzieci niezależnie od tego, jaką mają orientację czy tożsamość. Najważniejsze jest ich dobro.

Katarzyna od razu zaakceptowała transpłciowość syna. Nie chciała iść na kompromisy, tak w rodzinie, jak i w szkole. Wymieniła całą garderobą dziecka, nakazała zwracać się wybranym przez niego imieniem. Kiedy nauczyciele i nauczycielki robili problemy, załatwiła synowi nauczanie indywidualne. Ojcu dziecka, a jej byłemu partnerowi, akceptacja zajęła dużo czasu. Katarzyna słyszała od niego, że transpłciowość to wynik jej błędów wychowawczych albo złych genów. – Używał deadname’u i błędnych zaimków. Posunęłam się do ostateczności. Zagroziłam, że zabronię mu kontaktów. Podziałało – dodaje.

Akademia zaangażowania

Po pierwszym szoku, jaki wywołał *coming out* ich dzieci, moi rozmówcy i rozmówczynie rzucili się do edukacji. Przeszukiwali internet, sięgali po książki. Pytali dzieci o radę. Oddzielali informa-

cyjne ziarno od plew. Dowiadywali się, jakie potknięcia zdarzają się najczęściej: od używania deadname'u (u dzieci trans), przez wyjawianie przed rodziną i przyjaciółmi orientacji dzieci bez ich zgody, aż po niewłaściwie skonstruowane pytania: „Czy potrzebujesz psychologa?", „Co wpłynęło na twój wybór orientacji?".

Niektórzy rodzice ukrywali przed otoczeniem prawdę – ze strachu przed stygmatyzacją. Pojawiało się poczucie straty. I głębokiej samotności.

– Słyszałam: „Nie martw się", „Na pewno mu przejdzie". Od pary, z którą przyjaźniłam się 40 lat, usłyszałam: „Teraz będziemy musieli zmienić poglądy". Było to, czego się bałam. Homofobiczne otoczenie, puste deklaracje – wspomina Dorota. – Szukałam osób, z którymi mogę porozmawiać o moim doświadczeniu, zwłaszcza że dostałam pozwolenie od syna.

Na stronie KPH Dorota trafiła na informację o organizowanej właśnie Akademii Zaangażowanego Rodzica (AZR), cyklu sześciu weekendowych warsztatów dla matek i ojców osób LGBTQ+. Podzieliła tym samym drogę części moich bohaterek i bohaterów. Inni dołączyli do stowarzyszenia „My, Rodzice". Wśród jego współorganizatorek były m.in. Dorota i Anna.

– Ważny jest nasz dopisek: „stowarzyszenie matek, ojców i sojuszników osób LGBTQIA". Daje on jasno do zrozumienia, że jesteśmy generacją, która kroczy przed naszymi dziećmi i je chroni. W pełnej nazwie nie ma wstydu, nie ma proszenia o akceptację. Jest duma – komentuje Dorota.

Ich wizją jest Polska, w której respektowane są prawa każdego człowieka, a wszyscy traktowani są równo. Podczas zjazdów spotykają się ze specjalistami, dostają swobodę mówienia o złożonych tematach dotyczących orientacji seksualnej i tożsamości płciowej oraz o swoich doświadczeniach. Lepiej też mogą zrozumieć swoje dzieci i znajdują pokrewne dusze. – Przeglądamy się w doświadczeniach innych jak w lustrze. Gdy ktoś opowiada o swoim dziecku, mówimy: „Mieliśmy tak samo" – wspomina Agnieszka.

Dorota dodaje: – Uświadomiłam sobie odwrócenie hierarchii. Teraz to nasze dzieci wprowadzały nas w świat, nie odwrotnie. Przestałam stawiać się w roli „biednego rodzica chorego syna". Dość

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Uświadomiłam sobie odwrócenie hierarchii. Teraz to nasze dzieci wprowadzały nas w świat, nie odwrotnie. Przestałam stawiać się w roli „biednego rodzica chorego syna".

szybko powiedziałam głośno: „Jestem matką geja!". Kiedy wypowiesz te słowa, przestają być one tabu.

Różnorodność jest wspaniała

Dla Krzysztofa, obok poczucia wspólnotowości, najcenniejsza była zmiana, która zaszła w nim i żonie. – Pochodzę z bardzo tradycyjnej, katolickiej rodziny, do tego męskiej, bo mam jeszcze dwóch braci. Nikt nie rozmawiał ze mną o seksualności. Gdy dowiedziałem się, że nasze płeć i tożsamość to spektrum, przeżyłem szok poznawczy. Tradycyjne oczekiwania i wiedza przestają być aktualne w momencie, w którym dowiadujesz się, że jesteś rodzicem osoby nieheteronormatywnej. Nic nie jest stałe, nic nie jest pewne. Różnorodność jest wspaniała!

Agnieszka była w stowarzyszeniu jedną z pierwszych mam dziecka transpłciowego. – Przecierałam szlaki. Dziś przede wszystkim zgłaszają się do nas rodzice dzieci niebinarnych. To nie jest moda. Po prostu wcześniej niebinarność nie była nazywana. Wraz z edukacją zwiększyła się świadomość.

Nowe osoby pytają: „Co będzie dalej?", „Jak żyć?", „Co mamy robić?". Nadziei szukają w doświadczeniu innych, u osób po tranzycji lub w jej trakcie, u rodziców, których synowie geje i córki lesbijki, mimo braku podstawowych praw, prowadzą gospodarstwa domowe, „normalnie" radząc sobie w życiu.

– Dzięki mojemu synowi odnalazłam siebie. W aktywizmie zaś poczułam się jak ryba w wodzie – dodaje Katarzyna, która, prócz działania w „My, Rodzice", moderuje facebookową grupę „Transpłciowość w rodzinie". – Najczęstsze pytanie od rodziców? „Co, jeśli zgadzając się na tranzycję podejmiemy błędną decyzję?", „Co, jeśli dziecko za ileś lat »zmieni zdanie«?" Nikt tego nie wie, bo nie żyjemy w przyszłości. Należy jednak towarzyszyć swojemu dziecku i je wspierać podczas obranej drogi.

„My, Rodzice" to nie tylko spotkania i edukowanie się we własnym gronie. To też działanie na rzecz tęczowej społeczności. Motywacją Tomasza była wściekłość, którą poczuł podczas kampanii prezydenckiej w 2020 r., kiedy Andrzej Duda posługiwał się homofobiczną i transfobiczną retoryką. Usłyszał wtedy: „LGBT to nie ludzie, to ideologia". Niezgodę przekuł w pomaganie nie tylko rodzicom, ale i dzieciakom LGBTQ+.

Podobnie Anna: – Weszłam w społeczność gejów i lesbijek, która przyjęła mnie niczym królową! Akceptujący rodzice są tam na wagę złota.

„Daj mamie, niech zadzwoni"

W raporcie KPH i Lambdy czytamy: „Ogólnie doświadczenie akceptacji ze strony rodziny łączy się z lepszym stanem zdrowia, wyższą samooceną i zadowoleniem z życia, a także niższym poczuciem osamotnienia wśród społeczności LGBT+. Co więcej, akceptacja wiąże się z mniejszym nasileniem objawów depresji, mniejszą częstotliwością myśli samobójczych".

Wejście moich rozmówców i rozmówczyń do tęczowej społeczności i działanie na jej rzecz zacieśniło więzi z ich dziećmi. – Mój syn zacytował mi rozmowę ze swoim homoseksualnym kolegą: „Twoja mama współdziałała w KPH, a moja przewodzi wszystkim homofobicznych matkom". Światy mogą tak bardzo różnić się od siebie – mówi Dorota.

Flagi stowarzyszenia powiewają podczas niemal wszystkich istotnych wydarzeń, jak marsze i parady równości. Do matek i ojców zrzeszonych w „My, Rodzice" podchodzą wtedy tęczowe „dzieciaki". Pytają czy mogą się przytulić. Zwierzają się. Proszą o radę. Płaczą. – Dajemy im wizytówki. Mówimy: „Daj mamie, niech zadzwoni. Nie jest jedyna" – wspomina Dorota. Agnieszka wtóruje: – Wskazują też palcem w tłum i wołają: „Moja mama też jest ze mną!", „Mój tata idzie z nami!".

Dorota, kończąc naszą rozmowę, opowiada: – Niedawno podeszło do nas niebinarne dziecko. Powiedziało: „Gdyby moja mama was nie spotkała, moje życie pewnie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Dziękuję".

© JAKUB WOJTASZCZYK

„TP" 43/2024

Bieda w Polsce rośnie, ale jedzenie nadal marnujemy

Jestem czytelnikiem „Tygodnika" od wielu lat, a od pięciu lat pracuję (po godzinach swojej aktywności zawodowej) w stowarzyszeniu wspierającym ludzi ubogich i potrzebujących w dużym mieście. Przeczytałem ostatnio artykuł Marka Rabija i Przemysława Wilczyńskiego pt. „Raport o polskim ubóstwie: ponad 17 mln Polaków w niedostatku, ponad pół mln dzieci w skrajnej biedzie" – i właśnie ten tekst skłonił mnie do napisania listu. Nasze stowarzyszenie uruchomiło ponad dwadzieścia tzw. społecznych lodówek, dodatkowo pomagamy też indywidualnym osobom (najczęściej starszym, mającym ograniczenia ruchowe lub żyjącym na progu ubóstwa), odbierając ze sklepów, cateringu, restauracji itp. żywność z kończącym się terminem przydatności do spożycia, zapobiegając w ten sposób jej utylizacji. Odebrane produkty przekazujemy bądź to do wspomnianych lodówek, bądź w postaci przygotowywanych przez nas paczek adresowanych do indywidualnych odbiorców, znajdujących się w trudnej życiowej sytuacji. Wszystko to robimy *pro publico bono*, własnymi zasobami (zaangażowani w tę działalność są również współpracujący z nami wolontariusze), w wolnym czasie i bez narzekania – bo czujemy, że to coś dobrego. Od kilku miesięcy odbieramy jednak znacząco mniejszą (albo nie odbieramy wcale) ilość żywności z jedynego w mieście „przyznanego" nam przez Bank Żywności sklepu (z jednej z dużych ogólnopolskich sieci). Taki stan rzeczy tłumaczony jest nam „brakiem pracownika, który miałby czas do wyszukania produktów, którym kończy się data minimalnej trwałości lub które mają uszkodzone opakowanie". W efekcie ze smutkiem obserwujemy, że duże ilości żywności, zamiast trafić do osób potrzebujących jej (za pośrednictwem organizacji podobnych do naszej), trafiają na listę produktów przeznaczonych do utylizacji, co w praktyce może wskazywać na pełną dowolność w stosowaniu przepisów i brak konkretnych mechanizmów kontrolnych. Jak łatwo zauważyć, samo podpisanie na papierze umowy z organizacją pozarządową nie spowoduje, że zaprzestaniemy marnowania żywności, bo jej znakomita większość nadal jest wyrzucana.

PIOTR

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TOMASZ

Stawiszyński: *Kryzys demokracji?*

O tym, że niedawne, drugie już zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach to symptom kryzysu demokracji, rozpisują się lewicowo-liberalni komentatorzy. Istotnie, biorąc pod uwagę, by tak rzec, kulturowy kapitał prezydenta elekta, jego biografię, *modus operandi* oraz liczne fantazyjne wypowiedzi, nie sposób się z tą diagnozą nie zgodzić. Poprzestawanie jednak na niej – co się niestety nader często zdarza – jest dowodem albo umysłowego lenistwa, albo przywary jeszcze w skutkach groźniejszej. Mianowicie: radykalnego samozadowolenia.

W domyśle mamy tu bowiem przekonanie, że zasadniczo za ów kryzys odpowiadają politycy podobni Trumpowi. Ewentualnie jeszcze ich sprytni spin doktorzy grający na populistycznych nutach, umiejętnie mamiący nieświadomy („ciemny") lud, który wciąż nie dojrzał do przestrzegania standardów. My zaś – to znaczy ci, którzy patrzymy na to wszystko z rosnącym przerażeniem i niesmakiem – żadnej odpowiedzialności nie ponosimy. Możemy co najwyżej ubolewać, jak bardzo nasza polityczna, społeczna i światopoglądowa agenda przesunęła się na drugorzędne pozycje. Że jednak i my – to znaczy: demokraci, liberałowie, lewica, zwolennicy progresu, nowoczesności i otwartości – możemy za ów kryzys częściowo odpowiadać? Że odwrócenie się ludzi od naszych propozycji bierze się być może również stąd, że się one rozmijają z ich doświadczeniem i potrzebami? Że unosimy się wprawdzie na miękkich, czułych falach naszych ze wszech miar słusznych teorii i ideologii, niemniej systematycznie oddalamy od brzegu? No nie, jeśli ktoś tak uważa, niechybnie przynależy do obozu wroga i należy go potępić, obśmiać i zmarginalizować.

Powyższa parafraza to nie jest oczywiście sto procent głosów pojawiających się ostatnimi czasy w mediach społecznościowych i na rozmaitych łamach, ale jest to ton wyraźnie słyszalny. Co potwierdza nienową tezę o postępującej alienacji zachodnich lewicowo-liberalnych polityków wobec realiów, w jakich żyją ich wyborcy. Zdecydowane zwycięstwo Trumpa, zwłaszcza po niebywale intensywnej kampanii mającej przedstawić go jako wcielenie najstraszliwszych ludzkich cech, jest kolejną konsekwencją i ilustracją tego stanu rzeczy.

Pytanie tylko: czy środowiska Trumpowi nieprzychylne i stanowiące dlań naturalną konkurencję będą w stanie dokonać takiego rachunku sumienia? Czy będą w stanie przekroczyć tę niebezpieczną iluzję, że oto mamy do czynienia z jakimś nieledwie złym snem? Albo efektem specyficznego spiętrzenia: źli, głupi i straszni ludzie wybrali złego, strasznego i głupiego człowieka właśnie dlatego, że jest on zły, straszny i głupi dokładnie tak samo jak oni? Odpowiedź na te pytania poznamy w najbliższych latach. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że obawy dotyczące całkowitego porzucenia Ukrainy przez Amerykę jednak się nie potwierdzą. Za delikatnym optymizmem w tej sprawie przemawia okoliczność, że byłoby to niekwestionowane – symboliczne, polityczne i wszelkie inne – zwycięstwo Putina. Rosyjski dyktator okazałby się (w oczach swoich sojuszników i wrogów) wytrawnym strategiem, który od początku wiedział, co robi, i konsekwentnie, wbrew międzynarodowemu sprzeciwowi, realizował swoje cele. Czy Trump zechce sprawić mu taki prezent?

Tymczasem czytam w amerykańskich mediach, że niektóre uczelnie, w tym te z Ivy League, czyli grupy najbardziej prestiżowych na świecie, zwolniły studentów z zajęć w powyborczym dniu, a także udostępniły dla nich... darmową pomoc psychologiczną. Jedna ze szkół Uniwersytetu Georgetown przygotowała nawet specjalną przestrzeń, w której można się było zrelaksować, pobawić klockami Lego, porysować, wypić kakao i zjeść darmowe ciasteczka. W ramach łagodzenia powyborczego szoku, oczywiście. Skądinąd filmy przedstawiające młodych – i nie tylko – ludzi rozpaczających i dosłownie rwących włosy z głowy z powodu wyniku wyborów pojawiły się na platformie X w wielkiej obfitości.

Cóż, nie od dziś wiadomo, że intensywność amerykańskiej polaryzacji dorównuje polskiej. Skoro narracja medialna i partyjna propaganda opierają się prawie wyłącznie na podkręcaniu apokaliptycznych fantazji, nie można się dziwić, że ludzie doświadczają w związku z polityką ekstremalnych emocji. Okoliczność wszakże, że szacowne uczelnie, których zadaniem jest kształcić przyszłe elity, traktują wygraną politycznego przeciwnika w legalnych wyborach jako traumę wymagającą psychologicznej pomocy, tworzenia *safe space*, a nawet „leczenia się" ciasteczkami i kakao – zdaje mi się czymś wysoce osobliwym. By nie powiedzieć – symptomem wspomnianego kryzysu demokracji, tyle że występującym po przeciwnej stronie spektrum.

W demokracji bowiem – przynajmniej dopóty, dopóki ona funkcjonuje – porażka jest oczywistym elementem gry. Ba, więcej nawet – jeśli któraś ze stron nie może przegrać, wówczas nie ma demokracji. Jej składową, w tym samym stopniu, jest więc również uszanowanie woli większości, autorefleksja nad przyczynami przegranej, a następnie próba konstruktywnego wyjścia z impasu. I tego właśnie wielu z nas oczekiwałoby od lewicowo-liberalnej strony. A że zamiast tego są lamenty, szok, zaprzeczenie, utyskiwania na wyborców, afekty, kryzysy, płacz, dni wolne, popterapia, kakao oraz ciasteczka – to mnie, przyznam, napawa niepokojem w co najmniej równym stopniu, jak zwycięstwo Donalda Trumpa. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

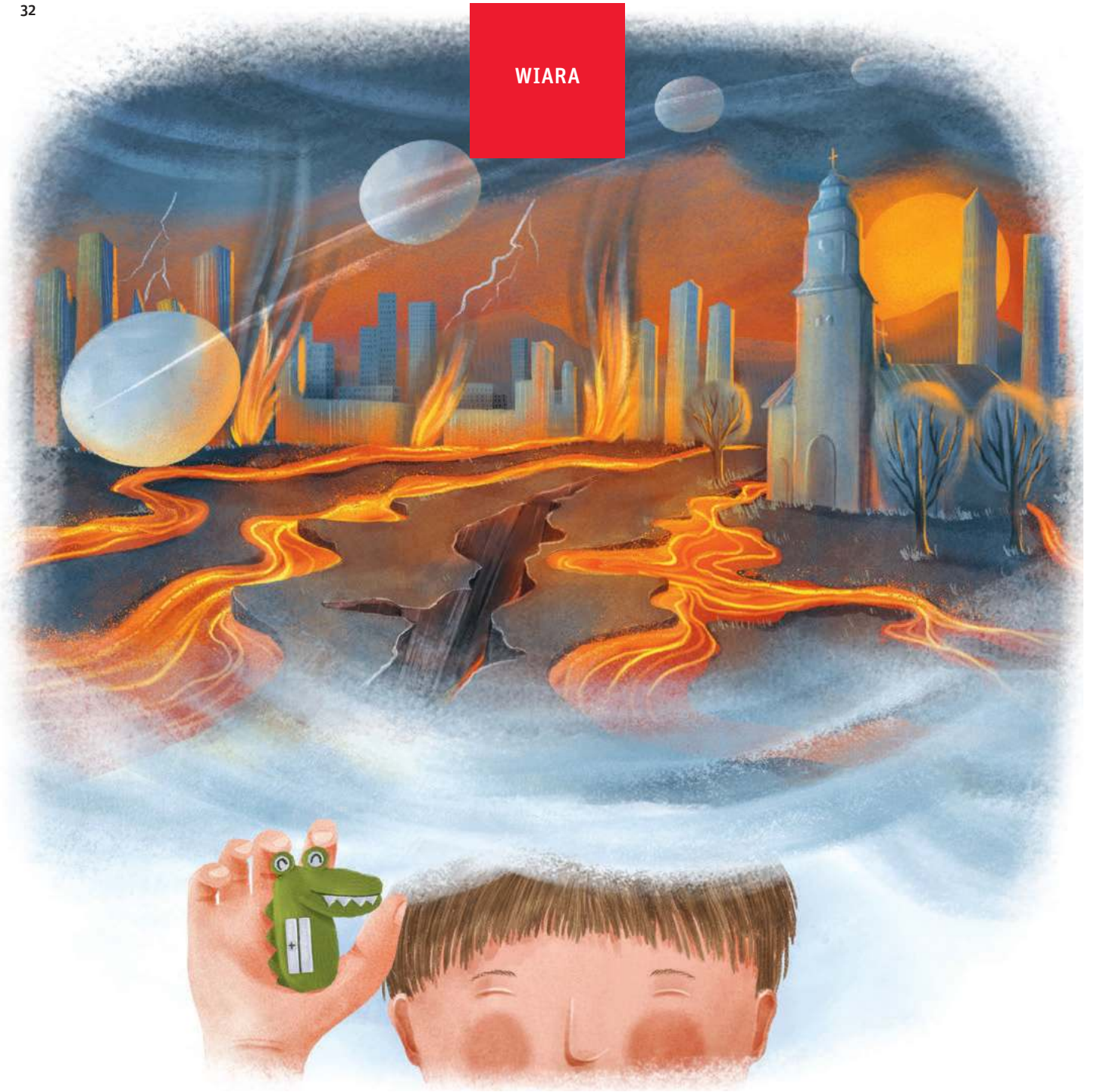

KICI, KICI, MIAU, MIAU

Dzieci śmieją się z Anety, bo nie umiała przeczytać prostego wersetu. Nie idzie też na głoszenie. Jej ojciec jest wykluczony, więc rodzice mówią, że zaraziła się słabą wiarą.

TEKST ŁUKASZ GAMROT | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Łukasz nie wierzy w piekło. Chłopiec ma 12 lat i wierzy, że po śmierci nie ma nic. Zamykasz oczy i znikasz. W rodzinie świadków Jehowy nie wierzy się w życie po śmierci. W takiej rodzinie większości rzeczy jest się pewnym. Wiadomo, że w Armagedonie zginą wszyscy ludzie ze „świata", czyli tacy, którzy nie wierzą w Jehowę i nie należą do organizacji Świadków Jehowy.

Armagedon

Łukasz siedzi na zbiórce do służby polowej. Twarde, drewniane krzesła wrzynają się w tyłek. Zbiórka kończy niedzielne zebranie, które trwa dwie godziny. Łukasz wyobraża sobie Armagedon. Myśli wtedy o potokach lawy przelewających się przez miasta, otwierających się szczelinach w betonie, do których wpadają niegodziwcy. Widzi kule gradowe wielkości słoni roztrzaskujące lokalne dyskoteki.

Inspirację czerpie z obrazków w „Strażnicy", na których widać przerażone kobiety w krótkich spódniczkach depczące banknoty i strzykawki. Wszystko, co złe, pochodzi ze „świata". Wszystko, co złe, zginie z ręki Jehowy. Kasia, rok starsza od Łukasza, mieszka na osiedlu z widokiem na kościół. Mówi, że nie może znieść dzwonów, które budzą ją każdego dnia, ale w takich momentach wyobraża sobie, że podczas Armagedonu będzie miała piękny widok na walący się budynek. Oczy szczupłej trzynastolatki lśnią. Pod gruzami słychać jęki dzieci. Armagedon przypadał w maju, więc Jehowa rozprawia się z grupką dzieci przystępujących do komunii.

Łukasz wierci się na stołku. Na scenie pojawia się para głosicieli królestwa, która odgrywa symulację rozmowy między głosicielem a zdenerwowanym mieszkańcem, któremu świadkowie przeszkodzili w obiedzie z rodziną. Łukasz wraca do zmartwychwstawania w Dniu Sądu. Tydzień temu rozmawiał o tym z Martyną – trzy lata młodszą, cichą dziewczynką, która wyobrażała sobie minę dziadka, który wstaje z grobu tylko po to, żeby usłyszeć, iż ląduje w jeziorze siarki i ognia, a do raju trafiają kociorze.

We dwójkę marzą o karze, która spotyka z rąk Jehowy ich kolegów. Paweł, który słuchał satanistycznych zespołów, rozpada się w pył. Klaudia, która namówiła wszystkie dziewczyny z klasy Martyny, żeby przez miesiąc udawały, że dziewięciolatka nie istnieje, wpada do rozpadliny, a jej włosy płoną... w imię Jezusa Chrystusa Amen. Krzesła szurają o czerwoną wykładzinę. Wszyscy siadają na swoich miejscach. Po zebraniu spotykają się na tyłach Sali Królestwa. Śmieją się z Anety, która nie umiała poradzić sobie z przeczytaniem prostego wersetu. Nie idzie też na głoszenie. Jej ojciec jest wykluczony, więc rodzice mówią, że zaraziła się słabą wiarą. Trzeba na nią uważać.

Nastolatków w zborze nie jest zbyt wielu (około dziesięciu). Zbory liczą około stu osób. Mając dwanaście lat, jesteś jeszcze zbyt młody, żeby należeć do grupy starszych braci, którzy organizują imprezy. Tworzą się małe grupy towarzyskie. Przynależność do nich często warunkuje pozycja ojca (głowy rodziny) w zborze. Jeżeli jest starszym (pełni funkcje zarządcze), to automatycznie jesteś ważniejszy. Wiąże się z tym jednak odpowiedzialność. Twoje zachowanie będzie oceniane przez pryzmat „syn lub córka starszego". Jeżeli sprawiasz problemy, to znaczy, że twój ojciec nie potrafi nadzorować własnej rodziny, więc pojawiają się wątpliwości, czy potrafi „paść stado duchowych braci i sióstr".

Dyscyplinę ojcowie utrzymują żelazną, wykorzystując do tego „ojcowską rózgę". Przemoc jest na porządku dziennym.

Kolacja

Aneta nienawidzi spódnic, które każe jej wkładać na zebrania matka. Prostuje się po modlitwie i zerka w kierunku dzieci. Basia (imię zmienione), córka przewodniczącego zboru, a prywatnie jej kuzynka, podnosi dwa palce i jąkając się, czyta werset biblijny. Dzieci się śmieją.

Aneta podciąga spódnicę i rusza w ich stronę. Kiedy podchodzi do kółka, opowieść się urywa. Dzieciaki uśmiechają się do siebie, a Łukasz pyta, czy idzie dzisiaj głosić. Nie idzie. Łukasz odchodzi, a za nim ruszają pozostałe dzieci. Dzisiaj wieczorem Basia urządza ognisko zborowe, Aneta nie została na nie zaproszona.

Wracają z mamą do domu. Ojciec, który na zebrania chodzi rzadko (jest wykluczony), pyta, jak było. Mama przekazuje, że Aneta zgłosiła się do odpowiedzi tylko raz i dukała nieprzygotowana. Ojciec krzyczy. Wypomina jej Harry'ego Pottera, którego dzień wcześniej spalił w kominku. Ojciec jest wykluczony za papierosy, ale wierzy w Jehowę. Marzy o tym, żeby być świadkiem Jehowy, więc żyje, jakby nim był, tylko nie może rzucić palenia.

Dzisiaj przychodzą starsi na kolację. Ojciec każe Anecie odrobić lekcje. Córka musi uczyć się dobrze. Jednocześnie nie może brać udziału w zajęciach pozalekcyjnych. Zazwyczaj w tym czasie wypada zebranie. Poza tym poświęcanie czasu na świeckie zainteresowania oddala od Jehowy. Musi być grzeczna w szkole i mieć świetne oceny, bo daje przykład innym jako świadek Jehowy. Nie wie, jak się ma uczyć, żeby było dobrze.

Aneta słyszy, jak ojciec kroi mięso na grilla. Zamówił je u znajomego rzeźnika tydzień wcześniej. Podobnie jak drewno na grilla. Od kilku dni powtarza, że najlepszy smak daje wysuszone drewno z drzewa wiśniowego. Wzrok mężczyzny wędruje mimowolnie do kurtki zawieszonej na wieszaku. W wewnętrznej kieszeni znajduje się paczka papierosów. Ojciec nienawidzi swojej grzesznej natury. To przez nią nie może uczestniczyć w służbie polowej i rozmawiać z braćmi. To przez nią jest wykluczony.

Mówi, że bracia będą za 15 minut. Przychodzi dwóch starszych z żonami. Nie biorą ze sobą dzieci. Dzieci boją się przychodzić do Anety, kiedy w domu jest jej ojciec, wykluczony. Chce jej się płakać, ale słyszy dzwonek do drzwi. Ojciec błyskawicznie wychodzi do ogrodu. Wchodzą bracia. Ukradkiem zerkają przez ramię matki. Aneta widzi te spojrzenia i robi się jej zimno. Ojciec jest w ogrodzie i trzęsie się z zimna, więc Aneta idzie do niego z kurtką. On każe przynieść rzeczy na grilla. Starsi ze zboru rozmawiają w salonie z matką i dziadkiem. Wszyscy są świadkami Jehowy. Babcia zaprasza do stołu. Sztućce i talerze lśnią.

W tarasowych drzwiach pojawia się ojciec. Niesie dwa duże półmiski wypełnione pięcioma rodzajami mięs. Przy stole zapada cisza. Aneta czuje napięcie. Ojciec nie wie, gdzie ma podziać oczy. Mówi pod nosem dzień dobry i kładzie na stole jedzenie. Nikt nie odpowiada. Matka mówi mu, żeby poszedł na górę. Ojciec rzuca ostatnie spojrzenie na nieruchome twarze przy stole i powoli wlecze się w stronę schodów. Aneta wyje ze wstydu. Robi to do środka, tak jak zawsze.

Atmosfera przy stole się rozluźnia. Matka nakłada na talerz kiełbasę, dwie kromki chleba i wstaje od stołu. ↦

↦ Idzie zanieść kolację ojcu, który musi czekać, aż bracia skończą jeść. Kiedy odjeżdżają, on schodzi na dół. Pyta, jak było, czy im smakowało. Bardzo smakowało. Ojciec zerka w stronę kurtki przy wejściu. Matka syczy, że widzi, czego chce. Ojciec uderza pięścią w stół. Zaczyna przeklinać. Często się złości, ma problemy z agresją. W końcu wychodzi, a z ogrodu dobiega trzask zapalniczki. Dym z czerwonego marlboro miesza się z wonią wiśniowego drewna dogasającego na grillu.

Kocenie

Pytam Anety, dlaczego zdecydowała się w tak młodym wieku wziąć chrzest. Miała dwanaście lat.

– Szukałam uwagi i docenienia, bo nikt mnie nie szanował. Myślałam, że jak zrobię coś wielkiego, to ktoś na mnie zwróci uwagę i chociaż tego jednego dnia mnie przytuli. Wiem, że to głupie, ale tak się czułam. Samotna, niezrozumiana, bez przyjaciół. Oceniana, obgadywana. Totalnie zagubiona. Wierzyłam wtedy w Boga i w to, że będę świadkiem do końca życia. Ale w tamtym momencie byłam emocjonalnie rozbita. Dla mnie najgorsze było to, że wychowywałam się w rodzinie, gdzie jeden z rodziców był wykluczony, a drugi bardzo wierzący.

I ciągnie dalej: – W tamtych czasach w szkole dzieci bardzo wyśmiewały się ze świadków Jehowy. Na korytarzach odbywało się bezwzględne „kocenie". Nikt nie chciał się ze mną kolegować. Z małymi wyjątkami osób, które chciały utrzymywać ze mną przyjacielskie relacje, ale nie mogłam spotykać się z nimi po szkole. Kiedy koleżanka z klasy odprowadzała mnie do domu, mój sąsiad, też świadek Jehowy, przyszedł do nas i powiedział, że widział mnie, jak prowadzę się ze „światusami". Nie mogłam uczestniczyć w pogrzebie mamy mojej koleżanki, bo był w kościele. Z drugiej strony, jako osoba żyjąca pod jednym dachem z wykluczonym członkiem zboru, byłam traktowana przez innych świadków Jehowy jako osoba gorszego sortu. Rodzice zabraniali swoim dzieciom odwiedzać mnie w domu, by chronić je przed kontaktem z osobą wykluczoną. Czułam się gorsza w każdym miejscu i niewystarczająca, co sprawiało, że bardzo trudno było mi odnaleźć się w społeczeństwie i grupie.

– Moja matka, jak jej mówiłam, co czuję, to odpowiadała, że mam nie patrzeć na innych, tylko na siebie i Boga. Dlatego mówię, że byłam niezrozumiana. Bo żadne towarzystwo nie było dla mnie, i nawet rodzice nie byli. Bardzo mnie do teraz irytuje hipokryzja zborowa, rodzinna. Bardzo mi to mieszało w głowie, że widzisz jedno, a czytasz i słyszysz o drugim. Czułam wielką niesprawiedliwość.

Aneta wspomina, że śmiano się z niej w szkole, że niczego nie może.

– Nawet jak się z kimś bardziej polubiłam, to relacje szybko się rozluźniały, bo oni spędzali razem czas, a ja nie. Mieli relacje z imprez, pierwsze miłości, koncerty, a ja nic nie mogłam. Więc w końcu wszystko gasło. Ileż można rozmawiać o szkole? Nie miałam nic do zaoferowania, nie mogłam z nimi niczego przeżywać. A w zborze? Tam również nie ma głębokich relacji. Ludzie uważają na to, co mówią, rozmawiają na tematy związane ze zborem i religią, ale ile można rozmawiać o szkole królestwa? A jeżeli podzielisz się czymś naprawdę osobistym, to zazwyczaj ma to związek z grzesznymi myślami i powinno zostać zgłoszone starszym.

– Irytowało mnie, jak słyszałam plotki, że np. Paweł miał rozmowę z braćmi, bo pnie się po szczeblach kariery w banku i to nie wypada, a Krzysztof choć był starszym i wypijał dwa do czterech piw co wieczór, to nikt się nie wtrącał. Kaśka to wychwalana bohaterka, która zrezygnowała ze studiów, żeby służyć Bogu, postawiona jako wzór do naśladowania. Basia to chodzące zło. Była bibliotekarką. Ona kontrolowała, co czytam w gimnazjum i liceum. No to, jak pamiętam z dzieciństwa, to same zakazy.

– Marzyłam jako dziecko, żeby być już dorosła i uciec. Pewnego dnia, po kłótni, ojciec powiedział, że nie puści mnie na studia. Powiedziałam, że wychodzę do służby polowej. Wyszłam i już nigdy nie wróciłam.

Nóż

Niedziela, 22 października 1998 roku. Służba polowa.

Ul. Kukułek 4a. Wysoki mężczyzna w okularach. Był zainteresowany tematem życia wiecznego, wziął czasopismo: „Kto tu rządzi, ty czy urządzenia elektroniczne?". Zgodził się na wizytę za tydzień.

Ul. Kukułek 4b. Nikt nie otworzył.

Ul. Kukułek 5. Starsza pani, nie chciała otworzyć drzwi. Zgodziła się na zostawienie „Strażnicy" w drzwiach: „Jak zapewnić sobie bezpieczną przyszłość?". W przyszłym tygodniu na obiedzie będzie jej syn i wtedy porozmawia.

Kukułek, dom ze zniszczoną elewacją i czerwonymi drzwiami, bez numeru. Na podjeździe stoi sportowy samochód. Łukasz wsuwa zeszyt do skórzanej teczki. Sprawdza mapkę terenu do głoszenia. Teren to określenie przestrzeni, w której porusza się głosiciel. Głosiciel to określenie świadka Jehowy, który wyrusza głosić dobrą nowinę. Dzięki dobrej nowinie wiesz, że świat, w którym żyjesz, dobiega końca. Dwunastolatek powtarza w myślach rady ze zbiórki polowej. Waży w dłoni neseser. W neseserze czekają czasopisma „Przebudźcie Się" i „Strażnica".

Czy chciałby pan żyć w świecie pozbawionym przestępstw? Kto by nie chciał żyć w takim świecie. Ma pan córkę, albo syna, prawda? Proszę popatrzyć na mnie i mojego synka. (Łukasz z czułością spogląda na szczupłego, łysego mężczyznę w okularach, który stoi obok niego). Jeżeli pan jest ojcem, to na pewno chciałby pan, żeby pana dziecko wychowywało się w świecie bez ciągłego strachu, bez morderców, gwałcicieli i narkomanów. I ja ten świat mogę panu dać. To znaczy Jehowa może go dać, ale jeszcze nie teraz. Cierpliwości.

Najpierw werset z listu do Koryntian. No bo wie pan, że w Biblii, w tej Biblii, którą pan ma w swojej komodzie, została zawarta obietnica życia w czasach, kiedy nie będziemy musieli obawiać się żadnego zła. Proszę nie patrzyć z takim zdziwieniem. Możemy przeczytać ten werset z pana Biblii, żeby nie było żadnych wątpliwości. Jakie wydanie czyta pan najczęściej? Proszę się nie złościć, my tutaj często rozmawiamy z ludźmi i nikt nie pamięta, ale to wydanie Tysiąclecia albo świętego Jakuba. Tak? Bardzo dobre wydanie, ale nie chcę zabierać więcej czasu, tylko może byśmy wspólnie przeczytali, ja do niczego nie namawiam, po prostu jest niedziela i pan z kościoła wrócił, prawda? No to kiedy jest lepszy moment, żeby porozmawiać o Stwórcy, niż niedziela? No prawda, że nie ma, a to może byśmy weszli na piętnaście minut i spokojnie porozmawiali, żeby sąsiedzi nie hałasowali.

To, co odróżnia głoszenie w niedzielę, to ciasto i wstyd przed sąsiadami. Drzwi otwierają się i przez próg przedostaje się kwaśny odór alkoholu. Papieros w ustach

gospodarza rozżarzył się jak głos ojca cytującego list do Koryntian. „Choćbym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący!”. Mężczyzna kołysze się, oparty plecami o blat kuchenny i słucha, słucha, słucha.

Ojciec kończy czytać i pyta, czy w świecie wypełnionym taką miłością nie chciałby żyć nasz drogi gospodarz, ale mężczyzna już się w sobie zebrał i wydala długo skrywaną tajemnicę, że w takim świecie, o którym tamten mówi, to dla niego miejsca raczej nie ma. I właściwie to on jest na przeciwnej barykadzie. W jaki sposób przeciwnej? – pyta ojciec, a mężczyzna przypatruje się mu długo, waży go wzrokiem i wysuwa szufladę w kuchennej szafce, jakby od niechcenia ją wysuwa i mówi, że no w taki, że on całe życie był bandytą i dla niego świat urządzony po jehowemu to świat, który mu się wcale, ale to wcale nie podoba. I z tej szuflady w jego rękach pojawia się nóż. Ojciec zasłania się Biblią i mówi, że on chciałby już wyjść, bo czuje od mężczyzny alkohol, ale bandyta nie ustępuje i pyta, po jakiego chuja pchał się do niego do domu.

Łukasz zaczyna płakać. Ojciec wstaje i ciągnie go za rękę. Mężczyzna krzyczy, każe wypierdalać. Ojciec ma zaciśnięte usta. Kiedy stoją na ulicy, każe zapisać w zeszycie, żeby omijali następnym razem ten dom. Modlą się.

W zeszycie chłopiec zapisuje, że był w terenie 1,5 godziny. W nocy moczy się przez sen. W raporcie ze służby polowej znajdą się dwie „Strażnice”, trzy „Przebudźcie Się” i jedna umówiona rewizyta. Notes Łukasza wypełniają kolumny dat, godzin, numerów domów i humorów ludzi, których spotkał. Wkłada go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Robi się cieplej.

Z czasem chodzenie do służby zacznie się robić trudniejsze. Głównie ze względu na znajomych z gimnazjum. Największy strach, który czujesz, to ten, kiedy w oddali widzisz grupę nastolatków. Uczucie paniki w środku, kiedy chcesz się odwrócić i uciekać, ale idziesz ramię w ramię z bratem Darkiem i nie dajesz po sobie poznać, że to ktoś, kogo znasz. Albo te chwile, kiedy drzwi otwiera koleżanka z klasy. Jesteś w garniturze, w ręce masz czasopismo „Strażnica” i wiesz, że następnego dnia w szkole wszyscy będą się z ciebie śmiali.

Szczupła nauczycielka, w materiałowej spódnicy za kolano i zbyt dużych okularach, nachyla się do dziesięcioletniego chłopca, ścisza głos i wciska mu w rękę zielonego krokodyla.

Krąg

Martyna wraca z zebrania i siada przy biurku. Na jutrzejszą plastykę musi oddać krajobraz zimowy. Pani zadała im zadanie, żeby stworzyć kartkę świąteczną. Martyna nie obchodzi świąt, więc jutro w klasie jako jedyna odda kartkę bez choinki. Pamięta zeszły rok. Wigilia klasowa wypadała na drugiej lekcji, więc na czas rozdawania prezentów wychowawczyni zaprowadziła ją na korytarz. Zza drzwi dochodzą piski i śmiechy koleżanek. Całość trwa ponad czterdzieści minut. Po wszystkim poczęstunek. Wychowawczyni wprowadza ją do klasy, a ona widzi wzrok dzieci. Dziwadło. Kociara. Słyszała to od pierwszej klasy. Martyna siada w ławce i patrzy, jak dzieci jedzą przygotowane przez ich matki ciasta. Ona nie może.

Martyna ma dziewięć lat. Wychowuje się w rodzinie świadków Jehowy. Trzy razy w tygodniu musi wyjść z klasy i czekać przed nią, aż skończy się lekcja religii. Kiedy dzwoni dzwonek, z innych klas wylewają się uczniowie i patrzą na nią. Czeka, aż ksiądz wyjdzie, i wtedy wślizgnie się do swojej ławki. Udaje, że nic się nie stało. Udaje, że nie słyszy rozmów komentujących przygotowania do pierwszej komunii. Udaje, że jej to wszystko nie obchodzi.

Martyna potrząsa głową i patrzy krytycznie na swoją pracę. Kartka z zimowym krajobrazem wychodzi szara.

Łukasz przypomina sobie pewne wrześniowe popołudnie, kiedy poszedł na boisko szkolne pograć w piłkę. Nie wiadomo skąd na boisko wbiegli chłopcy, których kojarzył tylko z ukradkowych spojrzeń, bo byli duzi i źli. Pili i bili. I tym razem bili jego. Otoczyli go w kilkunastu i krzyczeli, że jest kociorzem. Pieprzonym jehowym. I pamięta, jak pojawił się przed nim Sławek i zaczął go tłuc po twarzy. A oni się śmiali. Łukasz płakał i próbował uciekać, ale z kręgów takich jak ten nie ma ucieczki. Czuł kopnięcia. Płakał, choć płakał ze złości, nie z bólu. Na początku się bał, ale potem ślepy wstyd wstrząsał nim tak mocno, że chłopcy przerwali. Ma dość, rzucił Sławek. Byli sąsiadami. Mieli po 10 lat.

Urodziny

Martyna ma dziś trzydzieści trzy lata. Łukasz to ja.

Martyna pyta mnie, czy pamiętam urodziny w klasie. Pani wyczytuje listę obecności, po czym prosi, żebyśmy wszyscy wstali, bo Michałek ma dzisiaj urodziny. Michałek wędrował na środek klasy, a w ręce trzymał worek cukierków. Ja siedziałem, mówię. Martyna wspomina, że wstawała, ale nie śpiewała. – Paliliśmy, ale się nie zaciągaliśmy – rzucam. Śmiejemy się.

Michałek przechadza się po klasie i częstuje galaretkami. Rzuca spojrzeniami w twoim kierunku. Uśmiecha się. Kiedy staje przed tobą, zawsze podtyka ci worek cukierków pod sam nos. Wie, że nie weźmiesz. Czeka, długo czeka. Czeka, aż podziękujesz i powiesz, że nie obchodzisz urodzin. Jeżeli trafiło się na wyjątkowo złośliwego Michałka, to on tak stał i patrzył na ciebie i mówił, no weź, przecież mam urodziny. I wszystkie dzieci patrzyły na ciebie i mówiły, no weź – a ty nie brałeś. W klasie było 32 uczniów. To daje średnio trzy urodziny w miesiącu. W takich momentach nie myślisz o Jehowie i o prześladowaniach pierwszych chrześcijan, tylko o tym, że oni wszyscy patrzą, a ty jesteś dziwadło. I zapadasz się w sobie, a po lekcjach Michałek przyjdzie do ciebie i przywali ci workiem na obuwie ↦

↦ zmienne w brzuch, bo nie chciałeś jego cukierków, kociorzu. Będzie razem z kolegami szedł za tobą ze szkoły pod dom i miauczał do zdarcia gardła.

Pamiętam 18 września 1998 roku. Trzecia klasa podstawówki. Nasza wychowawczyni czyta listę obecności. Zatrzymuje się przy moim nazwisku. Poprawia nerwowo okulary, patrzy na mnie. Zastanawiam się, czy coś zrobiłem. Zawsze zastanawiałem się, czy zrobiłem coś niewłaściwego. Zazwyczaj odpowiedź jest twierdząca. Wychowawczyni zamyka dziennik i zadaje nam jakieś ćwiczenie, po czym mówi, że chce ze mną porozmawiać na korytarzu. Wychodzimy. Szczupła nauczycielka, w materiałowej spódnicy za kolano i zbyt dużych okularach, nachyla się do dziesięcioletniego chłopca, ścisza głos i wciska mu w rękę zielonego krokodyla. To ostrzałka. Nauczycielka wie, że nie obchodzę urodzin, ale przytula mnie krótko, gwałtownie. To jest po prostu od niej, prezent. I mam go zatrzymać. Wracamy do klasy.

Najbardziej bałem się tego, żeby rodzice nie zauważyli, żeby nie zapytali, bo będę musiał kłamać. Ale to był pierwszy raz, kiedy poczułem, że coś jest nie tak z tymi zasadami. Ściskałem tego krokodyla-ostrzałkę w ręce i czułem dziwny ucisk w żołądku. Wstydziłem się. Z drugiej strony, było mi niewyobrażalnie miękko i ciepło.

Pasek

Dzieci świadków Jehowy nie wierzą w piekło. Wierzą w nagrodę, w życie wieczne w raju na Ziemi. Wiedzą, że muszą być wierne zasadom organizacji i unikać pokus, które zastawia na nich Szatan poza zborem. Wszystko, co pochodzi ze „świata", jest złe. Przyjaciele, książki, filmy, muzyka, zainteresowania, zabawki – odciągają od Jehowy. Dlatego dwa razy w tygodniu ubierają się odświętnie, pakują swoje nesesery i teczki i parkują przed Salą Królestwa. Pośród starannie przyciętych żywopłotów, schludnych posesji i czujnych spojrzeń stuosobowa społeczność rozpoczyna i kończy zebranie modlitwą.

> I dzieci świadków Jehowy czekały na ten moment. Każdego dnia, kiedy szły po korytarzu, a za nimi ciągnęło się przeraźliwe miauczenie. **Kici, kici słyszane w parkach** i na ulicach podczas głoszenia.

Dwunastoletni chłopiec próbuje ukryć sińce pod oczami i wierci się. Dwie godziny siedzenia na drewnianym krześle, kiedy twoje nogi pokryte są piekącymi ranami od skórzanego paska ojca, to dużo. Niezdarna dziewczynka nerwowo drapie się po pończochach i siada obok mamy, która każe jej wyciągnąć dzisiejszą „Strażnicę". W rzędzie przed nimi Kasia, córka starszego, prezentuje podkreślone odpowiedzi na pytania do studium biblijnego. Dziewczynka kurczy się w sobie. Musi dzisiaj zabrać głos. Stresuje się. To przez słabą wiarę. Martyna dzisiaj płakała, bo w szkole jest karnawał. Córka świadków Jehowy ma tylko dziewięć lat i myślała, że karnawał jest czymś dobrym. Przygotowała strój księżniczki. Ojciec spalił sukienkę z bibuły w piecu. Wróżki to zło, krzyczał. Wróżki to Szatan. Ogień odbija się w szkłach jego okularów. Wyje.

Dziewczynki podają sobie ręce i patrzą w podłogę. Nigdy nie rozmawiają o takich rzeczach. Kiedy się spotykają, to bawią się w głoszenie albo w zebranie. To jest bezpieczne.

Pustka

Wyobraź sobie piekło. Dzieci świadków Jehowy nie wierzyły w piekło. Wierzyły, że po śmierci nie ma nic. Pustka. Zamykasz oczy i znikasz. I dzieci świadków Jehowy czekały na ten moment. Każdego dnia kiedy szły po korytarzu, a za nimi ciągnęło się przeraźliwe miauczenie. Kici, kici słyszane w parkach i na ulicach podczas głoszenia. Zakazy i nakazy, które mnożyły się w ustach rodziców i współbraci w wierze, a którzy nie mieli pojęcia, jak to jest być dzieckiem świadków Jehowy, bo każdy z nich zmienił wiarę, kiedy był dorosły.

Wyobraź sobie piekło. Dzieci świadków Jehowy nie wierzyły w piekło. Wierzyły, że poza ich wstydem nie ma nic. Pustka. Zamykasz oczy i nie znikasz, tylko stoisz na środku klasy, każą ci śpiewać hymn, a ty patrzysz przed siebie, łzy lecą ci po policzkach i myślisz, że jesteś dzielny. A jesteś sam.

...w imię Jezusa Chrystusa Amen. Krzesła szurają o czerwoną wykładzinę. Wszyscy siadają na swoich miejscach.

© ŁUKASZ GAMROT

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ewangelia księży nazistów

JÓZEF MAJEWSKI

Jeden z duchownych wspierających Hitlera był teologicznym autorytetem dla Josepha Ratzingera, a jego dzieła niedawno publikowano także w Polsce.

Gdyby Chrystus napisał dzieło swego życia, wybrałby prawdopodobnie tytuł zbliżony do »Mein Kampf«" – pisał ks. Richard Kleine, jeden ze 138 katolickich duchownych, o których traktuje niezwykła książka „Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm". Jej autor – Kevin P. Spicer – jest benedyktynem i historykiem w Stonehill College (USA).

Inny z „brunatnych księży", jak ich nazywano w Trzeciej Rzeszy, Lorenz Pieper, przekonywał: „Oddany chrześcijanin i katolik musi być antysemitą". Z kolei teolog Karl Adam (1876-1966) dowodził, że Chrystus, dzięki Bożej Opatrzności, miał niewielki związek z żydostwem, o czym wyraźnie uczą dogmaty. Dziewicze poczęcie Jezusa uchroniło Go od niecnych cech męskiego Żyda, a sama Maryja, „zgodnie z dogmatem o niepokalanym poczęciu, wolna była od wszelkich złych wpływów żydowskiego dziedzictwa", zatem nie mogła go przekazać Synowi.

Żydostwo – kontynuował – jest antyboskie i dlatego nauka Chrystusa ma w pełni antyżydowski charakter: „Jedynie w tym właśnie, antyżydowskim sensie »zbawienie« naprawdę pochodzi od Żydów".

ZACHWYT RATZINGERA | Spicer, mając na względzie przytoczone wyżej oraz inne działania i wypowiedzi brunatnych księży, widzi związek historycznego antysemityzmu katolicyzmu z antyżydowskim rasizmem nazizmu. Źródłem antysemityzmu Trzeciej Rzeszy była nie tylko filozofia neopogańska, jak utrzymywali Jan Paweł II i Benedykt XVI, ale także antyżydowska i antyjudaistyczna teologia i doktryna głoszone długie wieki w Kościele.

„Nawet dziś hierarchia katolicka wydaje się niezdolna do całkowitego odcięcia się od tej historycznej postawy" – czytamy w książce. W tym kontekście do myślenia daje fakt, że środowisko Frondy nie tak dawno wydało polskie tłumaczenia dwóch książek Karla Adama. Niemiecki oryginał jednej z nich – „Jezus Chrystus" – ukazał się w 1933 r. (polski przekład – 1936 i 2006), w czasie, gdy ten na dobre trzymał już z ideologią nazistowską, o czym milczy autor przedmowy ks. Stefan Moszoro-Dąbrowski. Ba, w 2006 r. Benedykt XVI w swoim „Jezusie z Nazaretu" umieścił Adama na pierwszym miejscu listy teologów z lat 30. i 40., których prace o Chrystusie budziły jego zachwyt.

CHARLOTTE GRÖGER / UNIVERSITÄTSARCHIV TÜBINGEN

Ks. Karl Adam (1876-1966), profesor dogmatyki na Uniwersytecie w Tybindze w latach 1919-1948

Adam, który po wojnie nigdy nie przyznał się do swojej nazistowskiej pasji, został zaproszony do udziału w obradach Soboru Watykańskiego II jako teologiczny doradca (*peritus*). Nie skorzystał z zaproszenia z powodu złego stanu zdrowia.

MISTYCZNA HARMONIA Z HITLEREM | Brunatni księża – pisze Spicer – „zawsze wierzyli, że pozostają w nieomal mistycznej harmonii z Hitlerem i odzwierciedlają istotę narodowego socjalizmu", czym narażali się biskupom. „Szczególnie dla władz kościelnych duchowni ci byli renegatami, którzy ignorowali dyrektywy biskupów, upolityczniając swoje kazania i nauczanie". Hierarchom przeszkadzał nie tyle ich antysemityzm, ile kościelne nieposłuszeństwo. Na liście księży Hitlera Spicer nie umieścił żadnego biskupa, co nie znaczy, że nie było wśród nich zwolenników nazizmu. Przynajmniej jednego z nich – Conrada Gröbera z Fryburga – nazywano „brunatnym biskupem". On sam po wojnie przyznał, że był „członkiem wspierającym SS", choć potrafił także krytykować politykę nazistów.

Spicer zdobył wyjątkową wiedzę o 138 księżach Hitlera, ale nie jest to pełna ich lista. W tym celu z iście benedyktyńską skrupulatnością przeczesał dziesiątki państwowych, diecezjalnych i zakonnych archiwów w Niemczech, Austrii, USA i Polsce. Niektórym ze swoich bohaterów, jak Kleinemu, Pieperowi czy Adamowi, poświęcił więcej miejsca, każdy jednak odnaleziony ksiądz Hitlera ma w książce przynajmniej swój krótki biogram. Z grona ich wszystkich 56 wstąpiło do NSDAP, jak Pieper, spośród których siedmiu należało także do SS. Kapłaństwo porzuciło 17. Siedmiu opuściło Kościół. Ponad jedna trzecia z nich uzyskała stopień doktora nauk teologicznych czy filozoficznych, z których 21 zostało, jak Karl Adam, profesorami.

PRZYWRÓCENI DO POSŁUGI | Według danych kościelnych z 12 lat trwania Trzeciej Rzeszy, w tamtejszym Kościele w sumie działało blisko 40 tys. duchownych, czyli brunatni stanowili ok. 0,4 proc., a jeszcze mniej, bo co najwyżej 0,2 proc. należało do NSDAP. Dla porównania w 1937 r. przynajmniej 10 proc. samych bawarskich pastorów protestanckich należało do tej partii. Księża Hitlera zatem tworzyli niewielką, ale wpływową grupę.

W ostatnim rozdziale Spicer przygląda się losom brunatnych duchownych po wojnie. Władze Kościoła zasadniczo ich dyscyplinowały, ostatecznie jednak praktycznie wszyscy, jak Kleine, Pieper i Adam, zostali przywróceni do normalnej posługi duszpasterskiej lub na uczelniach. ©

Kevin P. Spicer
KSIĘŻA HITLERA. KLER KATOLICKI I NARODOWY SOCJALIZM
przeł. M. Chojnacki, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2024

Fikcja nie dogoni rzeczywistości

EDWARD AUGUSTYN

Filmowe konklawe jest intrygujące. Kulisy rzeczywistego wyboru papieża będą zapewne jeszcze ciekawsze, choć dla zwyczajnych ludzi niedostępne.

Morto un papa se ne fa un altro („gdy umiera jeden papież, robi się drugiego") – mówią Włosi, by podkreślić, że nie ma ludzi niezastąpionych. Zwłaszcza w instytucji, która przetrwała wieki i ma odpowiednie procedury na każdą sytuację. Śmierć papieża jest jedną z nich. Nieważne, czy towarzyszy jej smutek, czy westchnienie ulgi – przepisy jasno określają, jakie kroki należy podjąć i kto za co przejmuje odpowiedzialność. Kardynał kamerling stwierdza oficjalnie zgon w obecności wyznaczonych osób, następnie niszczy papieski pierścień i pieczętuje pokój zmarłego. Kardynał dziekan ogłasza wiadomość głowom państw oraz kardynałom nieobecnym w Watykanie, wzywając ich na konklawe. Machina rusza.

Trudno o lepszy temat dla filmu. Odcięta od świata grupa osób, zmuszona do szukania kompromisowej decyzji, malownicza sceneria, tajemnicze rytuały i gra o najwyższą stawkę – wybór, zazwyczaj spośród siebie, przywódcy wielkiej, liczącej ponad miliard osób, globalnej instytucji. Ludzie Kościoła nie przestają być ludźmi – mają te same przywary, ambicje, ukryte pragnienia i ciążącą przeszłość, co politycy startujący w wyborach czy biznesmeni walczący o przejęcie firmy. Świata, z którego przychodzą, też nie da się tak po prostu zostawić za murami Watykanu. On znajdzie sposób, by wedrzeć się tam choćby siłą.

Film Edwarda Bergera „Konklawe", który wszedł na ekrany, jest właśnie o tym.

Faworyci i game changer

Umiera papież – przez jednych kochany za prostotę i otwartość, przez innych znienawidzony za niekonwencjonalne metody sprawowania władzy: zamiast Pałacu Apostolskiego wybrał 50-metrowe mieszkanie w Domu św. Marty (pewnie oczekując, by to samo zrobili kardynałowie, zajmujący 400-metrowe apartamenty w Watykanie), walczył z korupcją i nepotyzmem w kurii, kontrolował finanse hierarchów.

Dziekan kardynalskiego kolegium kard. Thomas Lawrence (w tej roli Ralph Fiennes) rozpoczyna przygotowania do konklawe, spodziewając się ostrego starcia skrzydła konserwatywnego, któremu przewodzi kard. Goffredo Tedesco (Sergio Castellitto), i liberalnego, z kard. Aldem Bellinim (Stanley Tucci) na czele. Wśród *papabili* są jeszcze czarnoskóry kard. Joshua Adeyemi (Lucian Msamati) oraz watykański karierowicz kard. Josef Tremblay (John Lithgow). Na tę piątkę oddają głosy pozostali członkowie kolegium, do którego – tuż przed rozpoczęciem wyborów – dołącza niespodziewanie nikomu nieznany Vincent Benitez (Carlos Diehz) z Afganistanu, mianowany kardynałem w tajemnicy (*in pectore*) ze względów bezpieczeństwa. Jak łatwo się domyślić – *game changer* toczonej w Kaplicy Sykstyńskiej rozgrywki.

Wielkie proroctwa i małe błędy

„Mimo pewnych powierzchownych analogii, postać zmarłego papieża nie miała być portretem obecnego Ojca Świętego" – zapewniał Robert Harris, autor powieści, która posłużyła za kanwę filmowego scenariusza. Trudno w to jednak wierzyć. Pisał ją w pierwszych latach pontyfikatu Franciszka (książka ukazała się w 2016 r.), korzystając z pomocy Watykanu, który wyraził zgodę na rekonesans autora w miejscach, gdzie będzie toczyć się akcja. Wiele fabularnych pomysłów, wtedy uważanych za fantastyczne – jak inwigilacja członków kolegium, usunięcie kardynała z urzędu za finansowe nadużycia czy zaskakujące nominacje nikomu nieznanych hierarchów z końca świata – po ośmiu latach można uznać za prorocze.

Adaptacji powieści na duży ekran dokonał Peter Straughan, scenarzysta znany choćby ze „Szpiega" („Tinker Tailor Soldier Spy"), za którego otrzymał nominację do Oskara (2011) i nagrodę BAFTA (2012). Mogłoby się wydawać, że powieści Harrisa to gotowe scenariusze filmowe. Pracę scenarzysty warto jednak docenić, zwłaszcza w przypadku, gdy film jest lepszy od książki. Straughan nie tylko dokonał koniecznych skrótów i zagęścił akcję.

Nie tylko zmienił nazwisko głównego bohatera, zamieniając książkowego Lonellegego na Lawrence'a, uzgadniając je z narodowością aktora, dzięki czemu sceny, w których przemawia po włosku z mocnym angielskim akcentem, brzmią naturalnie i wiarygodnie – taką wymowę słyszy się w Watykanie na co dzień. I nie tylko uaktualnił fabułę (w książce niespodziewany kardynał przyjeżdża z Bagdadu, ale dziś tego miasta nie uznalibyśmy za najniebezpieczniejsze na świecie, w przeciwieństwie do roku 2016, gdy iraccy chrześcijanie byli masowo mordowani przez bojowników ISIS), ale też wyczyścił ją z błędów (na łamach powieści jeden z kardynałów skarży się, że mimo zapewnień zmarłego papieża niewiele się zmieniło, a „kobiety nie mają prawa nawet udzielać komunii", choć każdy kardynał wie, że Watykan dał na to zgodę już w 1973 r.). Podobnych potknięć jest w książce więcej, w filmie udało się je szczęśliwie wyeliminować.

Schematy i stereotypy

Niewykluczone, że niektóre błędy w powieści pojawiły się na etapie przekładu na język polski. Czasem są to drobnostki, jak „mozolne wspinanie się" z Pałacu Świętego Oficjum do Domu św. Marty, podczas gdy oba budynki dzieli 300 m zupełnie płaskiej uliczki. Czasem problemy wskazujące na nieznajomość kościelnych realiów – jak choćby w scenie, gdy duchowni, zebrani wokół ciała zmarłego papieża, śpiewają po łacinie pieśń, której tłumaczenie („Przybądźcie mu z pomocą, święci Boży, spieszcie mu na spotkanie, Anieli Pańscy. Przyjmijcie jego duszę i zanieście ją przed oblicze Najwyższego") po-

PHILIPPE ANTONELLO / MATERIAŁY PRASOWE

Ralph Fiennes jako kard. Thomas Lawrence w filmie „Konklawe", 2024 r.

wstało najwyraźniej w oparciu o wersję angielską, podczas gdy jest to dość znana, polska pieśń pogrzebowa, warta zacytowania w oryginale.

Niestety, błędów w tłumaczeniu nie uniknęli też twórcy filmowych napisów, choć to chyba nie powinno dziwić. Żaden duchowny nie zwróci się przecież do kardynała słowami: „diakonie" (owszem, istnieje w kościelnej nomenklaturze pojęcie kardynała-diakona, ale to w żaden sposób nie wpływa na tytulaturę). W filmie ten zwrot w stosunku do dziekana kolegium pojawia się często.

To jednak drobiazgi. Dużo poważniejszym problemem jest schematyczność i jednowymiarowość bohaterów „Konklawe". Konserwatywny kardynał nie tylko ma odpychające poglądy, ale i niechlujny wygląd (to w książce, bo w filmie wręcz przeciwnie), a do tego domaga się przywrócenia łaciny, której sam dobrze nie zna. Przywódca skrzydła liberalnego wygłasza z kolei „mowę programową", w której czas, gdy katolicy mieli dziesięcioro dzieci, a msze odprawiano po łacinie i tyłem do wiernych, nazywa „najbardziej opresyjną epoką" w dziejach Kościoła. Czarnoskóry kardynał, który „chciałby zamykać homoseksualistów w więzieniach", ma natomiast na sumieniu – co łatwo się domyślić – wykorzystanie seksualne zakonnicy. A ambitny i żądny władzy kardynał kamerling, zarozumiały i pewny siebie, kupował głosy afrykańskich elektorów.

Konklawe znane nie od dziś

W książce mamy bowiem świetnie skonstruowaną intrygę, ale postaci narysowano grubą kreską. Nie zmieniają się wewnętrznie, nie przeżywają kryzysów, nie ma w nich sprzeczności i wielkich emocji. Nie wierzymy ich łzom, nie znajdujemy w nich prawdy. Nawet kardynał dręczony wątpliwościami – nie w Boga, bynajmniej, tylko w modlitwę – jest letni i nieprzekonujący.

Richard Harris jest autorem dziesiątków sprawnie napisanych bestsellerów, w których akcja płynie wartko i które trafiają na ekrany kin i sceny teatrów (kilka lat temu cykl jego powieści o Cyceronie został wystawiony przez Royal Shakespeare Company). Ale Szekspirem nie jest, o czym dobrze wie i sam mówi w wywiadach, wyrażając wdzięczność filmowym i teatralnym scenarzystom.

„Konklawe" nie jest też „politycznym i psychologicznym thrillerem" – jak przeczytamy w promocyjnych zajawkach – ani watykańską wersją „House of Cards". Nie obnaża mechanizmów walki o władzę w Kościele, bo... nie obnaża niczego. Dziś nikogo nie dziwią kardynalskie stronnictwa, animozje, lobbingi, agitacje czy tajne spotkania, na których ustala się kandydatów i strategie działania. Nikogo nie szokują informacje, że za tym czy innym kardynałem ciągną się oskarżenia lub podejrzenia – o występki własne lub tuszowanie przestępstw innych. Z książki (i z filmu) nie dowiadujemy się niczego, czego byśmy wcześniej o przebiegu wyborczych rozgrywek nie wiedzieli.

Wyobraźnia i prawdopodobieństwo

Co jednak nie znaczy, że nie warto wybrać się na „Konklawe" do kina. Dzięki wysiłkom scenarzysty, reżysera i aktorów zobaczymy na ekranie prawdziwych, ↦

wielowymiarowych, pełnokrwistych ludzi. Czasem wystarczyło dopisać bohaterowi jedno zdanie („Jakie stanowisko ci obiecał?" – pyta Belliniego dziekan), by postać stała się dwuznaczna, zagadkowa, ciekawsza.

Edward Berger, nagrodzony Oskarem za „Na zachodzie bez zmian" (2022), potrafił zbudować napięcie nawet w scenach z pozoru absolutnie niefilmowych, jak wielogodzinne głosowania kardynałów. Roztropnie też zmodyfikowano zakończenie – którego zdradzić tu nie mogę – w książce niewiarygodne, wręcz śmieszne, przynajmniej dla tych, którzy znają realia życia w Kościele, a zwłaszcza tzw. kapłańskiej formacji. W filmie uratowano je dzięki niedopowiedzeniom i niejednoznaczności słów bohatera, co pozwala widzom na samodzielne wyciągnięcie wniosków – w oparciu o własną wiedzę, wyobraźnię i wrażliwość. Filmowy finał jest dzięki temu nie tylko przejmujący, ale przede wszystkim – prawdopodobny.

Film Bergera warto też obejrzeć ze względu na dokładność w rekonstruowaniu miejsc, w których rozgrywa się akcja (ekipa nie miała zgody na wejście na teren Watykanu, wszystkie wnętrza, włącznie z Kaplicą Sykstyńską, zostały odtworzone w studiu filmowym), oraz wierność w oddaniu kościelnych ceremonii, strojów i zwyczajów. Co nie w każdym przypadku było proste – znane nam opisy śmierci papieża, z których mogli skorzystać twórcy filmu, odnosiły się przecież do sytuacji w apartamentach Pałacu Apostolskiego. W małym mieszkaniu, na drugim piętrze hotelu, jakim w rzeczywistości jest Dom św. Marty, żaden papież dotąd nie umarł.

Trudno o lepszy temat. Odcięta od świata grupa zmuszona do szukania kompromisu w wyborze przywódcy dla ponad miliarda osób.

Finał uratowany

Jest w filmie – jak i w powieści – kilka scen, które pokazują realne problemy, przed jakimi stoi Kościół pod koniec pontyfikatu Franciszka. I nie chodzi bynajmniej o walki liberałów z konserwatystami, wykorzystywanie seksualne dzieci czy zakonnic (pojawiające się, choć tylko w tle) ani finansowe malwersacje – to historie od dawna wszystkim znane.

Nowe wyzwania to – po pierwsze – pochodzenie kardynałów z najdalszych zakątków świata. Arcybiskup Kabulu jest najbardziej wyeksponowanym przykładem hierarchy, który nikogo nie zna i sam też jest nieznany. Co zrobić, by tacy elektorzy nie stali się jedynie maszynką do głosowania, wykorzystywaną przez głównych rozgrywających podczas konklawe?

Po drugie – siła kobiet, których twarzą w filmie jest siostra Agnes (Isabela Rossellini). To przełożona zakonnic, które wykonują podstawowe prace w kuchni i jadalni, sprzątają korytarze i pokoje. Które niewiele mówią, ale wszystko widzą i słyszą. I które są już świadome swojej wartości. Twarz s. Agnes jest chłodna, stanowcza i groźna, czego nie zauważają nawet postępowi kardynałowie, głoszący zwykle szumne hasła o roli kobiet, teraz jednak zajęci ratowaniem świata i Kościoła. Do czasu, który właśnie nadszedł.

Po trzecie – brak drogi odwrotu. Konsekwencje zmian świadomości, jakie dokonują się w świecie i w Kościele – zwłaszcza akceptacji różnorodności – sięgają bardzo daleko. Może nawet finałowej sceny filmu.

Słynny polski szekspirolog Jan Kott przytoczył kiedyś w kąśliwej polemice słowa Diderota: „Szekspir jest jak posąg św. Jana Chrzciciela w katedrze Notre Dame, prymitywny i barbarzyński, ale tak ogromny, że wszyscy możemy przejść pomiędzy jego nogami, nie zawadzając głową o genitalia". Robert Harris niemalże zawadził. Zwłaszcza na ostatnich stronach książki. Rozwaga i profesjonalizm Edwarda Bergera, Petera Straughana oraz aktorów grających w „Konklawe" sprawiły, że oglądanie tego nie jest jednak ani żenujące, ani szczególnie bolesne.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co"– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik: *Koledzy z harcerstwa*

Widzisz, zniszczyłaś mi życie – powiedziała zadziornie, żartując znad kawy, moja młodsza przyjaciółka z harcerstwa. Właśnie dzieliłyśmy się informacją, że jej rówieśnik, znany nam z wakacyjnych obozów, wszedł do zarządu dużej państwowej spółki. Jasne było, że zaprowadziła go tam polityczna lojalność, a nie kompetencje. To był jednak dopiero początek długich rządów prawicy, więc takie nominacje jeszcze zdumiewały. Dopiero potem zaczęłyśmy znajdować więcej znajomych nazwisk w publikowanych z pewną regularnością śledczych tekstach o harcerzach Morawieckiego.

Zmiana kursu politycznego naszego harcerstwa zaczęła się jednak na długo przed Morawieckim. Zostając harcerką czy harcerzem, zwykle wybierasz tę drużynę, która działa w twojej podstawówce. Przynajmniej tak było w latach dziewięćdziesiątych, gdy rodzice nie tyle zastanawiali się nad ideowością czy planem wychowawczym organizacji, co cieszyli się z darmowych zajęć pozaszkolnych i tanich letnich, miesięcznych obozów. Nie miałam jeszcze piętnastu lat, gdy męskie drużyny w naszym środowisku zafascynował podziemny NSZ, a na klapach mundurów paru instruktorów pojawiły się mieczyki Chrobrego. Wkrótce moje zainteresowanie kulturą żydowską okazało się problematyczne, bo „oni nie pozwalają nam stawiać krzyży na naszej ziemi". Może to jest moment, by odejść z harcerstwa – skwitowali rodzice. Tyle że wciąż za bardzo to lubiłam.

Jednocześnie od początku lat dwutysięcznych, gdy zaczęłam prowadzić drużynę, żaden rodzic nigdy nie pytał, według jakich wartości wychowujemy ich dzieci. Tymczasem organizacja już od dawna dryfowała w objęcia prawicy i robiła się bardzo katolicka. Utrzymanie nad moimi harcerkami parasola ochronnego przed tym ideowym wzmożeniem trochę trudu kosztowało. Gdy miałam zostać instruktorką pytano, czy przyjmę przyrzeczenie harcerskie i dam krzyż harcerski niewierzącej harcerce. Do dziś myślę, że mimo niezadowolenia odpowiedzią, przyznano mi tytuł instruktorski, żeby nie mieć na głowie trzydziestu dziewczynek, które pozbawiono nagle drużynowej, bo ta nie ma papierów wychowawcy. To właśnie ten parasol „zniszczył życie" mojej przyjaciółki, bo odciął moje harcerki od politycznego nurtu. Do znudzenia uczyłam, że patriotyzm to płacenie podatków i dobre sąsiedztwo. Aż chyba miały dosyć.

Trochę o tym wszystkim zapomniałam, ale list gończy za jednym z dalszych kolegów z tamtych czasów skutecznie przypomniał, zwłaszcza że pojawiły się w tej sprawie również inne znajome nazwiska. – Myślisz, że zawsze tak mieli czy zamienili się w cyników potem? – spytała od lat niewidziana znajoma z organizacji. – Bo ja to nawet im wierzyłam, że chcą wejść do polityki, żeby wnieść nową jakość i wartości – dodała. Zostaję z tym jej pytaniem i nie wiem, ale otwiera to we mnie otchłań pytań o młodzieńcze ideały i czy to ja byłam tą naiwną, która wierzyła, że skoro ślubujemy służyć Bogu i Polsce, to serio nam o to chodzi, a nie o karierę i kasę. Czy potem przyszło życie, czesne za szkoły dzieci i tak wyszło? Myślałam jednak, że spieraliśmy się o poziom religijności czy wzory patriotyczne, ale chodziło o coś więcej...

Przewijam w głowie nazwiska, otwieram wyszukiwarkę, rejestry KRS i składy zarządów tłoczą się na ekranie, śledztwo było krótkie. Nie zrobi go żaden dziennikarz śledczy, bo kogo oprócz mnie obchodzą dzieje polityczne jednego harcerskiego szczepu, kilku hufców, paru dzielnic Warszawy. Jednego czy dwóch pokoleń harcerzy i harcerek, instruktorów i instruktorek. Kto zwróci uwagę na ich ciche kariery w spółkach Skarbu Państwa, ich fundacjach, takich czy innych urzędach lub komisjach. Zbiegi okoliczności, naturalny bieg kariery? Nie jestem pewna, widząc, że dwóch drużynowych jednego hufca równocześnie zasiadało w radzie nadzorczej spółki zbrojeniowej. Albo że zarządzający zwykłymi projektami przejęli nagle duże instytucje i budżety. Czuję, jakby mi ktoś trochę kradł dzieciństwo, zabierał dobre wspomnienia dzikich leśnych przygód z nimi. I myślę z żalem o organizacji, w której służba Polsce poszła w taką stronę. Czy się nad tym zatrzyma, zastanowi, jak to się stało, czy przejdzie mimo? Czy zapamięta, że braterstwo i ideowość potrafią się skończyć załatwianiem druhom i druhnom pracy dzięki politycznym układom?

Tymczasem jednak już ich wymienili lub zmieniają na innych, według innego klucza. Czy merytorycznego? Jakoś wątpię. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

CHIŃSKA MARCHEWKA I KIJ

Chiny nie są zainteresowane eskalowaniem wojny poza Ukrainę, ale ze strategicznych relacji z Moskwą nie zrezygnują. Pekin postrzega bowiem Rosję jako swój niezbędny zasób w rozwijającej się konfrontacji chińsko-amerykańskiej.

WOJCIECH KONOŃCZUK Z PEKINU I SZANGHAJU

Pekin, oglądany na nowo po kilkuletniej tu nieobecności, nie wywołuje dziś podniesienia brwi. Choć w oczy rzuca się jego rosnąca zamożność. Widać nieustanny rozwój, powstały nowe dzielnice, przybyło kilka linii metra i morze nowych wysokościowców. Miasto jest schludne, dobrze zorganizowane, a ceny nieruchomości kilkukrotnie wyższe niż w Warszawie. Wszędzie widać niezliczone kamery. Chiński system kontroli społecznej nie ma konkurencji.

Odkryciem okazuje się natomiast... brak ulicznego zgiełku, typowego dla wszystkich wielkich aglomeracji. Wielopasmowe pekińskie arterie nie generują charakterystycznego hałasu. Jest to efekt niebywale szybkiej ekspansji samochodów elektrycznych. W samym Pekinie nawet około połowy wszystkich aut to elektryki. Miasto dopłaca do każdego nowo zakupionego elektryka 20 tys. juanów (ok. 11 tys. zł).

Nie bez znaczenia jest tu jednak fakt, że auta elektryczne są w Chinach o kilkadziesiąt procent tańsze niż na Zachodzie. Chińczycy byli w stanie wytworzyć nową gałąź przemysłu, zostawiając w tyle świat. Już dzisiaj niemal 60 proc. globalnej produkcji aut elektrycznych wytwarzana jest w tym kraju. A nieco ponad połowa nowych samochodów sprzedawanych w Chinach to elektryki lub hybrydy (podczas gdy w USA jest to 18 proc., a w Unii Europejskiej tylko 13 proc.).

Nowa asertywność Pekinu

BYD, Nio, Geely czy GAC Aion – marki te wciąż niewiele mówią większości konsumentów na Zachodzie. Tymczasem to najwięksi producenci elektryków spośród dziesiątek wszystkich takich firm istniejących dziś w Chinach. To również – obok gigantów technologicznych – symbole nowej chińskiej gospodarki, a zarazem nowej asertywności Pekinu wobec świata.

Co istotne: ta nowa chińska motoryzacja, aby uwolnić swój potencjał produkcyjny, potrzebuje dostępu do rynków zagranicznych, w tym przede wszystkim zamożnych państw Europy. A z tym jest coraz większy problem. W październiku Unia podniosła cła na elektryki chińskie z 10 do 45 proc., co znacząco wpłynie na dochodowość eksportu chińskiej nowej motoryzacji. Był to efekt długiego postępowania antysubsydyjnego Komisji Europejskiej, która stwierdziła, że władze chińskie niemal na każdym poziomie szczodrze subsydiują swoje koncerny motoryzacyjne.

Europa była zresztą ostatnim znaczącym rynkiem, który wprowadził cła na samochody elektryczne z Chin. Już wcześniej zrobiły to m.in. USA, Brazylia, Turcja czy Kanada. Cła unijne są przy tym najniższe – dla porównania, te amerykańskie wynoszą 100 proc. wartości auta. W lutym prezydent Joe Biden mówił, że polityka Chin zmierza do „zalania naszego rynku autami, co stanowi ryzyko dla naszego bezpieczeństwa".

Biden stwierdził wtedy również, że chińskie elektryki „mogą zbierać wrażliwe dane o naszych obywatelach, infrastrukturze i przesyłać je do Chin". Obawy te są podzielane przez ekspertów, co stawia pytanie o obecność chińskich aut w krajach zachodnich.

Ulubione państwo Chińczyków

O ile Pekin – chcąc nie chcąc – musiał wcześniej zaakceptować cła innych państw, to Europę próbuje teraz rozgrywać. W głosowaniu w Radzie UE nad cłami nie było zgody – przeciw były Niemcy, Węgry, Malta, Słowenia i Słowacja. Kilka innych państw z obawy przed retorsjami chińskimi wolało wstrzymać się od głosu.

Na odpowiedź rzeczywiście nie trzeba było długo czekać – Pekin zapowiedział taryfy celne na niektóre produkty z Unii oraz zabronił swoim producentom aut inwestycji w krajach, które poparły wprowadzenie ceł. Władze chińskie najwidoczniej mają nadzieję, że metodą marchewki i kija uda im się powstrzymać kolejne działania antysubsydyjne Unii.

Chińczycy – nie bez racji – wychodzą z założenia, że mechanizm decyzyjny UE-27 można, jeśli nie zatrzymać, to co najmniej spowolnić lub spowodować jego zacięcie. Stąd hołubienie Węgrów, którzy obecnie wygrywają „konkurs" na ulubione przez Chińczyków państwo w Europie. W nagrodę BYD buduje tam największą poza Chinami fabrykę, a chiń-

RAMIL SITDIKOV / AP / EAST NEWS

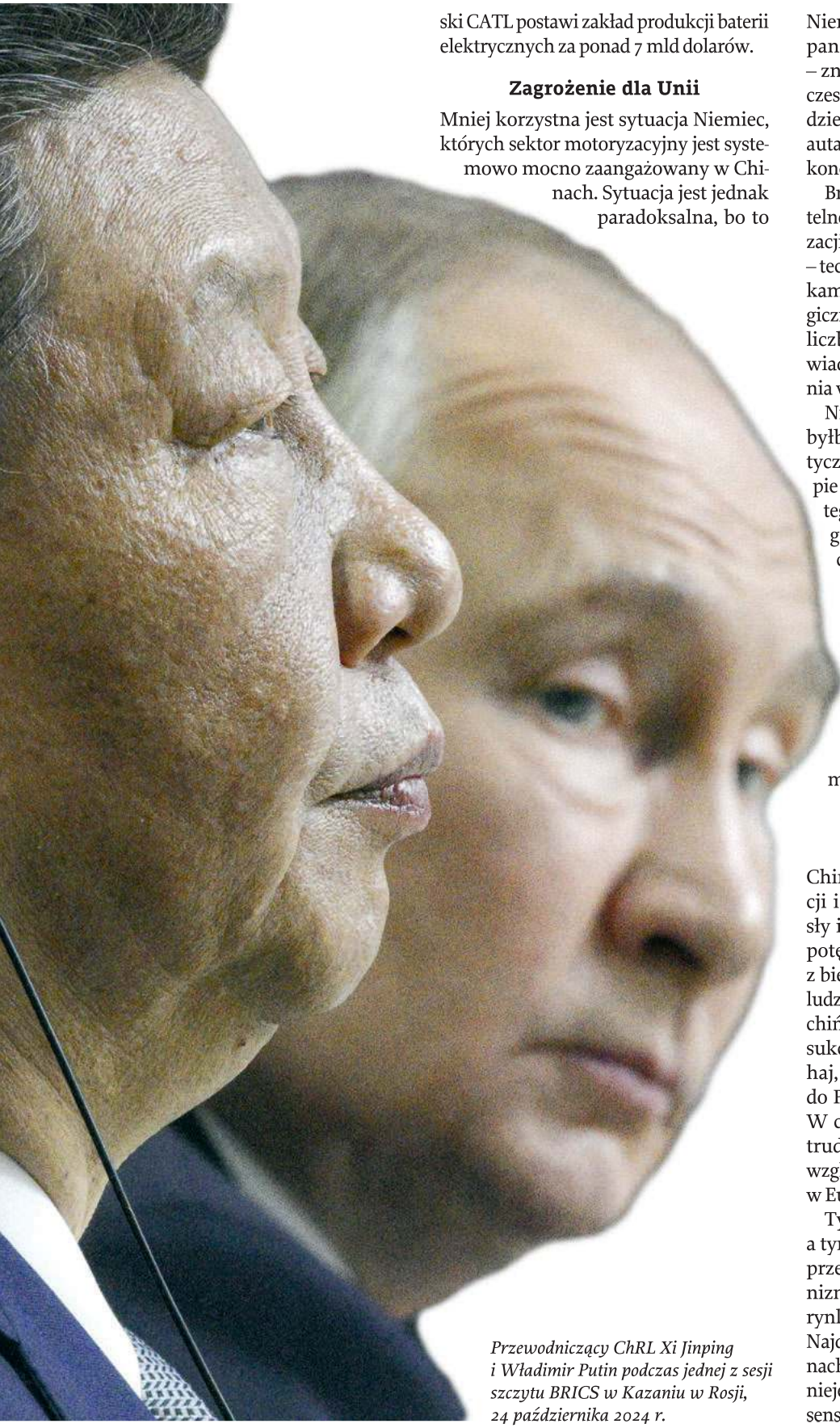

Przewodniczący ChRL Xi Jinping i Władimir Putin podczas jednej z sesji szczytu BRICS w Kazaniu w Rosji, 24 października 2024 r.

ski CATL postawi zakład produkcji baterii elektrycznych za ponad 7 mld dolarów.

Zagrożenie dla Unii

Mniej korzystna jest sytuacja Niemiec, których sektor motoryzacyjny jest systemowo mocno zaangażowany w Chinach. Sytuacja jest jednak paradoksalna, bo to Niemcy mogą stracić najwięcej na ekspansji chińskich elektryków w Unii – znacznie tańszych (a przy tym nowoczesnych i z atrakcyjnym designem – to dzieło europejskich projektantów) niż auta elektryczne produkowane np. przez koncern Volkswagena.

Brak barier celnych oznaczałby śmiertelne zagrożenie dla europejskiej motoryzacji, która ewidentnie pozostała w tyle – technologicznie i cenowo – za Chińczykami. A że sprawa ma znaczenie strategiczne, o tym niech świadczą tylko dwie liczby: przemysł motoryzacyjny odpowiada za 7 proc. PKB całej Unii i zatrudnia w jej krajach 14 mln pracowników.

Nietrudno wyobrazić sobie, jak wielki byłby wstrząs – i gospodarczy, i polityczny – gdyby kolejne fabryki w Europie miały zostać zamknięte. Przedsmak tego widzimy już zresztą w Niemczech, gdzie właśnie Volkswagen zapowiada cięcia, redukcje i być może zamknięcie kilku zakładów. Kondycja i przyszłość niemieckiej motoryzacji mogą stać się jednym z tematów kampanii przed przyspieszonymi wyborami do Bundestagu, które odbędą się w Niemczech pod koniec lutego 2025 r. – i już dziś odbija się rykoszetem także na polskiej branży motoryzacyjnej.

Chiną chcą globalizacji, Zachód protekcjonizmu

Chiny chcą dziś utrzymania globalizacji i swobodnego handlu, bo przyniosły im one ogromne zyski, zbudowały potęgę ich gospodarki i wydźwignęły z biedy w tym kraju kilkaset milionów ludzi. Widać to na ulicach wielkich miast chińskich. Jednym z wielu symboli tego sukcesu jest szybka kolej Pekin–Szanghaj, która odległość jak z Warszawy do Paryża pokonuje w cztery godziny. W ciągu najbliższych lat, i to długich, trudno sobie wyobrazić podobny pod względem skali projekt infrastrukturalny w Europie.

Tymczasem na Starym Kontynencie, a tym bardziej w USA, „wajcha" została przestawiona dziś w stronę protekcjonizmu. Odwrotu od ochrony własnego rynku przed ekspansją chińską nie ma. Najdalej proces ten posunięty jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie od dawna istnieje w tej sprawie międzypartyjny konsensus. Druga kadencja Donalda Trumpa ↦

↦ tylko ten proces pogłębi. Jedyna niewiadoma to – jak bardzo.

Chiny mają jednak wiele do stracenia. Deficyt USA w handlu z Chinami to 280 mld dolarów, deficyt Unii zaś to 291 mld euro (za niemal piątą jego część odpowiada Polska). Kto może stracić więcej na nabierającej rozpędu wojnie handlowej, jest oczywiste.

W przypadku Europy kolejne unijne cła dotkną zapewne chińskich paneli fotowoltaicznych. Są one kolejnym przykładem, jak Chińczycy przejęli technologię europejską, zbudowali u siebie nowy sektor swojego przemysłu i teraz zalewają nim Europę, zarabiając kokosy na europejskiej transformacji energetycznej.

Neutralność pozorowana

Relacje Chin z Unią i Stanami pełne są najróżniejszych paradoksów, które niegdyś będą zapewne wywoływać niepowstrzymane zadziwienie historyków.

Wolny handel, globalizacja, otwarte rynki zachodnie – to wszystko miało ogromny wpływ na wzrost chińskiej potęgi gospodarczej, a co za tym idzie: także politycznej. Chińczycy umieli zarówno uczyć się, jak i przystosować. Ponad dwie dekady – licząc od wejścia Chin do Światowej Organizacji Handlu (WTO) w 2001 r. – niezakłóconej wymiany gospodarczej z Zachodem, skutecznego transferu zachodnich technologii (wielu by powiedziało: kradzieży) skutkowały powstaniem nowych, asertywnych, nacjonalistycznych i pewnych siebie Chin. A przy tym, co kluczowe, Chin antyzachodnich.

Dziś na chińsko-zachodnie relacje handlowe nakłada się postawa Pekinu wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wbrew temu, jak władze chińskie próbują się pozycjonować, nie ma ona nic wspólnego z deklarowaną neutralnością. Po 2022 r. Chiny wyrosły na kluczowego partnera gospodarczego Rosji, który w szybkim tempie zastąpił relacje handlowe rosyjsko-europejskie. Tylko przez dziesięć miesięcy roku 2024 wymiana gospodarcza Rosja–Chiny sięgnęła 202 mld dolarów.

Współpraca Chin i Rosji ma charakter symbiotyczny. **Naiwnością byłaby nadzieja, że da się ją rozerwać.**

Sojusz (także) ideologiczny

Dłuższą chwilę zajęło Unii „odkrycie", że Chiny nie tylko handlują z putinowską Rosją, ale stały się jej kluczowym partnerem gospodarczym i politycznym. Umożliwiają jej łagodzenie zachodnich sankcji, a tym samym trwanie reżimu na Kremlu. Wprawdzie Pekin deklaruje, że nie dostarcza Rosjanom broni, ale stał się dla nich np. najważniejszym zapleczem pozyskiwania technologii i półprzewodników, bez których nie sposób produkować dziś jakiegokolwiek nowoczesnego sprzętu wojskowego.

Chiny patrzą na trwającą wojnę rosyjsko-ukraińską z odrobiną zdziwienia, uznając, że Moskwa popełniła błąd, gdyż zamiast – zgodnie z pierwotnym planem – załatwić sprawę w kilka tygodni, „ugrzęzła" na Ukrainie już niemal na trzy lata. Jednak, z drugiej strony, Pekin dostrzega w tym szansę dla siebie: szansę na osłabienie – rosyjskimi rękami – pozycji USA. Rosja ma być tu swoistym taranem, który pomoże w demontażu amerykańskiej pozycji w świecie. Reżimy rosyjski i chiński łączy zatem swoisty sojusz ideologiczny. Czy też, jak wolą niektórzy, antyamerykańska obsesja.

Dla Rosji dobre relacje z Chinami są dziś racją stanu i *de facto* gwarantem trwania systemu putinowskiego. Dla Pekinu zaś stosunki z Moskwą stały się zasobem i instrumentem w rozwijającej się konfrontacji ze Stanami, która będzie jedynie przybierać na sile. W tej sytuacji kontakty chińsko-rosyjskie mają charakter symbiotyczny – i dlatego naiwnością byłaby nadzieja, że da się je rozerwać.

Konsumpcjonizm w totalitaryzmie

Wróćmy na ulice Pekinu i Szanghaju. Przybyszowi z Europy w oczy rzuca się fakt, że konsumpcyjny styl życia Chińczyków z zamożnych aglomeracji w gruncie rzeczy nie różni się od stylu znanego z miast europejskich czy amerykańskich. I tu, i tam widać dobrze ubranych ludzi z torbami znanych marek w rękach. Widać pełne centra handlowe, restauracje i kawiarnie – przez ostatnią dekadę Chińczycy, tradycyjnie naród herbaty, nauczyli się pić i smakować kawę.

Społeczności te mieszkają jednak w państwach krańcowo różniących się pod względem systemów politycznych i celów swoich liderów. Chiński konsumpcjonizm wyrósł bowiem w kraju, który ma wiele cech systemu totalitarnego. Chiny upajają się sukcesami gospodarczymi, które chciałyby utrwalić, przekuć w globalny prestiż i wpływy polityczne. Ma je to lepiej przygotować do – ich zdaniem – nieuchronnej konfrontacji z potęgą amerykańską.

Kolejny paradoks polega na tym, że Chiny chciałyby z jednej strony zachować globalizację, która przyniosła im tak wiele korzyści, a z drugiej są coraz bardziej państwem rewizjonistycznym – tj. takim, które zmierza do podważenia ładu międzynarodowego, zbudowanego na jakichś regułach prawnych (nawet jeśli niedoskonałych) i zdominowanego w ostatnich dekadach przez USA (nawet jeśli z wszystkimi tego i blaskami, i cieniami).

Na dłuższą metę utrzymanie tej sprzeczności wydaje się niemożliwe.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy dla Krakowa – Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 564/24/P z wniosku Agnieszki Kowalczyk, zamieszkałej w Sierczy 370, 32-020 Siercza, przy uczestnictwie Elżbiety Poszwy, o uznanie za zmarłego Józefa Marczyka, syna Walentego i Agnieszki z domu Paździurkiewicz, urodzonego 29 stycznia 1869 roku w Skawinie, ostatnio stale zamieszkałego w Tyńcu. Wzywa się zaginionego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosił się do tutejszego Sądu, w przeciwnym wypadku może zostać uznany za zmarłego.

Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić jakichkolwiek informacji o zaginionym, w szczególności daty, kiedy ostatni raz był widziany przy życiu, aby w powyższym terminie przekazały je tutejszemu Sądowi.

Zakotwiczamy NATO w Polsce

JUSTYNA GOTKOWSKA, ANALITYCZKA:

Mamy dobrą pozycję wyjściową wobec nowej administracji Trumpa. Waszyngton musi jednak wiedzieć, że Warszawa nie czeka na gotowe pomysły, gdy idzie o bezpieczeństwo w naszej części Europy.

MAREK RABIJ: Co otwarcie bazy w Redzikowie zmienia w obrazie bezpieczeństwa Polski?

JUSTYNA GOTKOWSKA: Jeśli pyta pan o znaczenie tego, co wydarzyło się 13 listopada, to jest ono raczej symboliczne. Uzyskanie gotowości operacyjnej pod parasolem NATO przez bazę w Redzikowie zostało ogłoszone już w lipcu. Uroczyste jej otwarcie było jednak ważne. W chwili, gdy w Waszyngtonie trwają przygotowania do przekazania rządów ekipie Donalda Trumpa, a Europa śledzi ten proces z niepokojem, warto było przypomnieć, że USA z Europą łączą nie tylko formalne zapisy traktatu waszyngtońskiego.

W Polsce stacjonuje do 10 tys. amerykańskich żołnierzy, a m.in. baza w Redzikowie zapewnia Europie, w tym siłom amerykańskim, ochronę przed pociskami balistycznymi o zasięgu przekraczającym tysiąc kilometrów. Ani Polska, która intensywnie buduje zdolności w zakresie obrony powietrznej, ani inne kraje Europy nie dysponują systemami mogącym zwalczać tego typu zagrożenia.

Amerykanie biorą więc nas niejako pod swoje skrzydła. Ich instalacje w Europie, w tym Redzikowo, podlegające formalnie amerykańskiej marynarce wojennej, są częścią systemu obrony antybalistycznej USA, ale też podporządkowane są pod struktury dowodzenia NATO.

Skoro mowa o US Navy, to warto wyjaśnić, czym jest baza w Redzikowie: to w gruncie rzeczy wkopany w ziemię fragment amerykańskiego okrętu rakietowego klasy Aegis.

Zgadza się, mamy tam niemal ten sam radar, co na niszczycielach rakietowych typu Arleigh Burke wyposażonych w system walki Aegis. Częścią systemu są też trzy moduły wyrzutni mieszczące łącznie 24 rakiety antybalistyczne SM-3. Redzikowo stanowi jeden z elementów amerykańskiego systemu European Phased Adaptive Approach, na który składa się podobna baza w Rumunii i radar w Turcji, wspierane przez okręty 6. Floty USA, które stacjonują w Hiszpanii

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

JUSTYNA GOTKOWSKA jest wicedyrektorką Ośrodka Studiów Wschodnich, kieruje w nim Zespołem Bezpieczeństwa i Obronności.

Serwis Defence24 szacuje, że w Redzikowie Amerykanie zainstalowali uzbrojenie warte niespełna miliard dolarów. Tymczasem łączny budżet polskich programów obrony powietrznej „Wisła", „Narew" i „Pilica" to jakieś 20 razy więcej.

Tych kwot nie warto ze sobą zestawiać. Baza w Redzikowie służy zwalczaniu określonych celów – rakiet balistycznych o zasięgu ponad 1000 km – w najwyższej warstwie obrony powietrznej. System obrony powietrznej, który buduje Polska w ramach tych trzech programów, jest dużo szerszy. Będzie zwalczać cele bardzo krótkiego (do 10 km), krótkiego (10-50 km) oraz średniego zasięgu (ponad 50 km). Zarówno samoloty, śmigłowce i drony, jak też pociski manewrujące i balistyczne o krótszym zasięgu.

Niemal rok temu Niemcy wyszły z inicjatywą budowy europejskiej tarczy przeciwlotniczej i przeciwrakietowej European Sky Shield Initiative, ESSI. Polska do niej nie przystąpiła.

Traktowałabym ESSI jako pomysł na pokazanie, że Niemcy są sojusznikiem kształtującym dyskusję o obronie Europy, i na promowanie niemieckich firm zbrojeniowych. ESSI to raczej zaproszenie do wspólnych zakupów uzbrojenia, które rząd Niemiec wysłał do europejskich partnerów z nadzieją, że duża część tych zamówień spłynie do niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Dla nas uczestnictwo w ESSI nie ma większego sensu, bo – jak pan zauważył – jesteśmy w trakcie budowy własnej obrony powietrznej, która w planowanym, docelowym kształcie będzie rozwiązaniem klasy światowej.

Problem w tym, że USA są zmęczone hamletyzowaniem Europy nad jej własnym bezpieczeństwem. Mógł to być wręcz jeden z czynników, które zaważyły na zwycięstwie Trumpa, który zapowiadał zmianę kursu wobec sojuszników zza Atlantyku.

Pierwsze nominacje prezydenta-elekta świadczą faktycznie o tym, że nowa administracja będzie bardziej asertywna niż poprzednicy. Proponuję jednak z powściągliwością podejść do ekstremalnych scenariuszy, mówiących np. o wycofywaniu wojsk amerykańskich z Europy. NATO stanowi atut także dla USA, o czym powinniśmy aktywnie Waszyngton przekonywać.

Przypomnę, że Sojusz tylko raz uruchomił artykuł 5. i stało się to na wniosek Waszyngtonu, po atakach z 11 września 2001 r. Obecność armii USA w różnych miejscach globu od lat stanowi też kartę przetargową w rozmowach gospodarczych i politycznych Amerykanów. Donald Trump uchodzi oczywiście za osobę nieprzewidywalną i może to działać pozytywnie lub negatywnie dla europejskiego bezpieczeństwa. Warto jednak zwrócić uwagę, że sama ↦

↦ perspektywa jego powrotu do władzy już zadziałała. W tym roku zadeklarowanego poziomu 2 proc. wydatków na obronność nie osiągnie najprawdopodobniej tylko 8 z 32 krajów Sojuszu.

Z Trumpem w Białym Domu Europa będzie musiała się zmobilizować w dużo większym stopniu niż do tej pory.

Polska zbliża się do 5 proc. PKB na obronność. Oczywiście nie po to, by się przypodobać Waszyngtonowi, mamy wojnę za wschodnią granicą. Czy zakupy broni w USA mogą wpłynąć na jakość relacji polsko-amerykańskich? Osoby z otoczenia Trumpa opisują go często jako „osobowość transakcyjną".

Zakupy są tego elementem, ale w obozie republikańskim generalnie cieszymy się opinią sojusznika, na którym można polegać. Amerykanie też umieją liczyć i wiedzą, ile u nich wydajemy na uzbrojenie. Warto więc teraz wobec nowej administracji pokazać proaktywność, wychodzić z inicjatywami i współkształtować strategię Trumpa wobec Ukrainy, Rosji i bezpieczeństwa Europy na tyle, na ile jesteśmy w stanie to zrobić.

Z otoczenia Trumpa miał już wyjść pomysł, by w przyszłej misji stabilizacyjnej wysłać na Ukrainę wojska z krajów Europy, w tym polskie.

Musimy brać pod uwagę chęć szybkiego zakończenia tej wojny przez nową administrację. Ale też wskazywać na to, że nie może stać się to kosztem suwerenności Ukrainy z możliwością odbudowania rosyjskiego potencjału. Musimy mieć własne koncepcje, jak zapewnić bezpieczeństwo Ukrainy po ewentualnym zamrożeniu frontu, żeby za chwilę Rosja nie wznowiła wojny.

Amerykanie oczekują europejskiego zaangażowania. To oczywiste, że Warszawa w pojedynkę nie zagwarantuje bezpieczeństwa Ukrainie. Ale powinniśmy mieć własne pomysły, jak powinien wyglądać europejski wkład i nasz w nim udział.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TERRY WYATT / GETTY IMAGES

Pete Hegseth

HANNAH BEIER / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Marco Rubio

Ekipa Trumpa

JOHN E. HERBST,
BYŁY AMBASADOR USA W UKRAINIE:

Kandydat na sekretarza stanu Marco Rubio i przyszły doradca ds. bezpieczeństwa Mike Waltz to ludzie, którzy rozumieją, że ambicje Putina są zagrożeniem także dla USA.

MARTA ZDZIEBORSKA: Rozmawiamy po tym, jak Trump ogłosił swojego kandydata na sekretarza obrony. Pete Hegseth jeszcze przed nominacją powątpiewał w jednym z wywiadów, że zwycięstwo Rosji nad Ukrainą byłoby preludium do jej pójścia dalej na Zachód. Mamy się bać, czy to tylko retoryka?

JOHN E. HERBST: Nie jestem pewien, jak odpowiedzieć na to pytanie. Zacytowane przez panią słowa Pete'a Hegsetha mogą budzić niepokój, bo dobrze wiemy, że ambicje Putina sięgają dalej niż tereny, które kontroluje teraz w Ukrainie. Z drugiej strony, od ludzi znających dobrze Hegsetha słyszę, że będzie wiedział, jak we właściwy sposób podejść do problemu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

To znaczy?

Według moich rozmówców Hegseth rozumie, że agresywna polityka Putina jest zagrożeniem także dla interesów USA i należy ukrócić jego działania.

Inna sprawa, że w otoczeniu Trumpa ścierają się różne wizje. Niektórzy nie rozumieją, jak dużym zagrożeniem dla Ameryki są ambicje terytorialne Putina. Być może w tamtym wywiadzie, o którym pani mówi, Hegseth nie chciał narazić się tej właśnie frakcji, bo starał się o nominację na stanowisko szefa Pentagonu. Nie znam go osobiście, ale chyba tylko w ten sposób można wytłumaczyć przytoczoną przez panią wypowiedź.

Krytycy wytykają Hegsethowi, że brak mu doświadczenia w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego. Owszem, służył w Iraku i Afganistanie, ale jak ma zarządzać Pentagonem, skoro w CV ma tylko kierowanie dwiema grupami wspierającymi weteranów. Ostatnio robił karierę jako prowadzący w telewizji Fox News.

Zgadzam się, że nominowanie na sekretarza obrony kogoś, kto nie ma wieloletniego doświadczenia w sprawach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, jest nietypowe. Czasem zdarza się jednak, że ludzie, którzy nie przebyli tradycyjnej ścieżki kariery, świetnie radzą sobie na danym stanowisku.

Jeśli rzeczywiście Hegseth rozumie, że Putin postrzega Stany jako naczelnego wroga, co można wyczytać z niektórych wypowiedzi i działań rosyjskiego przy-

wódcy, to jest dobrym kandydatem do kształtowania polityki militarnej USA.

Trump chce, aby sekretarzem stanu został senator Marco Rubio. Z kolei doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa będzie kongresmen Mike Waltz. Co te nazwiska oznaczają dla Ukrainy i Europy?

Dochodzą do mnie sygnały, że także Rubio i Waltz rozumieją, jak dużym zagrożeniem dla świata jest Rosja. Choć to, jak głosowali w przeszłości w Kongresie, nie zawsze to odzwierciedla.

W kwietniu Rubio jako jeden z 15 republikańskich senatorów głosował przeciw przyjęciu pakietu pomocy wojskowej dla Ukrainy. Pakietu, na który czekaliśmy długie miesiące.

To pokazuje, jak niekonsekwentne jest stanowisko Republikanów wobec rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Ze względu na duże różnice zdań partyjny komitet pominął całkowicie ten wątek w programie wyborczym przed listopadowym starciem o Biały Dom. Pamiętajmy jednak, że gdy w kwietniu ważyły się losy pakietu pomocowego dla Ukrainy, impas przełamał republikański spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson, występując przeciw partyjnym kolegom grożącym mu usunięciem ze stanowiska.

Zanim Johnson przełamał impas, dostał poparcie od Trumpa, z którym wystąpił na konferencji prasowej.

I właśnie to poparcie było kluczowe, by Johnson wyszedł przed szereg. Donald Trump przyznał w tamtym czasie, że przetrwanie Ukrainy jest kluczowe dla interesów USA [napisał o tym na platformie Truth Social – red.]. Od dawna powtarza zresztą, że doprowadzi do negocjacji pokojowych. A jeśli Putin nie będzie chciał zasiąść do stołu, to zmusi go, zwiększając dostawy broni dla Ukrainy na skalę niespotykaną za rządów Bidena.

Czy Trump słucha generała Keitha Kellogga, który już kilka miesięcy temu proponował, by zmusić Kijów do negocjacji, grożąc wstrzymaniem pomocy wojskowej?

Propozycja generała Kellogga to jedna z wielu. Jest też plan przedstawiony przez wiceprezydenta elekta J.D. Vance'a, który zakłada zawieszenie broni i stworzenie strefy zdemilitaryzowanej wzdłuż linii demarkacyjnej.

J.D. Vance jeszcze we wrześniu mówił, że plan ten zakłada zatrzymanie przez Rosję ziem, które nielegalnie zdobyła od 2014 r. do dziś, a także gwarancje ze strony Ukrainy, że porzuci starania o wstąpienie do NATO. Ukraińska część strefy zdemilitaryzowanej miałaby być ufortyfikowana, by zapobiec kolejnemu atakowi Rosji.

Jest też trzeci plan, który byłby najbardziej korzystny z punktu widzenia Kijowa oraz interesów Ameryki. Zakłada on większą pomoc wojskową dla Ukrainy, by wzmocniła swoją pozycję na polu bitwy i tym samym miała lepszą kartę przetargową podczas negocjacji.

Która propozycja najbardziej przemawia do Trumpa?

Nie mam pojęcia i sam chciałbym to wiedzieć. Jednak w tym równaniu największą niewiadomą jest Władimir Putin. Po zwycięstwie Trumpa rosyjskie władze sygnalizowały, że to one chcą dyktować warunki. W tej sytuacji nadzieję widzę w tym, że Trump nie znosi przegrywać i boi się wyjść na słabego, dlatego w jego interesie jest niewpychanie Ukrainy w ręce Putina. Gdyby spełnił się najczarniejszy scenariusz i Putin przekroczyłby Dniepr, idąc dalej na zachód, byłaby to znacznie większa porażka dla USA niż chaotyczne wyjście amerykańskich wojsk z Afganistanu latem 2021 r. Dlatego w mojej ocenie dozbrajanie Ukrainy jest w interesie Trumpa.

Jednak Trump od miesięcy krytykuje skalę amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy, że idą na to środki amerykańskich podatników. Czy przełknąłby dalszą pomoc na zasadzie pożyczki?

Nie można tego wykluczyć. Najważniejsze, by Ukraina miała wystarczająco broni, aby powstrzymać Rosjan przed zajęciem kolejnych terenów. Nie sądzę natomiast, żeby intencją Trumpa było takie dozbrojenie Ukrainy, by miała szansę na odbicie ziem zajętych już przez Rosję. W otoczeniu Trumpa mówi się o terytorialnym kompromisie. No chyba że Putin będzie stawał okoniem i nie będzie chciał zgodzić się na plan pokojowy. Wtedy – jeszcze raz to powtórzę – Trump rozważy wpompowanie w pomoc wojskową dla Kijowa ogromnych funduszy.

Jak jeszcze Trump może naciskać na Putina?

Poprzez zwiększenie amerykańskiej produkcji ropy i gazu, które zaleją światowy rynek. To odbiłoby się na rosyjskiej gospodarce, która czerpie zyski z eksportu surowców. Wśród innych rozwiązań, o których słyszę od ludzi z otoczenia Trumpa, jest też rozszerzenie sankcji dla podmiotów z krajów takich jak Turcja, Katar czy Gruzja, które pomagają Rosji ominąć nałożone na nią restrykcje. Administracja Bidena ostatnio nałożyła sankcje na kilkaset podmiotów. Myślę, że ekipa Trumpa będzie to kontynuować.

Czy to nie jest tak, że Trump nie może pozwolić sobie na porzucenie Ukrainy ze względu na wieloaspektowość wojny z Rosją? Dziś działania Kremla wspierają Chiny, Iran i Korea Północna.

Na to wskazywałaby logika. Większość poważnych ekspertów międzynarodowych podkreśla, że za sprawą rosnącej współpracy tych reżimów, konflikt w Ukrainie wpływa na stabilność sytuacji w miejscach oddalonych o tysiące kilometrów – na Bliskim Wschodzie, w Azji Wschodniej, a nawet Afryce. I tak, jeśli chcemy zmniejszyć ryzyko agresji Chin na Tajwan, to nie możemy dopuścić do zwycięstwa Putina w Ukrainie. To podstawy myślenia geopolitycznego. Niestety w otoczeniu Trumpa są również ludzie, którzy pomijają ten aspekt.

Na przykład Elbridge A. Colby, który służył w Pentagonie za pierwszej kadencji Trumpa. Gdy rozmawiałam z Colbym w zeszłym roku, przekonywał, że Stany powinny ograniczyć pomoc dla Ukrainy, bo priorytetem jest rywalizacja z Chinami i ochrona Tajwanu. Colby będzie w rządzie Trumpa?

Są na to szanse, ale raczej w roli drugoplanowej, nie na stanowisku sekretarza stanu czy doradcy ds. bezpieczeństwa, na co zapewne miał nadzieję. Jeśli Colby trafi do rządu Trumpa i jeśli jest na tyle bystry, jak mówią, to nie sądzę, by trzymał się dalej swoich założeń, bo są one błędne. Myślę zresztą, że Colby nasilił swoją retorykę ↦

↦ dotyczącą Ukrainy nie dlatego, że wierzy w to, co mówi, ale dlatego, że to politycznie korzystne w staraniu się o posadę.

Panie ambasadorze, powtarza Pan, że w otoczeniu Trumpa są dwie frakcje. Grupa tzw. naiwnych, którzy nie rozumieją, jak dużym zagrożeniem dla Ameryki jest zwycięstwo Putina w Ukrainie, i ci, którzy wiedzą, że to nie jest w interesie USA. Czy po pierwszych nominacjach Trumpa możemy stwierdzić, że ta druga frakcja wygrywa?

Na to za wcześnie. Owszem, Rubio i Waltz znają się na polityce zagranicznej. Myślę, że Hegseth też jest w tej grupie. W ekipie Trumpa będzie jednak być może wspomniany Colby. Do tego szefową wywiadu narodowego ma być Tulsi Gabbard. Co prawda to nie wiąże się z bieżącym kształtowaniem polityki, jest to jednak ważne stanowisko. Nie mam pewności, czy Gabbard trafnie identyfikuje interesy USA w Europie i na świecie, i czy w pełni rozumie zagrożenie ze strony Rosji.

Gabbard krytykowała wsparcie administracji Bidena dla Ukrainy. Po inwazji pisała na platformie X, że nie doszłoby do niej, gdyby rząd USA i NATO „uznały" obawy Putina związane z potencjalnym członkostwem Ukrainy w Sojuszu.

Wracając do pani wyjściowego pytania: musimy poczekać tygodnie, a nawet miesiące, by ocenić, która frakcja w otoczeniu Donalda Trumpa zwycięży.

Czy Biden na finiszu rządów zrobi jeszcze coś dla Ukrainy?

Na pewno wiem, co powinien zrobić. To zezwolenie na użycie rakiet dalekiego zasięgu przeciw celom w głębi Rosji. Biden powinien też zabezpieczyć dodatkowe fundusze na pomoc wojskową dla Ukrainy i poczynić starania w NATO, by Rosja poniosła konsekwencje za działania dywersyjne i naruszanie przestrzeni powietrznej państw Sojuszu. Jednak w tej chwili nic nie wskazuje na to, by Biden miał zrealizować coś z tej listy.

Pentagon chce przynajmniej przyspieszyć wykorzystanie ponad 6 mld dolarów, jakie zostały na wsparcie Ukrainy. Niektórzy eksperci twierdzą, że toczą się dyskusje w sprawie zgody na użycie przez Ukraińców amerykańskich rakiet w głębi Rosji.

Śledzę tę drugą sprawę z bliska i na razie nic nie wskazuje, by miało to nastąpić.

ARCHIWUM PRYWATNE

JOHN E. HERBST był ambasadorem w Ukrainie w latach 2003-2006, w czasie pomarańczowej rewolucji. Nominował go prezydent Bush. Był też ambasadorem w Uzbekistanie i konsulem w Jerozolimie. Dla Departamentu Stanu przepracował 31 lat. Dziś szef Centrum Euroazjatyckiego w think tanku Atlantic Council.

Jakie będzie podejście Trumpa do NATO? Europa boi się, że posłucha on ekspertów z think tanku Center for Renewing America, którzy uważają, że USA powinny jednostronnie zmniejszyć obecność wojskową i aktywność w ramach Sojuszu. Wszystko po to, by zmusić europejskich sojuszników do większego zaangażowania.

Co prawda w orbicie Trumpa są ludzie, którzy nie rozumieją, jak ważna jest rola USA w NATO, myślę jednak, że istnieje ponad 50 procent szans na to, że amerykańska polityka wobec Sojuszu pozostanie rozsądna.

Rozsądna, czyli bez ograniczania obecności wojsk USA w Europie?

To słuszne pytanie, ale jest zbyt wcześnie, by to ocenić. Gdybym miał strzelać, to uważam, że Trump by tego nie zrobił, bo to byłoby destabilizujące dla regionu. Ale jeszcze raz powtarzam: tak naprawdę nie wiadomo, co Trump zrobi.

Natomiast z rzeczy pewnych: będzie naciskać na sojuszników, by wydawali więcej na obronność. Jego polityka z pierwszej kadencji, w połączeniu z rosyjską agresją na Ukrainę, zmobilizowały Europę. Coraz więcej krajów członkowskich przeznacza na obronność co najmniej 2 proc. PKB.

Kilka miesięcy temu serwis Politico donosił, że niektórzy z otoczenia Trumpa chcą traktować NATO jak „Sojusz dwóch prędkości". Ci, którzy nie spełniają wymogu 2 proc. PKB, nie mogliby liczyć na gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA. Ten pomysł upadł?

W otoczeniu Trumpa nadal są ludzie, którzy wierzą w taką wizję. Ale byłaby ona niezmiernie trudna do realizacji, więc nie należy się nią zbytnio przejmować.

Jakie miejsce w polityce Trumpa będzie zajmowała Polska?

Dobrze wiemy, że Trump ceni Polskę i ma dobre relacje z prezydentem Andrzejem Dudą. Należy dalej przekonywać Trumpa, jak ważne jest jego wsparcie dla Polski, Europy Środkowej i Ukrainy.

Przenieśmy się na Bliski Wschód. Jak polityka Trumpa wobec tego regionu może różnić się od tej prowadzonej przez Bidena? Czego może spodziewać się Iran?

Trump sygnalizuje, że chce zakończenia konfliktu Izrael–Hamas jeszcze przed objęciem urzędu. Mówi to samo, co w przypadku wojny w Ukrainie, z tą jednak dużą różnicą, że Trump ma znacznie bardziej skomplikowane relacje z Kijowem niż z Izraelem.

Jeśli chodzi o Iran: Trump postrzega to państwo jako niebezpiecznego wroga i na pewno będzie działać adekwatnie do zagrożenia, jakie Iran stwarza. Myślę, że będzie go stać na bardziej śmiałe ruchy niż w przypadku Rosji. Trump pokazał już, na co go stać, gdy podczas pierwszej kadencji siły USA zabiły wpływowego irańskiego generała Kasema Sulejmaniego [według Amerykanów Sulejmani stał m.in. za działaniami bojówek atakujących w Iraku żołnierzy USA – red.].

Panie ambasadorze, czy zgadza się Pan z niektórymi ekspertami, twierdzącymi, że obawy przed drugą kadencją Trumpa są przesadzone?

Uważam, że Demokraci, a często także wspierające ich amerykańskie media, wyolbrzymiają zagrożenia dla sytuacji w USA i na świecie w związku z rządami Trumpa. Jednak to nie znaczy, że nie ma pewnych powodów do obaw.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Rozmowę przeprowadzono 14 listopada

ARCHIWUM PRYWATNE

Krystsina Charankova

Żółte naszywki z najwyższej pryczy

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Na Białorusi jest półtora tysiąca politycznych więźniów i więźniarek. Krystsina Charankova była jedną z nich. Dziś jest w Polsce. Oto jej historia.

W gabinecie więziennego naczelnika usłyszała: – Pani mąż za chwilę wychodzi z aresztu. Wcześniej sprzedał samochód? To dobrze. Dobrze by było, aby wreszcie wyjechał. Pani jak wyjdzie, też powinna wyjechać. Nie ma tu miejsca dla takich jak wy.

Po tym, jak odsiedziała dwa lata w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze, skazana za kilka postów opublikowanych na Instagramie, Kita musiała się spakować w kilka dni i wyjechać z Białorusi. Tak reżim Alaksandra Łukaszenki pozbywa się nieprawomyślnych obywateli.

Skinhead girl

– Jak już uporali się z protestującymi w 2020 r., powsadzali wszystkich do aresztów i więzień, to złapali chwilę oddechu i zaczęli grzebać za tym, co ludzie robią w internecie – opowiada Krystsina Charankova, czyli Kita. Dziś żyje w jednym z miast północnej Polski.

34-letnia Białorusinka należy do subkultury antyfaszystowskich i lewicowych skinheadów. Ludzie związani z tą subkulturą niejako z definicji są tutaj opozycją – opozycją wobec posowiecko-przaśnej rzeczywistości kraju, który od 30 lat rządzony jest przez jednego i tego samego człowieka.

Kita nosi charakterystyczną fryzurę: tył i czubek głowy maszynką na krótko. Przy samej skórze, nad czołem, prosta grzywa. A po bokach długie pasma blond włosów puszczone luzem. Do krótkich spódniczek, nierzadko w charakterystyczną szkocką kratę, zakłada ciężkie buty i kurtkę do pasa. Ramiona pokrywają tatuaże, a ostry makijaż dopełnia całości.

W swoim środowisku Kita ma status celebrytki, jej media społecznościowe pełne są zdjęć, na których z dumą prezentuje subkulturowy styl.

Kilka lat temu swoje zasięgi wykorzystywała, aby protestować przeciw reżimowi Łukaszenki, a później przeciw wojnie w Ukrainie.

Spalona ziemia

Tak jak wielu Białorusinów, również Kita w sierpniu 2020 r. wyszła na ulicę. Za udział w protestach w rodzinnym Mozyrze odsiedziała tzw. „doby" – czyli administracyjną karę pozbawienia wolności na 14 dni.

„Doby" orzekano wtedy z artykułu 23.34 Kodeksu Wykroczeń (rok później artykuł ten zmieniono na 24.23). Wielu ludzi zaczęło tatuować sobie te cyfry, traktując je jako identyfikator obywatela Białorusi. I choć Kita przekonuje, że w tamtym czasie sprawy karne wytaczano głównie wobec znanych opozycjonistów, jak Wiktor Babaryka czy Maria Kalesnikowa, to często Białorusini, po odbębnieniu kolejnych z rzędu „dób", decydowali się na wyjazd za granicę – często do Polski – aby uniknąć kolejnej sprawy, już karnej. Tak zrobił np. teść Kity, który wraz z żoną został pobity po zatrzymaniu przez milicję.

– Z mężem mieliśmy nadzieję, że wszystko się jakoś uspokoi. Poza tym byliśmy zdania, że wszyscy wyjechać nie mogą, bo zostanie za nami spalona ziemia. No i mieliśmy mieszkanie, pracę, ja od siedmiu lat prowadziłam swój biznes. Jestem dekoratorką ślubów.

Mąż dostał wilczy bilet

Tymczasem ziemia istotnie płonęła na ich oczach, a kolejni ludzie znikali w aresztach. Kita na Instagramie informowała o aktualnej liczbie więźniów politycznych: – Co miesiąc dopisywałam kolejne setki.

↦

↦ Dziś ta liczba waha się od 1297 (tyle podaje stowarzyszenie Wiasna) do 1416 (wedle stowarzyszenia Dissident.by, które nie stawia warunku działania bez przemocy, aby zaliczyć skazane osoby do kategorii politycznych). Szacuje się, że łącznie za udział w protestach w latach 2020-21 różnym represjom poddano aż 33 tys. osób.

Im więcej ludzi w aresztach i więzieniach, tym na Białorusi żyło się coraz gorzej. W 2020 r. skazanie na „doby" było w zakładach pracy traktowane jak nieobecność usprawiedliwiona, ale już w 2021 r. za takie zniknięcie na 14 dni lądowało się na bruku. Zaczęło więc brakować ludzi do pracy: nauczycieli, pracowników służby zdrowia czy nawet robotników.

– Tak wyrzucili mojego męża. Osiem lat pracował w fabryce, był brygadzistą. Dostał wilczy bilet. Zostało mu albo być taksówkarzem, albo pracować na czarno, albo jeździć do pracy do Rosji. Musiał kombinować – opowiada Kita.

„Tylko ćwiczenia"

Rodzinne miasto Kity, Mozyr, leży tuż przy granicy z Ukrainą. Mieszkańcy widzieli na własne oczy, co się działo przed 24 lutego 2022 r. Wokół Mozyru stacjonowały wojska rosyjskie, a w sklepach czy na poczcie mieszkańcy coraz częściej spotykali żołnierzy z biało-niebiesko-czerwonymi naszywkami na rękawach. Władze mówiły, że to tylko ćwiczenia, ale mało kto w to wierzył. Napięcie wisiało w powietrzu.

Kita: – 24 lutego obudził nas ryk samolotów. Chwilę później rozdzwoniły się telefony: „Rosja zaatakowała Ukrainę". Podbiegliśmy do okna, niebo przecinały smugi. Znajomi z zagranicy zaczęli nas namawiać: „Uciekajcie, wojna". Ale sam wiesz, jak to jest: dom, praca, wpłacone zadatki, zlecenia. Znów: przeczekamy.

Na Instagramie Kita pisała bardzo ostrożnie, ale zaczęła podawać informacje o tym, co się dzieje w Ukrainie, oraz wypowiadać się przeciw rosyjskiej agresji. To ściągnęło na nią uwagę służb, czyli siłowików.

– Nie spodziewałam się, że aż tak się przyczepią, choć w tym czasie już przychodzili po ludzi, np. po tych, którzy wrzucali zdjęcia dokumentujące ruchy wojsk. Włamywali się im do mieszkań, wyciągali siłą. W końcu przyszli i po mnie.

Szlifierką po drzwiach

– Nad ranem obudził mnie dźwięk szlifierki za drzwiami – wspomina dziś. – Dlaczego po prostu nie zapukali?

Dalej było tak: – GUBOP to oddział do walki ze zorganizowaną przestępczością, musieli pokazać więc, jak dzielnie walczą z przestępczością. Zrobili *show* i wszystko nagrali na wideo. Przyjechał też OMON. Do mieszkania wpadło 10 osób w kamizelkach kuloodpornych, kominiarkach i z bronią maszynową.

Kita mówi, że na wejściu zwyzywali ją i jej męża, skopali oboje i zakuli w kajdanki. W tych kajdankach kazali im się ubierać. W międzyczasie wywrócili mieszkanie do góry nogami.

Na komisariacie kazali jej klęczeć twarzą do ściany, a za jej plecami bili męża. Potem nagrali wideo, w którym kazali jej się pokajać. Gdy coś im nie pasowało w tym, co mówiła, bili ją po twarzy. Nagranie wstawili na jej kanał na TikToku, który niedługo później zniknął z sieci.

Na dołku

Przesłuchanie trwało około sześciu godzin. Po początkowo brutalnym zatrzymaniu, teraz śledczy odgrywali dobrych policjantów. Padały niby to standardowe pytania: o stosunek do władz, do służb mundurowych, do „specjalnej operacji wojskowej" w Ukrainie. Ale Kita nie dawała się podejść – odpowiadała wymijająco, nierzadko ironicznie lub nawet z szyderą. Na zakończenie przesłuchania usłyszała, że kawał z niej suki.

Na tzw. dołku Kita spędziła cały dzień i cały wieczór – zarzuty usłyszała przed północą, dopiero wtedy mogła po raz pierwszy od wejścia siłowików do domu iść do łazienki i napić się wody.

Przewieziono ją na tzw. śledczak i tam zapakowano do zatłoczonej celi. Kita wspomina, że kobiety, które z nią siedziały, sprawiały wrażenie osób z marginesu, ale że jak tylko zamknęły się za nią drzwi, zaczęły ją pocieszać.

Następnego ranka widziała się z adwokatem – ściągnęli go jej rodzice, którzy zorientowali się, co się stało. – Przekazał mi, że mój mąż Fiodor dostał karę administracyjną, czyli „doby", a sprawę karną wytoczono tylko wobec mnie. Przekazał mi także, że rodzice zajęli się naszą kotką, która została sama w mieszkaniu i o którą bardzo się martwiłam.

Kogo słucha sąd

W kolejnej celi spotkała przyjaciółkę Anię, którą oskarżono o przesyłanie tzw. kanałom ekstremistycznym, czyli Nexcie i Bielsatowi, zdjęć i nagrań wideo dokumentujących ruchy wojsk.

Ania dostała ponad trzy lata, powinna wyjść w listopadzie tego roku.

Na swój proces Kita czekała do listopada. Z aresztu śledczego w Homlu była wożona do Mozyra na „czynności": – W radiowozie zamykali mnie w tzw. szklance, zawsze ze skutymi rękami. Złodzieje czy bandyci jechali wygodnie na kanapie, nieskrępowani.

W ciągu ośmiu miesięcy postępowania sądowego przeprowadzono szereg analiz językowych i psycholingwistycznych instagramowych wpisów Kity. I choć eksperci orzekli, że posty nie zawierały nawoływania do nienawiści czy agresji, sąd dał wiarę prokuratorowi.

Potem była sprawa apelacyjna. Przypominała teatr absurdu. – Sąd apelacyjny orzekł, że to nieważne, co mówią eksperci, bo eksperci przecież nie wiedzą, z jaką intencją publikowałam posty. A przeprowadzanie nowego postępowania, które miałoby zbadać te intencje, jest bezzasadne, zwłaszcza że liczy się nie tylko opinia ekspertów, ale też subiektywne zdanie prokuratora – wspomina Kita.

Za publikowanie informacji o wojnie oraz za używanie wobec mundurowych pogardliwego określenia „śmieci" (czyli „musory"; ma porównywalny wydźwięk co w języku polskim słowo „psy"), Kita dostała wyrok: 2,5 roku kolonii karnej.

Czarne, czerwone i żółte

Kita trafiła do Antoszkiny. Miała to być kolonia bez zaostrzonego rygoru, ale gdy już po odbyciu kary rozmawiała ze skazanymi z innych kolonii, to zorientowała się, że i u niej był *de facto* zaostrzony rygor.

Jak większość kolonii dla kobiet, Antoszkina była kolonią czerwoną, czyli całkowicie kontrolowaną przez służbę więzienną – w odróżnieniu od kolonii czarnej, gdzie panuje tradycyjny więzienny system kastowy. W koloniach czarnych więźniowie dzielą się na blat-

ARCHIWUM PRYWATNE

Zawsze antyfaszystowska, czasami antyspołeczna – tatuaże na przedramionach Kity

nych, czyli złodziei i bandytów zawodowych (polski odpowiednik to git-ludzie, czyli grypsujący), na więźniów regularnych (to ci, co chcą swoje odsiedzieć i w nic się nie mieszać, czyli frajernia), no i strąceni na samo dno, niedotykalni, czyli cwele.

Białoruski opozycjonista i anarchista Mikoła Dziadok w „Kolorach świata równoległego" opisywał zmierzch systemu kastowego w białoruskim systemie więziennictwa, czyli proces „przemalowywania" kolonii z czarnych na czerwone. Było to jeszcze przed rokiem 2020. Potem władze więzienne pozwalały na gnojenie politycznych, oznaczanych żółtą naszywką.

Dziadok odsiadywał wyrok pięciu lat w kolonii przed 2020 r. Obecnie odsiaduje kolejne pięć.

Pariaski

Kita: – To my, polityczne, byłyśmy nietykalne. Nie mogłyśmy dzielić się z innymi więźniarkami jedzeniem. Siadając na stołówce, każda oznaczona żółtą naszywką pilnowała swojego kubka i talerza, aby nie zostać posądzoną o dzielenie się jedzeniem. Mimo to i tak zdarzały się donosy.

Żółte naszywki musiały spać na najwyższych pryczach, gdzie było najzimniej. Musiały trzymać swoje rzeczy na najwyższych półkach w szafkach, aby było jak najmniej wygodnie cokolwiek wyciągać.

Widzenia z bliskimi – ograniczone. Czas na rozmowę przez telefon – ograniczony oraz w obecności klawisza i śledczego, który tylko czeka na fałszywe słówko, by przerwać połączenie. Tak samo korespondencja – o tym, co słychać u rodziny, i o tym, jaka pogoda, pisz śmiało, ale o tym, co w kraju – nie wolno, i to pod groźbą pozbawienia możliwości korespondencji przez miesiąc, a może więcej.

Codzienne szykany i poniżania, przypominanie, że jesteś wrogiem narodu, oraz SZIZO, czyli izolatka. Kita wspomina: – Jedna więźniarka odmawiała chodzenia do pracy, bo władze kolonii nie zezwalały jej na zakup okularów. Miała dużą wadę wzroku, więc obawiała się o swoje bezpieczeństwo w fabryce. W izolatorium spędziła łącznie sto dni. Wyglądała jak żywy trup.

„Coś za mało dostała"

W kolonii Kita spotkała Marfę Rabkovą, obecnie więźniarkę polityczną o najwyższym wyroku, bo aż 15 lat pozbawienia wolności.

Rabkova była koordynatorką wolontariatu w organizacji Wiasna. Zatrzymano ją 17 września 2020 r. i oskarżono o „przygotowania do masowych zamieszek", włączając do sprawy Wiasny, w której to skazano także Alesia Bialackiego, laureata Pokojowej Nagrody Nobla.

W lutym 2021 r. Rabkovej dorzucono „udział w organizacji przestępczej" i włączono jej przypadek do sprawy „Akcji Rewolucyjnej", wymierzonej w środowisko anarchistyczne, w której najwyższy wyrok wyniósł aż 17 lat (o sprawie Rabkovej pisaliśmy w „TP" w sierpniu i wrześniu 2022 r.).

Kita: – Pierwszy raz minęłam się z nią na korytarzu, gdy wyszłam z rozmowy z GUBOP-em. Mówili ze mną o moim mężu, który właśnie robił kolejne „doby". Usłyszałam, że wiedzą, że sprzedał samochód, i że dobrze, że myśli o wyjeździe z kraju. Powiedzieli mi też, że dobrze będzie, jak wyjadę, gdy tylko wyjdę z kolonii, bo dla takich jak ja w Białorusi nie ma miejsca.

Służby najwyraźniej szukały sposobu, by połączyć Kitę ze sprawą anarchistów, w której skazano właśnie Rabkovą. Po spotkaniu z GUBOP-em Rabkova posłała wiadomość Kicie: „Pytali o ciebie, sugerowali, że coś za mało dostałaś".

Uważam, z kim rozmawiam

Kita: – Dzień wyjścia? Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Przed bramą czekali na mnie mama i przyjaciel rodziny. Podali mi telefon, to Fiedia dzwonił z zagranicy! W domu uroczysty obiad, a po obiedzie poważna rozmowa.

Następnego dnia była w drodze do Mińska po wizę. Chciała zostać na Białorusi chwilę dłużej, ale wszyscy odradzali jej zwłokę. – Nie pojechałam nawet zameldować się na komisariat, bo bałam się, że wbiją mi w paszport pieczątkę z zakazem wyjazdu.

Co teraz? – Często nachodzą moją mamę, co sugeruje, że mogli mi założyć sprawę karną. Na Białorusi jestem poszukiwana listem gończym. Gdybym wróciła, zatrzymaliby mnie od razu na granicy. Zrobili wszystko, abym nigdy nie wróciła.

Mówię Kicie, że śledziłem jej sprawę od początku, więc tym bardziej się cieszę, że jest w Polsce, wolna i bezpieczna, i że możemy się zobaczyć.

– Bezpieczna? Niby tak, ale przecież mam rodzinę w Białorusi, więc wolna nie jestem. Uważam na to, co publikuję na Instagramie, uważam też, z kim rozmawiam – mówi.

Dodaje: – Nie wierzę, że coś się zmieni w Białorusi. Nawet jak umrze Łukaszenko, to przecież jest Putin. I choć Łukaszenko to zło wcielone, Putin jest jeszcze gorszy. Jak Białoruś będzie się chciała wyrwać z jego łap, skończy jak Ukraina. I ludzie się tego boją.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

MIGUEL GUTIERREZ / MATERIAŁY PRASOWE EFE

María Corina Machado, liderka wenezuelskiej opozycji oraz prezydent Edmundo González Urrutia – laureatami Nagrody im. Sacharowa za wolność myśli przyznawanej przez Parlament Europejski.

DLA WENEZUELI

DOMA MATEJKO

Laureatami tegorocznej Nagrody im. Sacharowa za wolność myśli przyznawanej przez Parlament Europejski zostali María Corina Machado, liderka wenezuelskiej opozycji, oraz tamtejszy prezydent elekt Edmundo González Urrutia, który został zmuszony do opuszczenia kraju.

María Corina Machado od lat jest liderką opozycji wobec socjalistycznego reżimu Nicolása Maduro. W zeszłorocznych prawyborach, przeprowadzonych przez opozycję, zdobyła ponad 92,5 proc. głosów. Uznana jednak za zagrożenie dla wenezuelskiej dyktatury, nie została dopuszczona do kandydowania w wyborach prezydenckich, które odbyły się 28 lipca tego roku. Jej kariera polityczna sięga początku lat dwutysięcznych, kiedy to, jako jedna z niewielu, otwarcie sprzeciwiała się reformom wprowadzanym od 2009 r. przez przywódcę socjalistycznej rewolucji Hugo Cháveza.

CAŁYM ŻYCIEM

Pochodząca z Caracas María Corina Machado studiowała inżynierię przemysłową na Uniwersytecie Katolickim Andrés Bello. Po studiach specjalizowała się w finansach, pracując w prestiżowym Instytucie Wyższych Studiów Zarządzania (IESA), oraz wykładała zarządzanie zasobami ludzkimi na macierzystej uczelni. Była także uczestniczką programu Yale Fellow Program dla wschodzących światowych liderów na Uniwersytecie Yale.

W wieku 25 lat Machado założyła fundację Atenea, której celem była pomoc dzieciom w trudnej sytuacji z Caracas. W 2002 r., mając 35 lat, współzałożyła organizację pozarządową Súmate, zajmującą się monitorowaniem uczciwości wyborów i promowaniem zaangażowania obywateli w politykę. Súmate odegrała kluczową rolę w zorganizowaniu referendum przeciwko ówczesnemu prezydentowi Hugo Chávezowi w 2004 r. Choć Chávez utrzymał się przy władzy, działania Machado przyciągnęły uwagę zarówno jej zwolenników, jak i przeciwników.

W 2010 r. Machado została wybrana na deputowaną do Zgromadzenia Narodowego ze stanu Miranda, zdobywając rekordowe poparcie w skali kraju. Jej wystąpienia niejednokrotnie były traktowane jako wyzwanie rzucone Chávezowi. Do historii przeszedł moment, gdy socjalistyczny prezydent pogardliwie powiedział do Machado: „Aguilas no cazan moscas" – orły nie polują na muchy. To doskonały przykład napięć między liderami.

POBITA W PARLAMENCIE

W 2012 r. Machado po raz pierwszy kandydowała na prezydentkę, zajmując trzecie miejsce w prawyborach opozycji. Wkrótce potem, po przyjęciu roli ambasadorki w Organizacji Państw Amerykańskich (OEA) za zgłaszanie naruszeń praw człowieka i zabójstw młodych protestujących w Wenezueli, została pozbawiona mandatu w Zgromadzeniu Narodowym. Rząd oskarżył ją o zdradę stanu i rzekome plany zamachu. Machado wielokrotnie zaprzeczała zarzutom. W 2013 r. została pobita przez wrogich jej posłów w wenezuelskim parlamencie.

Machado ma zakaz opuszczania kraju, a trójka jej dzieci ze względów bezpieczeństwa od lat przebywa na emigracji. Mimo zarzutów reżimu, oskarżającego ją o oderwanie od realiów życia Wenezuelczyków, zdobyła blisko 3 miliony głosów w prawyborach w październiku 2023 r. Zakaz kandydowania i sprawowania funkcji publicznych, nałożony na nią przez władze na 15 lat, zdaje się jedynie wzmacniać jej pozycję jako liderki walczącej o „odrodzenie i wyzwolenie" Wenezueli.

POKOJOWY SPRZECIW

W czasie tegorocznej kampanii wyborczej, mimo iż sama nie była kandydatką, przemierzała Wenezuelę, nakłaniając obywateli do wzięcia udziału w wyborach i oddania

MATERIAŁ PROMOCYJNY

głosu na Edmundo González Urrutię. Na organizowane przez nią wiece przybywały tłumy, choć o prowadzonej przez opozycję kampanii w oficjalnych mediach nie podawano żadnych wiadomości, a liderce zabroniono używać transportu lotniczego do podróżowania po kraju.

María Corina Machado przez cały czas trwania kampanii komunikowała się z obywatelami za pomocą mediów społecznościowych, z których Wenezuelczycy dowiadywali się o planowanych spotkaniach i wiecach. Opozycja wielokrotnie zgłaszała, że osoby zaangażowane w kampanię, choćby udzielające noclegu sztabowi González Urrutii (w tym Corinie Machado), były aresztowane i do dziś miejsce ich przetrzymywania pozostaje nieznane.

Według Krajowej Rady Wyborczej tegoroczne wybory wygrał po raz trzeci z rzędu Nicolás Maduro. Wraz z ogłoszeniem oficjalnych wyników tegorocznych wyborów rozpoczęły się protesty, a Corina Machado zachęca do masowego, pacyfistycznego sprzeciwu. Po fali aresztowań opozycjonistów María Corina Machado, ze względów bezpieczeństwa, była zmuszona do ukrywania się i odwołania publicznych wystąpień.

GONZÁLEZ ZWYCIĘŻA

Edmundo González Urrutia jest wenezuelskim specjalistą ds. międzynarodowych, byłym dyplomatą i wykładowcą. Pełni również funkcję przewodniczącego koalicji opozycyjnej Stołu Jedności Demokratycznej (Mesa de la Unidad Democrática). González, który w przeszłości reprezentował Wenezuelę jako ambasador w Algierii (1991-1993) podczas drugiej kadencji prezydenta Carlosa Andrésa Péreza oraz w Argentynie (1998-2002) za rządów Rafaela Caldera i Hugo Cháveza, odegrał kluczową rolę jako mediator przy włączaniu Wenezueli do Mercosur – międzynarodowej organizacji gospodarczej, zrzeszającej część państw latynoamerykańskich.

Po decyzji Krajowej Rady Wyborczej, która uniemożliwiła kandydowanie Corinie Yoris – pierwszej wytypowanej przez wenezuelską opozycję kandydatce na prezydentkę (po tym jak Corina Machado nie została dopuszczona do udziału w wyborach) – González został przez demokratyczną opozycję jednogłośnie wybrany na kandydata.

Pierwszy raport Krajowej Rady Wyborczej, opublikowany przed zakończeniem pełnego liczenia głosów, wskazywał na drugą pozycję González z wynikiem 44,20 procent. Natomiast według opozycyjnego komitetu wyborczego „Con Venezuela", opartego na zebranych protokołach i danych z trzech niezależnych od siebie badań exit poll, González uzyskał 67 proc. głosów, co pozwoliło mu ogłosić się zwycięzcą.

PREZYDENT ELEKT NA EMIGRACJI

Wynik ten został uznany przez szereg państw, w tym Argentynę, Kostarykę, Ekwador, Stany Zjednoczone, Panamę, Peru oraz Urugwaj, jak również przez wenezuelski Sąd Najwyższy na uchodźstwie, międzynarodowego obserwatora oraz Centrum Cartera, które wyraziło obawy związane z potencjalnymi nieprawidłowościami wyborczymi.

Mimo to prezydent Nicolás Maduro nie uznał swojej porażki i złożył wniosek do Sądu Najwyższego o potwierdzenie oficjalnych wyników. Wenezuelska prokuratura wydała nakaz aresztowania González, zarzucając mu m.in. „uzurpację funkcji, udział w organizacji przestępczej, sabotaż, spisek, fałszowanie dokumentów publicznych oraz podżeganie do nieposłuszeństwa wobec prawa". 7 września 2024 r. González opuścił Wenezuelę, udając się do Hiszpanii, gdzie obecnie ubiega się o azyl polityczny. ©

Piątek 29 listopada godz. 10.00

Dom Europy ul. Jasna 14/16a Warszawa

Rejestracja na debatę: epwarszawa@ep.europa.eu

Parlament Europejski
Biuro w Polsce

HISTORIA

BERLIŃSKA WALKA O PAMIĘĆ

Pomnik polskich ofiar II wojny światowej w Berlinie mógł zostać odsłonięty jeszcze w tym roku – ustalił „Tygodnik". Jednak oddolna inicjatywa nie uzyskała poparcia niemieckiego rządu. Co dalej z całym tym projektem?

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Jest ich pięcioro. Pięcioro znanych niemieckich działaczy społecznych i byłych polityków chciało postawić pomnik polskich ofiar II wojny światowej w stolicy Niemiec. Mieli już nawet datę jego odsłonięcia: 8 listopada, na dzień przed rocznicą upadku muru berlińskiego.

Do piątki tej należą: była przewodnicząca Bundestagu Rita Süssmuth (z chadeckiej CDU), były przewodniczący Bundestagu Wolfgang Thierse (w komunistycznej NRD opozycjonista, potem polityk SPD), architekt Florian Mausbach, były dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt Dieter Bingen oraz były dyrektor berlińskiego Muzeum Topografia Terroru Andreas Nachama.

Z jednej strony – „grube ryby", reprezentujące sobą kawałek niemieckiej historii. Z drugiej – ludzie na politycznej emeryturze, sprawujący już raczej honorową rolę komentatorów życia publicznego (i dla wielu będący tu autorytetami).

To ci sami ludzie, którzy w 2017 r. rozpoczęli dyskusję – trwającą do dziś – o potrzebie upamiętnienia polskich ofiar II wojny światowej. Z czasem ich pomysł został podchwycony przez niemieckie władze, ale przez minione siedem lat nie udało się zbliżyć do jego realizacji.

Grupa pięciorga postanowiła zadziałać więc na własną rękę.

„Czas odgrywa rolę"

Jako pierwsze medium w Polsce i w Niemczech, „Tygodnik" zaznajomił się z planami ich oddolnej społecznej inicjatywy i otrzymał wgląd do pisma, które 25 września br. wysłali do Claudii Roth, federalnej pełnomocniczki ds. kultury i mediów (odpowiedniczki naszej minister kultury). To Claudia Roth sprawuje pieczę nad pracami rządu Niemiec, mającymi doprowadzić do powstania pomnika i kompleksu o roboczej nazwie Dom Polsko-Niemiecki.

„Chcielibyśmy, aby jesienią tego roku, w związku z 85. rocznicą napaści Niemiec na Polskę, w miejscu dawnej Opery Krolla stanął kamień pamiątkowy" – czytamy w liście do Roth. I dalej: „Na polski pomnik w ramach koncepcji Domu Polsko-Niemieckiego trzeba będzie jeszcze długo czekać. A czas odgrywa jednak ważną rolę. Odchodzą ostatni świadkowie okropności tamtych czasów. Dlatego godny symboliczny znak empatii i pamięci to minimum tego, czego można oczekiwać od nas, Niemców".

Inicjatorzy poprosili o odpowiedź do 2 października i zarekomendowali 8 listopada 2024 r. jako datę odsłonięcia ich monumentu.

Niemieccy rebelianci

W piątek 8 listopada – w dniu, w którym planowano tę inaugurację – jeden z inicjatorów, Florian Mausbach, spotyka się z „Tygodnikiem". Na monitorze komputera wyświetla wizualizację i projekt pomnika, które *pro bono* zrealizował zaprzyjaźniony architekt.

To prostokątna kolumna wysoka na 1,8 metra. Widnieje na niej prosty napis w języku polskim i niemieckim: „Ofiarom niemieckiej okupacji w Polsce w latach 1939-1945". Z tym projektem udali się do najstarszego zakładu kamieniarskiego w Berlinie. Tam sprawnie wyceniono pracę nad 7 tys. euro (ok. 30 tys. zł). Na materiał wybrano dolnośląski marmur.

Grupa nie musiała długo szukać pieniędzy. Sfinansowanie pomnika zadeklarował Komitet Wschodni Gospodarki Niemieckiej, duża organizacja lobbingowa (przed inwazją Rosji na Ukrainę mocno wspierali gazociąg Nord Stream 2 – być może teraz szukają okazji na poprawienie swojej reputacji w oczach partnerów Niemiec z Europy Środkowej i Wschodniej).

Pomnik miał stanąć w parku w centrum Berlina: tam, gdzie kiedyś znajdowała się Opera Krolla. To w niej Adolf Hitler poinformował 1 września o trwającym od kilku już godzin ataku na Polskę.

MATERIAŁY PRASOWE

Wizualizacja pomnika zaproponowana przez inicjatorów jego budowy

– Zaplanowaliśmy to jako coś prowizorycznego, aż do czasu rozpisania konkursu architektonicznego na prawdziwy pomnik – zapewnia Florian Mausbach w rozmowie.

Sondowanie zgody

Że takie miejsce w Berlinie jest potrzebne, to było widać choćby ostatniego 1 września. Tego dnia, w 85. rocznicę inwazji Niemiec na II RP, polska ambasada zorganizowała obchody na cmentarzu żołnierzy brytyjskich. Miejsca dedykowanego polskim ofiarom II wojny światowej po prostu w Berlinie nie ma. Dlatego utworzenia go domagał się już w 2013 r. Władysław Bartoszewski, ówczesny pełnomocnik rządu ds. relacji z Niemcami.

Inicjatorzy przekonują teraz w rozmowach z „Tygodnikiem", że jeszcze we wrześniu udało im się uzyskać wstępne poparcie władz miasta-landu Berlin co do niezbędnych pozwoleń. Jednak także w landowym rządzie Berlina musiano zdawać sobie sprawę z rebelianckiego charakteru pomysłu piątki seniorów. Dlatego poproszono ich o wysondowanie zgody w urzędach federalnych.

Inicjatorzy dziś uśmiechają się, że chcieli zadziałać rebeliancko, ale tak jednak „po niemiecku", w sumie – zgodnie z przepisami. Dlatego szybko wysłali pismo do Claudii Roth.

Na wiele tygodni zapadła cisza. Odpowiedź nadeszła dopiero 7 listopada, czyli dzień przed planowanym odsłonięciem pomnika. Oraz na dzień po upadku rządu Olafa Scholza.

W swoim piśmie Claudia Roth nie udziela klarownej odpowiedzi. Zwraca jedynie uwagę, że to Bundestag podejmuje decyzje w sprawie upamiętniania ofiar zbrodni narodowego socjalizmu i ma zdecydować także o przyjęciu uchwały na temat powstania Domu Polsko-Niemieckiego.

Upadł rząd, upadł Dom?

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy inicjatorzy otrzymali wymijającą odpowiedź, polski *chargé d'affaires* Jan Tombiński (tj. w zasadzie ambasador; nominacji dla niego i wielu innych dyplomatów nie chce podpisać prezydent Andrzej Duda) odebrał telefon od „strony niemieckiej".

Tombiński został poinformowany, że w Bundestagu nie będzie debaty ani decyzji w sprawie Domu Polsko-Niemieckiego. Po rozpadzie koalicji rządowej Olafa Scholza w parlamencie federalnym nie znajdzie się już większości na przepychanie żadnych rządowych projektów.

Niemiecka strona (jeszcze) rządowa zablokowała zatem spontaniczny i oddolny plan postawienia (prowizorycznego) pomnika, argumentując, że zajmuje się tym Bundestag. Jednocześnie urząd Claudii Roth musiał już wiedzieć, że Bundestag i tak się już tym nie zajmie. I że wszelkie oficjalne plany zostaną włożone do parlamentarnej „zamrażarki".

Kiedy i czy z niej wyjdą? Nie wiadomo. Przedterminowe wybory odbędą się 23 lutego, po nich nastąpi formowanie nowej koalicji, zapewne niełatwe. Później zaś, ↦

↦ gdy powstanie już nowy rząd – zapewne z kanclerzem-chadekiem Friedrichem Merzem – będzie mieć długą listę priorytetów: kondycja gospodarki, wojna Putina itd.

Spróbujemy po wyborach

O komentarz do tego rozwoju wypadków pytamy obecnego dyrektora Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (DPI) Petera Olivera Loewa. To on był w ostatnich latach jedną z głównych postaci rozwijających oficjalny projekt niemieckiego rządu, czyli koncepcję Domu.

– Taką decyzję podjął parlament. I można się jej było spodziewać. Będziemy mieli nowych posłów, nowy rząd, nowe komisje. Nie było sensu tego kontynuować – mówi Loew spokojnie i bez emocji, tak jakby informował o tym, że spóźnił się na autobus, a nie że projekt, któremu poświęcił lata pracy, trafił właśnie do proceduralnej matni.

– Na pewno będziemy współpracować z Fundacją Pomnika Pomordowanych Żydów Europy [to druga główna organizacja zajmująca się rozwojem polskiego projektu – red.], aby spróbować wznowić ten proces po wyborach – dodaje Loew. – Jednak wszystko zależeć będzie od tego, jakie będą możliwości finansowe w nadchodzących latach i co ostatecznie postanowi Bundestag.

Ten styl prowadzenia sprawy pomnika – mogący czasem sprawiać wrażenie, jakby był pozbawiony większych emocji – od dłuższego czasu krytykują pierwotni inicjatorzy, do których przecież należy także Dieter Bingen.

Był on poprzednikiem Loewa w funkcji dyrektora DPI. Co pokazuje, ile złych emocji, ambicji i personalnych zgrzytów wywołuje pomysł postawienia pomnika po stronie niemieckiej. A przecież jest on dodatkowo poddawany nieustannej ocenie, często równie krytycznej, po stronie polskiej.

Za dużo, za długo

Główny zarzut przeciwników oficjalnego projektu niemieckiego rządu, w jego obecnej formie, sprowadza się do pytania, czy da się go w ogóle zrealizować.

Od kiedy pierwotni inicjatorzy w 2017 r. zaczęli przekonywać do postawienia pomnika, kolejne i coraz bardziej zinstytucjonalizowane gremia zaczęły dodawać nowe elementy. W końcu wykrystalizowała się forma Domu Polsko-Niemieckiego: instytucji i budynku, którego główną częścią będzie wystawa dotycząca głównie czasu okupacji Polski przez Niemcy w okresie 1939-45.

Na pewnym etapie prac niemal zupełnie zamazała się pierwotna idea samego pomnika. To wówczas doszło do rozłamu i niemal otwartego konfliktu między piątką inicjatorów a organizacjami przygotowującymi projekt na zlecenie rządu Niemiec.

Dopiero zdecydowane naciski polskiej dyplomacji – jeszcze za czasów rządu Prawa i Sprawiedliwości, ale i po zeszłorocznej zmianie rządu w Warszawie – doprowadziły do tego, że po stronie niemieckiej na powrót zaczęto podkreślać znaczenie wzniesienia monumentu.

W czerwcu strona niemiecka przygotowała projekt realizacji całego zadania. To nad tym dokumentem miał w grudniu debatować Bundestag, a głosowanie było wstępnie zaplanowane na marzec 2025 r.

Przedstawiono w nim trzy filary przyszłej instytucji: pomnik, wystawę i elementy edukacyjne jako wspierające całość. W planach uwzględnia się budowę budynku za ok. 72 mln euro i roczne koszty działalności instytucji na poziomie 5,8 mln euro.

Gdzie dokładnie w Berlinie taki budynek mógłby powstać? Tego jak dotąd nie udało się ustalić. Nieoficjalnie od dłuższego czasu wskazuje się na teren, gdzie wcześniej stała wspomniana już Opera Krolla. To niedaleko od Urzędu Kanclerskiego.

Kto się czym zajmuje

W międzyczasie wśród polskich ekspertów zaczęto sobie zadawać pytanie, na ile cała ta instytucjonalna otoczka pomnika jest nam potrzebna? W projekcie realizacji czytamy, że Dom Polsko-Niemiecki będzie też miejscem koncertów, spotkań naukowców czy prezentacji książek polskich autorów. Tymczasem w Berlinie już teraz działają polskie instytucje, które się tym od dawna zajmują.

I tak, polską perspektywę historyczną od kilku lat z dużymi sukcesami promuje berliński oddział Instytutu Pileckiego. Z kolei od strony kulturalnej temat stosunków polsko-niemieckich, także tych historycznych, porusza Instytut Polski, który po zmianach personalnych obudził się z programowego snu, w jaki zapadł za rządów PiS. Działa też Centrum Badań Historycznych PAN w dzielnicy Pankow. To wszystko finansowane jest z polskiego budżetu.

Z drugiej strony: trudno zlekceważyć możliwość powstania dużej instytucji i wystawy poświęconej Polsce w centrum

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie”: taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Ale nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy. Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjaciołom – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika” – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej (np. opaski hamujące krwawienie). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.
Numery kont:
– w złotówkach:
20 1090 2590 0000 0001 5044 0623
– w euro:
64 1090 2590 0000 0001 5044 0898
Odbiorca:
Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka
(darowiznę można odliczyć od podatku).
https://inicjatywasasiedzka.org
Dziękujemy! „Tygodnik Powszechny” i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Niemiecka minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock (pierwsza z lewej), pełnomocniczka rządu RFN ds. kultury i mediów Claudia Roth (w środku) i kierownik polskiej ambasady w Berlinie Jan Tombiński (pierwszy z prawej) podczas odsłonięcia tablicy informacyjnej na temat Opery Krolla. Berlin, 1 września 2024 r.

niemieckiej stolicy, miasta odwiedzanego przez miliony turystów.

Jedno nie wyklucza drugiego

O polskie stanowisko pytamy Krzysztofa Ruchniewicza, rządowego pełnomocnika ds. polsko-niemieckich, który niedawno został też powołany na dyrektora Instytutu Pileckiego.

Ruchniewicz przyznaje, że w ostatnich miesiącach miało miejsce wiele spotkań strony polskiej z politykami niemieckimi z różnych opcji politycznych. Celem było przekonanie Niemców do pomnika poświęconego ofiarom III Rzeszy w centrum Berlina.

– Strona polska uznaje, że jest on priorytetowy – mówi Ruchniewicz. – Teraz rzeczą ważną będzie o tym projekcie przypominać i w chwili, kiedy dojdzie do stworzenia nowego rządu, wrócić do tej sprawy.

Jednocześnie Ruchniewicz wyraża poparcie dla spontanicznego pomysłu wzniesienia prowizorycznego pomnika: – To dobrze, że mamy takie przykłady, że ta problematyka polsko-niemiecka, zwłaszcza kwestia upamiętnienia polskich ofiar III Rzeszy, nie jest niemieckiemu społeczeństwu obojętna.

– Traktuję też ten pomysł jako niemiecki symboliczny wyrzut sumienia. Osoby, które będą przechodzić obok, będą mogły się zastanowić: czy tylko na tyle nas stać, żeby w taki sposób upamiętnić ten ogrom zbrodni i zniszczeń, których dokonano w imię Niemiec podczas II wojny światowej? Być może stanie się to bardzo dobrym punktem wyjścia do dalszych dyskusji i przypominania o konieczności ufundowania właściwego pomnika – zauważa pełnomocnik polskiego rządu.

Plany B i C

Inaczej Peter Oliver Loew: on do pomysłu „alternatywnego" pomnika odnosi się sceptycznie. Uważa, że taka inicjatywa prawdopodobnie odniosłaby sukces w roku 2017 lub 2018, gdy inicjatorzy po raz pierwszy upublicznili swój pomysł.

– Ale teraz oczekiwania zarówno w Polsce, jak i w Niemczech są znacznie większe. Chodzi o to, aby Niemcy jako państwo stworzyły miejsce pamięci o godnym i reprezentatywnym charakterze. W obliczu tych oczekiwań obawiam się, że prywatna inicjatywa o bardzo okrojonej formie artystycznej nie przyniesie takiego efektu, jaki mógłby przynieść prawdziwy pomnik – uważa Loew.

– Oczywiście, trzeba mieć w szufladzie plan B i plan C. Wtedy zawsze można sprawdzić, czy inicjatywa społeczeństwa obywatelskiego, wspierana przez sponsorów z sektora publicznego, państwowego, ale też prywatnego, może być alternatywnym scenariuszem. Ale jeszcze nie dotarliśmy do tego punktu – uważa dyrektor DPI.

– Ten Dom Polsko-Niemiecki to niezwykle trudny, ale i ekscytujący projekt. I jeśli uda nam się go zrealizować, stworzymy coś wspaniałego i nowego, co może naprawdę doprowadzić do poprawy naszych relacji. Nadal uważam, że jego utworzenie powinno pozostać kluczowym projektem niemieckiego rządu – dodaje Loew i gdy o tym mówi, czuć jednak emocje. Widać, że mu na tym zależy.

I to jest najtrudniejsze w osądzie całego zamieszania wokół pomnika i instytucji Domu Polsko-Niemieckiego: że z pewnością wszyscy mają wiele dobrych chęci.

Decyzja w rękach chadecji

Lutowe wybory do Bundestagu wygra bez wątpienia chadecja (CDU/CSU). Niezależnie, jaką koalicję utworzy, to przede wszystkim chadecy będą decydować, co zrobić z planami upamiętnienia polskich ofiar.

– Jestem zdecydowanym zwolennikiem oddzielenia pomnika od całości projektu, zgodnie z oczekiwaniami w Polsce – mówi nam Knut Abraham. Polityk CDU, zanim w 2021 r. został posłem do Bundestagu, pracował jako dyplomata w ambasadzie Niemiec w Warszawie.

– Znam oczekiwania moich polskich partnerów i przyjaciół. Są one bardziej skoncentrowane na kwestiach pamięci o ofiarach. A muzeum i aspekt edukacyjny są dobre i słuszne, nie stoją w opozycji do pomnika, ale też nie powinny go blokować – uważa Abraham.

Również wobec idei „prowizorycznego" pomnika Abraham wyraża się pozytywnie. – Trzeba to tylko starannie zaplanować – zastrzega. – Żadna prywatna inicjatywa nie zastąpi państwowej woli budowy pomnika. Nawet w przypadku tymczasowego projektu państwo musi się zaangażować. To musi być poprzedzone decyzją Bundestagu.

Ciąg dalszy nastąpi

Niemcy to nie jest dobry kraj dla rebeliantów. Wszystko tu musi być wielokrotnie omówione, opisane i przyklepane przez wszelkie niezbędne gremia. Może być więc i tak, że w nowym Bundestagu cały proces zacznie się od nowa.

Jednak byłoby lepiej, aby po lutowych wyborach niemiecki aparat państwowy w końcu stanął na wysokości zadania w sprawie pomnika polskich ofiar.

Inaczej, kto wie, może pewnej nocy ktoś dostrzeże sylwetki pięciu zamaskowanych seniorów, stawiających wysoką na prawie dwa metry kolumnę, wykonaną z dolnośląskiego marmuru na terenie byłej Opery Krolla. I ratujących w ten sposób honor własnego kraju. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

ELIZA

Kącka:
Pani też tu leży?

Pociąg do Katowic. Skład Českých drah. Granatowe uchwyty między oknami, klamki, przyciski mają w sobie starą solidność pancernej puszki do konserw, co przetrzyma i niejedną wojnę. W moim przedziale syn z matką, oboje wiekowi; matka o kulach, pod dziewięćdziesiątkę. On: „Mama, nie przejmuj się, odbiorą nas z dworca". „Czy ona musi wychodzić za Czecha? Jeszcze w listopadzie?". „Lepszy byłby we wrześniu?". „Eeee. Nikt nie jest lepszy w listopadzie. Polak też nie, a Czech to już w ogóle". „Marudzisz. Pragę zobaczysz". „Pragę to ja chciałam zobaczyć, jak żył Tadzio". „Tacie się nie udało, zobaczysz za was". Starsza na poirytowaniu: „Głupie gadanie. Chciałam z nim, nie za niego. Teraz to nie ma znaczenia". „Ma". „Nie ma! Miała być nasza radość, a nie mój ból". „Mamaaa". „Jego już Praga nie obchodzi. Sentymentalne ględy". Na to wkracza pani pod sześćdziesiątkę, a ja wychodzę zadzwonić.

I nadal pociąg do Katowic, wracam do przedziału. Starsi drzemią, pani pod sześćdziesiątkę nadmuchuje poduszkę ortopedyczną. Moje książki na podłodze, trzyma nogi na nich i raźno pompuje. Zamieram. Trudno pytać, czy same spadły. Schylam się, wyciągam, nie pomaga mi, przeciwnie, dociska obcasem. Pociąg przyspieszył, zaniosło mnie na kolana starszego. „Co też pani wyrabia!". „Ratuję" – mówię i wracam do wyciągania. No i mam w końcu, odbiłam, wskakuję na siedzenie. Przecieram rękawem smugi na okładce. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Ortopedyczna nie wyrabia: „Panoszenie się". Ja: „??". „Miejsca mało?! Panoszenie się". Ja: „Mogła pani przesunąć książki". „Mogłam wyrzucić przez okno!". Starszy: „Ci młodzi wszystko pod siebie, pod siebie". Ortopedyczna: „Gada przez telefon i człowieka prowokuje". Starszy: „Ototo, ale po co udawać?". „Żeby innych upokorzyć. Niech zbiera z podłogi!". Wyszłam.

Zmieniłam przedział. Tam trójka trzydziestolatków. Dosiadam się do kobiety, po drugiej stronie dwóch gości. „Sama jesteś sobie winna, nie trzeba się było wystawiać". „Wystawiać?! Andrzej, jak »wystawiać«!". „Brać tego referatu". „Też wziąłeś". „Ale mnie nikt nie rozwalił". „Ciekawe, dlaczego". „Słuchaj, Jula, ty myślisz, że to będzie dobrze postrzegane, jak będziesz równać z facetami, nie będzie". „Ja mam wiedzę". Mężczyźni śmieją się. Ona: „Ale Zofia też miała referat. I nikt się nie czepiał". „Jak ci to powiedzieć, Zofia jest jak facet". „Czyli?". Drugi z przedziału: „Hm, Zofia to szefowa, umie zgnoić". Ona uparcie: „Ale ja wiem, co mówię". Do mnie: „Pani mnie poprze, ja mam wiedzę". Ja: „Obawiam się, że to przemawia przeciwko pani". Andrzej: „Ototo. Mniej wiedzy". Drugi: „Więcej władzy".

Jedna z warszawskich podstawówek, korytarz, czekam na rozmowę z nauczycielką w sprawie krótkich warsztatów dla ósmoklasistów. Obok mnie ojciec waruje pod gabinetem dyrektorki. „A wie pani, ja dostałem w pracy ofertę szkolenia SI dla rodziców". „O, że Sztuczna Inteligencja ma państwa uczyć?". „A tak, empatii zwłaszcza. Ja pani zostawię ten prospekt, warte lektury". Prospekt długi, szczegóły pominę, spisuję wyimek z oryginalną interpunkcją: „Witaj. Przedstawię się: to ja, Twoja Inteligencja. Zostałam do Ciebie delegowana z ważnym zadaniem. W dobie schematów i przyspieszających ofert wszyscy, jesteśmy zagubieni. Nasze dzieci, nie wiedzą, jak reagować. Czasem wręcz nie wiedzą kim są. Jest to powód kryzysu wielu rodziców. Na pewno martwi cię to. Boisz się, że dziecko nie sprosta, kolejnym wyzwaniom. Chcesz być dumny z osiągnięć dziecka. Myślisz, jak z nim rozmawiać, by miało to efekt. Potrzebujesz mojego wsparcia. W czasie szkolenia otrzymasz sformułowania i zwroty których, użyjesz następnie w konwersacji z dzieckiem. Zależnie od potrzeby, możesz je uspokajać, wspierać lub stymulować ambicję. Dodatkowo otrzymasz również, wskazania jak relaksować się przed i po konwersacji. Wszystko testowane na naszych pociechach. Nie zapomnij być dumny z dziecka. Każde są indywidualnością".

Cmentarz Północny, popołudnie, grób ciotki. Siadamy z Rudą na ławce. Czeszę pamięć, odpoczywam. Alejki wchodzą w fazę cienia, robi się chochołowato. W sąsiedniej frustracje: „Wujek wolał róże". „To nie wujka impreza". „Ale jego grób". „I dobrze". Z małego letargu wytrąca mnie rechot Rudej. Miewa takie sesje. „Co tam?". „Nie pytaj się mnie". Tuż obok krząta się osiemdziesięciolatka. Obmywa grób po raz trzeci, a ten jak szafa trzydrzwiowa, na cały szwadron. Ruda idzie w większy rechot. „Nie śmiej się na cmentarzu!" – sąsiadka nie wyrobiła. Do mnie: „Niech pani uspokoi tę dziewuchę!". Do Rudej: „Zmarli się na ciebie patrzą!". Ruda wyhamowuje z zaciekawienia: „Zmarli? Gdzie?!". Starsza z sykiem wyższości: „Nie wiesz!". Do mnie: „Tak to jest, jak się dziecko bez wiary chowa". „Tu?" – pyta Ruda, dziobiąc palcem w szereg fotografii na grobowcu Starszej. „Zabierz palucha!". „Pani ich tu trzyma". Starsza z furią: „Jak: trzyma?! Wszyscy są u Boga!". Ruda: „Ale gapią się". „Też coś!". „Gapią się, bo pani ich tu trzyma". „Co za brednie!". Ruda: „Nie trzeba zmuszać". „Nie pouczaj mnie!". „Oni nie muszą na nas patrzeć". „Co ty wiesz! Ja życie przeżyłam!". Ruda: „To pani też tu leży?". Musiałyśmy spadać. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

TYGODNIK POWSZECHNY

MAŁOPOLSKIE CENTRUM NAUKI COGITEON

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Tygodnik Powszechny i Małopolskie Centrum Nauki Cogiteon zapraszają na spotkanie:

SZTUCZNA INTELIGENCJA

- **Jak działa?**
- **Czym grozi?**
- **Do daje?**
- **Czy zbawia?**

W dyskusji o jednym z największych wyzwań technologicznych naszych czasów wezmą udział:

- **Jarosław Królewski**,
Synerise, prezes TS Wisła Kraków SA
- **Dr Katarzyna Nicholson,**
Sano–Centrum Medycyny Obliczeniowej
- **Łukasz Ostruszka,**
duchowny ewangelicki,
publicysta „Newsweek Polska”

Rozmowę poprowadzi **Wojciech Brzeziński**, („Tygodnik Powszechny”).

22 listopada 2024, piątek, godz. 18:00
Cogiteon ul. Stefana Steca 1, Kraków

Wstęp wolny, ilość miejsc **ograniczona**
Bezpłatne wejściówki na **bilety.cogiteon.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ĆWIERKAM Z MIASTA

Miejskie ptaki ewoluują na naszych oczach. Stają się mniejsze niż wiejscy krewniacy, zmieniają dietę, mają mniejsze oczy i uczą się złożonych zachowań.

MARIUSZ GOGÓL

Miasta stanowią nie więcej niż 3 proc. powierzchni Ziemi, ale mieszka w nich ponad połowa jej mieszkańców. Od 1940 r. liczba ludzi żyjących w miastach powiększyła się prawie sześciokrotnie i ten trend nie wydaje się hamować. Tak intensywny przepływ ludności istotnie zmienia krajobraz, stanowiąc wyzwanie – lub szansę – dla innych zwierząt.

Z okolic wokół aglomeracji migrują i osiedlają się w niej również ptaki. Bloki, mury czy parkowe drzewa stają się ich kryjówkami i miejscami do zakładania gniazd. Myla Aronson i jej współpracownicy oszacowali w „Proceedings of the Royal Society B", że ok. 20 proc. gatunków ptaków na świecie występuje w miastach. Wiele gatunków egzystuje oczywiście z daleka od miast i nie ma możliwości się w nich osiedlić, jednak nie wszystkie ptaki, które mają taką szansę, są zdolne opuścić wcześniej zajmowane, niezurbanizowane tereny.

Co sprawia, że ptaki decydują się na zmianę stylu życia? Naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego, przeprowadzając badania na jerzykach, doszli do wniosku, że te osobniki, które stały się pionierami kolejnych miejskich populacji, miały pewne szczególne cechy. Były one odważniejsze, miały wyższy poziom testosteronu i były bardziej odporne na stres.

Ptaki mieszkające w miastach muszą mierzyć się z wieloma problemami. Są nimi np. jeżdżące samochody, zanieczyszczenie światłem, dostępność schronienia i pokarmu. By mieć większe szanse na przetrwanie w mieście, muszą zmieniać swój fenotyp, czyli cechy takie jak budowa ciała czy zachowanie. Ponieważ miejskie wyzwania i szanse są dla wielu gatunków podobne, można u różnych grup ptaków wskazać podobne trendy ewolucyjne. W literaturze naukowej określa się je jako „syndrom cech miejskich".

Miejskie cechy

W 2023 r. ponad 50 uczonych z wielu krajów przeprowadziło badanie opisane w „Nature Comumunications". Zawarli w nim analizę ponad 5000 gatunków ptaków z 379 miast w różnych zakątkach świata. Dane tak imponującej liczby osobników zgromadzono w programie eBird Cornell Lab of Ornithology, który jest jednym z największych projektów naukowych związanych z bioróżnorodnością. Wywnioskowany z przeróżnych parametrów obraz miejskich ptaków różnił się od charakterystycznego dla ich żyjących poza miastami krewniaków. Przykładowo, osobniki zadomowione w aglomeracjach są z reguły mniejsze – ma to związek z tym, że nie muszą inwestować zasobów w większe rozmiary ciała, które pozwalałyby im pokonywać większy dystans w poszukiwaniu jedzenia. W mieście łatwiej się na nie natknąć, poza tym dłuższe podróże to większe ryzyko zderzenia z budynkiem czy samochodem. Wpływ na mniejszy rozmiar ciała może mieć też fakt, że miasta są „wyspami ciepła". Małe zwierzęta łatwiej utrzymują optymalną dla siebie temperaturę.

Badacze z Smithsonian Migratory Bird Center dodali do wizerunku statystycznego miejskiego ptaka kolejną cechę. Zauważono ją u czerwono-żółtego ptaka śpiewającego zwanego kardynałem północnym i u strzyżyka karolińskiego, o brązowo-jasnym upierzeniu z delikatnymi prążkami na skrzydle i ogonach. Te miejskie ptaki miały o około 5 proc. mniejsze oczy niż ptaki żyjące poza obszarem miejskim. Można przypuszczać, że mniejsze oczy są ochroną przed zanieczyszczeniem światłem.

Nauka poszła w las

Ptaki żyjące w miastach muszą zmieniać swoje nawyki żywieniowe. W ograniczonej przestrzeni, gdzie zasoby pożywienia mogą być skąpe, ptaki mogą stosować różne strategie, żeby je zdobyć. Przykładowo sikory podeszły do organizowania posiłków z dużą kreatywnością. Już w latach 40 XX w. na Wyspach Brytyjskich ptaki tego gatunku nauczyły się przebijać przez kapsle butelek z mlekiem, które mleczarze pozostawiali przed drzwiami domów. Często kojarzyły także obecność dostawcy z możliwością rozpoczęcia uczty, kiedy tylko ten oddalił się od pozostawionego towaru.

Nad zachowaniem sikor pochylili się naukowcy z Uniwersytetu Oksfordzkiego. Zbadali, czy ptaki mogą wzajemnie uczyć się od siebie tej nowej umiejętności zdobywania jedzenia. W tym celu złapali dwie pary ptaków z pięciu różnych populacji. Nauczyli je, w jaki sposób otwierać pudełko, w którym schowany jest pokarm. Wymagało to od ptaka umiejętności przesuwania niebieskich lub czerwonych drzwiczek. Po wytrenowaniu ptaki zostały wypuszczone na wolność w towarzystwie innych, nieuczonych osobników z odrębnych populacji. Następnie w lasach umieszczono pudełka z pożywieniem, które później monitorowano. Po kilkudziesięciu dniach okazało się, że w populacjach, w których nie było wytrenowanego w otwieraniu drzwi ptaka, 9-53 proc. osobników radziło sobie z dostaniem się do pudełka. Natomiast w grupach, w których żyły ptaki nauczone sztuczki, liczba ptaków radzących sobie z wyzwaniem sięgała 68-83 proc. To sugeruje, że ptaki uczyły się od innych osobników – a więc pojawiły się u nich procesy kulturowe. Trudno się więc dziwić, że po jakimś czasie podpijanie mleka obserwowano powszechnie u wszystkich sikor na Wyspach.

Fast food

Nowe wybory ptaków, mimo że na pierwszy rzut oka mogą wydawać się całkiem zdrową alternatywą, niekoniecznie takie są. Zdarza się, że ze względu na swoje składniki odżywcze przypominają raczej *fast food*. Taką nowość w diecie można zauważyć u wspomnianych wcześniej kardynałów północnych. Ptaki do swojego menu wprowadziły czerwone owoce wiciokrzewu, które są dobrym źródłem karotenoidów. Te związki chemiczne nadają piórom intensywne barwy, które są ważnym wskaźnikiem atrakcyjności i kondycji dla samic. Niestety piękne ubarwienie jest mylące. W odróżnieniu od pokarmów ze starej diety, owoce tej rośliny są ubogie w składniki odżywcze – brakuje w nich białek i tłuszczy. Znacznie lepszymi pokarmami dla kondycji ptaka są zwykłe ziarna, nie zawierają one jednak odpowiednich dla piór barwników. W kontekście szukania partnerów rozrodu może to być mylące: choć barwne upierzenie miałoby świadczyć o witalności osobnika, w przypadku kardynałów kolor uzyskiwany jest „na skróty", za cenę gorszej diety.

Niezbyt wykwintną dietą mogą pochwalić się także australijskie ibisy. To biało upierzone ptaki z czarnym ogonem, czarnymi nogami oraz dziobem. Ich krewni byli kiedyś w starożytnym Egipcie uosobieniem boga Thota. Dziś zyskały przydomek „śmieciowych kurczaków". Ibisy naturalnie żywią się bezkręgowcami, ale ze względu na zmniejszenie ↦

Pustułka (falco tinnunculus) gniazdująca na kościelnej wieży. Marzec 2015 r.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

↦ ilości ich naturalnego pożywienia zaczęły przeglądać kosze, wysypiska, racząc się, *nomen omen*, śmieciową dietą. W nowych badaniach opisanych w „Behavioral Ecology" można przeczytać, że ibisy preferują wysokowęglowodanowe pożywienie ponad to naturalne dla nich, które jest bogate w tłuszcze i białko. Czy takie pożywienie jest dla ibisów szkodliwe? Nie jest to pewne. Obserwując ich populację, można dojść do wniosku, że miejskie życie im służy.

Pieśń pośpieszna

Dźwięki silników i trąbienie samochodów to odgłosy tła, które w wielu miastach nie cichną nawet w nocy. Problem zanieczyszczenia hałasem nie dotyczy tylko nas, dotyka również ptaki, które komunikują się głównie przy pomocy dźwięków. Młode piskiem domagają się jedzenia. Obecność drapieżników sprawia, że ptaki wydają alarmujące odgłosy. Dostępność pożywienia często ogłaszana jest konkretnymi dźwiękami, których celem jest nawoływanie współtowarzyszy – być może po to, by zmniejszyć prawdopodobieństwo padnięcia ofiarą drapieżnika.

Najbardziej znane akustyczne sygnały to pieśni lęgowe, którymi śpiewacy chcą zwrócić uwagę samic. Naukowcy dostrzegli zmiany w sposobie ich wykonywania u ptaków miejskich. Analiza 36 opublikowanych prac naukowych na ten temat, której dokonali naukowcy z University of Quebec w Trois-Rivières, wykazała, że ptaki śpiewały przede wszystkim wyższym głosem: podwyższały częstotliwość śpiewu średnio o 400 herców (Hz). To spora różnica, biorąc pod uwagę, że średnia „typowa" częstotliwość ptasiego śpiewu wynosiła 2800 Hz (dla porównania: najwyższy dźwięk, jaki tradycyjnie ma umieć zaśpiewać sopranistka – formalnie jest to tzw. C_6 – ma częstotliwość 1046 Hz).

Kosy śpiewały wcześniejszym rankiem, gdy hałas był najmniejszy. Utwór wykonywany był w pośpiechu, z mniejszymi pauzami między nutami. U strzyżyka śpiewnego, który dość powszechnie występuje w obu Amerykach, zauważono ponadto, że radzi sobie z hałasem, dostosowując repertuar do natężenia hałasu. W dni cichsze zestaw utworów był większy niż podczas wzmożonego ruchu.

Kosy w miastach śpiewają wcześnie rano, gdy ruch samochodowy jest najmniejszy. Pieśni wykonywane są w pośpiechu, z mniejszymi pauzami między nutami.

Z kolei cytrynowożółte kulczyki wybrały dłuższe śpiewy, gdy w mieście jest głośniej. W przypadku wróbli z San Francisco oprócz zmiany wysokości dźwięku zauważono też, że wykonują one szybsze ozdobniki (tryle) niż ich wiejskie odpowiedniki. Dodajmy, że ci sami badacze badali też nawoływania żab miejskich i pozamiejskich. Płazy w miastach nie podnosiły częstotliwości, jednak nawoływały się głośniej i częściej.

Te niedostrzegalne dla laika zmiany są bardzo problematyczne dla ptaków. Zajmując się przez dłuższy czas śpiewaniem, mają one mniej czasu na inne aktywności, jak żerowanie czy poszukiwanie partnerów do rozrodu. Wiadomo, że męczy je nie tylko długość utworów, ale także wysokość wydawanego dźwięku. Tak jak u ludzi, tak i u ptaków modulowanie głosu po czasie staje się bardzo uciążliwe. Zwiększony hałas jest także dużym problemem dla piskląt tych gatunków ptaków, które uczą się swoich pieśni poprzez słuchanie. Hałas może sprawić, że nauczą się zniekształconej melodii. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że jeśli taki ptak wróci na wiejskie tereny, nie będzie mógł się porozumieć z innymi osobnikami swojego gatunku.

Inżynieria miejskich gniazd

Gniazda ptaków mają różnorakie kształty. Mogą to być wiszące struktury, jakie tworzy kacykowiec aztecki zamieszkujący m.in. centralną Amerykę, a czasem mają formę luźnej kuli, jak schronienia wróbla. Gniazda kojarzą się z naturalnymi materiałami, które używane są do ich budowy, jak trawa, pióra czy sierść. Jednak gniazdem może być także zwykła dziura w piasku, kopuła z błota, w miastach zaś struktura stworzona z wielu sztucznych, czasem i mogących utrudnić życie ptakom przedmiotów. Do takich można zaliczyć m.in. kolce, które potencjalnie mają odstraszać ptaki przed siadaniem i zakładaniem gniazd. Obserwacje wskazują, że faktycznie te metalowe struktury nie tylko odstraszają ptaki, ale też uszkadzają ich ciała. Jednak niektóre gatunki nauczyły się je wykorzystywać wbrew ich przeznaczeniu. Postawione na sztorc kolce pomagają utrzymać gniazda na różnych problematycznych powierzchniach.

Jednym z bardziej spektakularnych przykładów ich wykorzystania jest historia budowy gniazda przez pewnego gołębia. W 2016 r. na jednym z serwisów społecznościowych opublikowano zdjęcie ptaka, który utworzył skromne gniazdo ze sterty gałązek. Umieścił je na ekranie LCD tablicy informującej podróżnych o odjazdach metra na stacji Parkdale w Australii. W ciągu kilku dni usunięto problematyczną konstrukcję i wyczyszczono miejsce. Zainstalowano także kolce mające powstrzymać przyszłych budowniczych. Mimo systematycznej walki pracowników transportu publicznego, dokładających kolejnych przeszkód, gołąb wracał. Budował coraz bardziej okazałe gniazdo na coraz to rosnącej liczbie kolców. Przyciągnął także partnerkę, a ptasi związek zaowocował pisklętami.

Wzmianki o specyficznych ptasich budowlach w miastach można było usłyszeć już w 1933 r. Niecodzienna konstrukcja została stworzona na górnej części wieży służącej do przesyłu energii w miejscowości Colenso w Afryce Południowej. Wrona srokata budująca na niej gniazdo wykorzystała jako jego podstawę fragmenty drutu kolczastego. Kosz z metalowych elementów stanowił rusztowanie, między które ptak utykał gałęzie i suszoną trawę. Konstrukcja była nadzwyczaj stabilna i przysporzyła niemałego problemu podczas jej usuwania.

Miejskie ptaki są zatem przykładem tego, że zwierzęta potrafią się dostosowywać do nowych warunków i wyzwań. Warto jednak, by władze miejskie pamiętały, że mogą im w tym pomóc – zupełnie mimochodem. Stworzenie większej liczby terenów zielonych, połączenie siedlisk ptaków czy zmniejszenie miejskich wysp ciepła poprzez zasadzenie roślin to zmiany, które posłużą nie tylko tym skrzydlatym mieszczanom, ale także nam.

© MARIUSZ GOGÓL

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

GŁĘBIA SZAROŚCI

JAN HOLOUBEK, REŻYSER:

Zawsze bliżej było mi do postawy ojca, który skupiał się na przyszłości. Ale teraz, patrząc na tematykę moich filmów i seriali, myślę, że wdałem się jednak w dziadka zapatrzonego w przeszłość.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Akcja kilku Pana dzieł jest osadzona w latach poprzedzających i następujących po 1989 r. To sentyment czy ciekawość?

JAN HOLOUBEK: To był czas, kiedy zacząłem świadomie rejestrować rzeczywistość, więc dokładnie ją pamiętam. Także radosną atmosferę. W naszej rodzinie Okrągły Stół, a potem czerwcowe wybory przyniosły masę nadziei. Coś, co wydawało się jeszcze dwa lata wcześniej niemożliwe, następowało niezwykle gwałtownie. A równocześnie to okres niepewności, bo nie było jasne, jak się zachowa reżim. I co zrobią Ruscy. Przecież Związek Radziecki wtedy jeszcze istniał, a w Polsce stacjonowała Armia Czerwona. Czy to wszystko nie skończy się stanem wojennym, podobnie jak osiem lat wcześniej karnawał Solidarności?

Skończyło się wielkimi kompromisami politycznymi.

Co do przełomu ’89 wszyscy byli zgodni, że to wielki moment, niemniej na linii ojciec-dziadek tlił się konflikt. Ojciec mojej mamy, Andrzej Zawadzki, był o dwa lata starszy od mojego taty. Obaj mieli doświadczenia okupacyjne – tata po kampanii wrześniowej trafił do oflagu, dziadek z kolei brał czynny udział w Kedywie, potem w powstaniu warszawskim. Mieli różne punkty widzenia na historię. Ojciec twierdził, że powstanie było fatalną pomyłką dowództwa i podziemnych władz II RP, a dla dziadka, mimo tragicznych konsekwencji, miało ono głęboki sens.

W kolejnych latach dziadek był rozczarowany tym, co się dzieje w Polsce, skręcił więc mocno w prawo, w stronę ugrupowania Jana Olszewskiego. Ojciec związany był z obozem Unii Wolności. Zawsze bliżej było mi do postawy ojca, który nie oglądał się do tyłu, tylko skupiał się na przyszłości. Ale teraz, zważywszy na tematykę moich filmów i seriali, można uznać, że ostatecznie wdałem się w dziadka zapatrzonego w przeszłość.

Zatonięcie promu „Jan Heweliusz”, o którym kręci Pan teraz serial, jest interesujące ze względu na niejednoznaczność polskich lat 90.?

A także daje możliwość pokazania ich w inny sposób, niż zrobiłem to w drugim i trzecim sezonie „Rojsta” czy w „Wielkiej Wodzie”. „Heweliusz” zatonął w styczniu 1993 r. Jedną nogą byliśmy wtedy jeszcze w PRL-u. Było biednie i bylejako. Dopiero teraz łapię się na tym, że działo się to przecież tak niedawno.

Jest kontrast?

Wykonaliśmy niebywały skok cywilizacyjny. Dla mnie był to czas energetyczny, ale – z drugiej strony – dobrze pamiętam strach. W biały dzień na ulicy piętnastolatek, jakim byłem wówczas, mógł dostać w ryja i wrócić do domu bez butów. Rzeczywistość była brutalna: upadały państwowe przedsiębiorstwa, fabryki, koncerny, PGR-y, a ludzie lądowali na bruku pozbawiani środków do życia.

Polski nie było stać zarówno na nowy prom, jak i na poniesienie kosztów jego katastrofy?

Przed katastrofą „Heweliusz” ulegał licznym awariom: przechyłom, pożarowi, zderzeniom z innymi jednostkami. Od roku 1977, kiedy był zwodowany, przemierzył swoją trasę w jedną i drugą stronę około 5500 razy. Dzień w dzień

Jan Holoubek na planie serialu „Heweliusz". Świnoujście, 5 stycznia 2024 r.

ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

był na morzu. Właściwie poza okresowymi remontami tego rodzaju prom jest non stop w ruchu: ładuje, wypływa z portu, wpływa do portu, rozładowuje, kilka godzin przerwy, powrót, co dwa tygodnie zmiana załogi. Nie można wyłączyć maszyn, bo jeśli smary i oleje się zastaną, to ponowne uruchomienie całej tej machiny grozi popsuciem. Dlatego serwis robi się rzadko i tylko wtedy statek cichnie. Tego rodzaju jednostki pływają po 40 lat bez przerwy. Potem sprzedaje się je do innego kraju, gdzie pływają przez kolejne dekady, aż się rozlecą.

„Heweliusz" rozleciał się na morzu, zginęło 55 osób.

JAN HOLOUBEK
(ur. 1978) jest reżyserem i operatorem. Jego fabuła „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" nagrodzona została m.in. za debiut reżyserski na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Wyreżyserował serial „Rojst", a także „Wielką wodę" nagrodzoną Orłem w kategorii najlepszy filmowy serial fabularny. Ostatni jego film „Doppelgänger. Sobowtór" otrzymał pięć nagród indywidualnych w Gdyni. Teraz pracuje nad serialem „Heweliusz" dla Netfliksa (premiera w 2025 r.).

Kiedy „Heweliusz" wypływał z portu, niewiele wskazywało na to, że rozpęta się huragan o takiej skali. Wszystkie inne promy były wtedy na morzu, na jednym, nadal pływającym, kręciliśmy zdjęcia do serialu. A to, co się się wydarzyło na Bałtyku 14 stycznia 1993 r., wykroczyło poza skalę typowych dla Bałtyku zimowych sztormów. Akcja ratunkowa w tych warunkach była niemalże nie do przeprowadzenia. Bo jak to zrobić, jeśli wiatr wieje z prędkością 180 km na godzinę, wysokość fal sięga pięciu metrów, woda ma dwa stopnie, a widoczność ogranicza się do dwóch metrów?

Na pewno w akcji popełnione zostały błędy i nasz serial również o tym ↦

↦ opowiada, lecz żywioł, w którym to się odbywało, wykroczył poza ludzkie możliwości. Jeszcze nie powstały statki, które są niezatapialne i nie istnieją wały wytrzymałe na napór każdej masy wody.

I jak taki żywioł pokazać na ekranie?

Zdjęcia kręciliśmy w hali należącej do Polsatu – 2400 metrów kwadratowych i 18 metrów wysokości; tam zbudowaliśmy największe dekoracje. A także w Lites Film Studios w Brukseli. To hala przeznaczona do kręcenia ujęć wodnych i podwodnych. Basen 24 na 21 metrów, w najgłębszej części ma 9 metrów. Temperatura wody wynosi ponad 30 st. Celsjusza. Jest to absolutnie niezbędne zarówno dla komfortu i bezpieczeństwa aktorów, jak i kaskaderów. Nawet w temperaturze wody o kilka stopni niższej organizm ludzki ulega szybkiemu wychłodzeniu, więc zdjęcia trwają o kilka godzin krócej.

Czyli kręciliście w tropiku?

Tak, gorąc i wilgoć. Można wywoływać deszcz czy dwumetrową falę rozbujawszy, jak w misce, kilka milionów litrów wody. Są wiatraki robiące podmuchy wiatru, i suwnice, pod którymi można powiesić skorupę helikoptera. Trzeba wybudować dekoracje, które można przechylać, kręcić, zmieniać. W takim filmie widz ma poczuć grozę, niszczycielską siłę żywiołów.

Rozmawiał Pan z którymś z dziewięciu marynarzy ocalałych z katastrofy „Heweliusza"?

Spotkałem się z Bogdanem Zakrzewskim, który na „Heweliuszu" był szefem kuchni. Kiedy zobaczył kilka ujęć z przebiegu katastrofy, był mocno poruszony. Powiedział: tak było. Natomiast dla mnie niesamowite jest to, że pan Bogdan po tym, czego doświadczył, błyskawicznie, bo po pół roku, wrócił na morze... I los chciał, że właśnie wtedy rozpętał się kolejny sztorm. Co też pokazuje miłość człowieka do wody, do pływania, mającą tę samą naturę co związki himalaistów z górami.

Rozmawiałem też z żoną i córką kapitana Andrzej Ułasiewicza, który zginął w katastrofie, do ostatniej chwili wzywając pomocy. Po śmierci został osądzony jako winny tragedii. Dopiero w 2005 r. trybunał w Strasburgu orzekł, że przeprowadzone w Polsce dochodzenie było stronnicze.

Co dają takie rozmowy?

Chodzi o dwie rzeczy: by ludzie mi zaufali, wiedzieli, że filmem nie chcę im zrobić krzywdy, że jestem po ich stronie. Oraz o to, by dowiedzieć się od nich jak najwięcej szczegółów, bo to one potem tworzą filmowy świat.

I to wszystko należy opowiedzieć według określonych reguł dramaturgicznych?

Mam słabość do kina gatunkowego. Kiedy jako nastolatek zacząłem bawić się kamerą, kręciłem horrory, kryminały, komedie etc. Całe lata 90. spędziłem w kinie i przed telewizorem, oglądając na kasetach video tysiące filmów, także klasy B i C – szpiegowskich, westernów, thrillerów. Po dekadach ograniczonego dostępu do światowej kinematografii, dystrybucja w Polsce eksplodowała i nastąpił zalew wszystkiego.

A polskie kino gatunkowe? Komuś się tu chciało opowiadać ludziom historie?

Mamy znakomitą tradycję, tyle że ona została zepchnięta do narożnika przez kino moralnego niepokoju. Na własne uszy słyszałem, jak Agnieszka Holland mówi, że czuje się współwinna, bo przyłożyła do tego rękę. W drugiej połowie lat 70. zapanowała moda na kino społeczno-psychologiczne, a to, co gatunkowe, spadło w hierarchii ważności. A przecież w latach 50. i 60. powstawały u nas znakomite filmy wojenne, historyczne, komedie, sensacje: „Zezowate szczęście", „Jak rozpętałem drugą wojnę światową", „Gangsterzy i filantropi", „Prawo i pięść"... Podoba mi się to, że w ramach gatunku można przekraczać jego granice, łamać reguły, igrać z widzem, mówić mu coś ważnego.

I zaspakajać serialami potrzebę opowiadania historii?

Serial istnieje od zawsze, tylko w różnych formach: w malarskich cyklach czy w powieściach w odcinkach drukowanych na łamach XIX-wiecznych gazet. Nowością może jest to, że seriale dogoniły, a nierzadko przegoniły jakością wykonania, klasyczną kinematografię. Filmowcy, którzy dotąd uważali serial za niższą formę, przeprosili się z nim, dzisiaj robią je najlepsi i grają w nich gwiazdy kina.

To jak się osiąga tak wiarygodne formy świata z lat 80. i 90. odtworzonego w Pana „Rojście" i „Wielkiej wodzie"?

Dzięki scenografom. A także zespołowi charakteryzatorek oraz dziewczynom od kostiumów. To ich DNA zawodowe: jak na ekranie odtworzyć wiarygodnie epokę. Tu liczy się każdy szczegół: pieczątka, gąbka, kształt autobusu czy telefonu, maszyna do pisania, krój kurtki, rodzaj ondulacji itd. Detale z życia moich bohaterów, o które podpytywałem córkę i żonę kapitana Ułasiewicza, czynią to, że widz myśli: ojej, tak wtedy było. Do tego dokłada się też operator, który robi zdjęcia w taki sposób, by stworzyć iluzję epoki. Jerzy Skolimowski powiedział coś, z czym zgadzam się w stu procentach: „film to 24 kłamstwa na sekundę". A celem tych kłamstw jest, paradoksalnie, przekazanie prawdy...

Jaka jest prawda o polskim świecie lat 80.?

To była epoka stonowana, prawie wszystko było szarobure. Trudniejsze do pokazania pod względem estetycznym są lata 90., kolorystyczna kakofonia z mnóstwem badziewia. Jednocześnie sądzę, że rzeczy z tamtego czasu poprzez sam dystans będą nabierać szlachetności. Samochody z lat 90., szczególnie te japońskie, zaczynają mi się podobać w tej swojej kanciastości.

Nie daje mi spokoju Pana debiut pełnometrażowy: „Sprawa Tomasza Komendy. 25 lat niewinności". Życie dopisało tragiczny scenariusz: Tomasz Komenda jako 46-latek w lutym tego roku zmarł na raka. Byłem na pogrzebie Tomka.

Rozważa Pan nakręcenie filmu o tym, co się z nim działo przez tych sześć

RADIO 357
Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

lat po wyjściu z więzienia? Po tym, jak otrzymał od państwa prawie 13 mln zł z tytułu zadośćuczynienia i odszkodowania za niesłuszne skazanie? Jak został ojcem i próbował ułożyć sobie życie prywatne? Jak w pewnym momencie zerwał kontakty z rodziną, nie wyłączając matki, która przez lata walczyła o jego uwolnienie?

Po tym wszystkim co przeszedł, po tych latach bycia śledzonym przez media, siłą rzeczy wycofał się z życia publicznego. Trzeba zrozumieć, że wieloletnia narracja medialna wokół niego, kiedy uważano go za winnego, zmieniła się niemal z dnia na dzień o 180 stopni. Nagle stał się pozytywnym bohaterem – gwiazdą prasy plotkarskiej, pogadanek w telewizjach śniadaniowych i radiowych audycjach. Tomek zwyczajnie zasługiwał na święty spokój. I na ten spokój zasługuje także jego rodzina.

Pytał go Pan o te 18 lat spędzone więźniu?

Wiedzę na ten temat czerpałem ze świetnie udokumentowanej książki Tomasza Głuszaka „25 lat niewinności. Historia Tomasza Komendy". A z nim samym na ten temat nie rozmawiałem, wiedziałem, że nie chce do tego wracać. Doświadczył w więźniu niewyobrażalnej przemocy od osadzonych, a wcześniej było zupełnie absurdalne śledztwo, z naściąganymi dowodami. Komenda dostał obrońcę z urzędu, który nie zrobił absolutnie nic, żeby go wybronić. Wystarczyło zweryfikować absurdalną teorię prokuratury o tym, jak rzekomo Tomek dostał się do Miłoszyc w mroźną sylwestrową noc, kiedy zginęła Małgosia. W tym czasie siedział za stołem, w maleńkim mieszkaniu, w centrum Wrocławia, co potwierdziło dwanaście osób.

Początkowo oskarżono nie tylko Tomka, ale także jego brata i ojczyma.

Ale w końcu całe uderzenie śledczych poszło na samego Tomka, który był najsłabszym elementem tego łańcucha. Choć okazał się być najsilniejszym: nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i przeżył odsiadkę, która trwała trzy razy dłużej niż okupacja. Świadomie używam tego porównania, bo Komenda był traktowany jak więzień obozu – nie miał żadnych praw. Każdy dzień mógł być jego ostatnim – z tym paragrafem nie byłoby dziwne, gdyby ktoś zakatował go na śmierć.

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX X3

WIELKA WODA (2022) Hydrolożka Jaśmina Tremer (Agnieszka Żulewska) dołącza do sztabu kryzysowego, heroicznie próbując ratować Wrocław przed powodzią. Dramatyczne okoliczności sprawiają, że nieoczekiwanie odkrywa prawdę na temat swojej rodziny, widz zaś poznaje losy trzech skłóconych ze sobą pokoleń kobiet.

DOPPELGÄNGER. SOBOWTÓR (2023) Utrzymana w klimacie zimnowojennego szpiegowskiego dreszczowca opowieść o poszukiwaniu korzeni. Kiedy szpieg Hans (Jakub Gierszał) kradnie tożsamość urzędnika Jana, by przeniknąć do struktur PRL, nie wie, jak wiele będzie go kosztować przejęcie życia polskiego sobowtóra. Czy to nieuchronne przypadki determinują nasz los?

ROJST. MILLENIUM (2024) W lesie odkopany zostaje szkielet kobiety z naszyjnikiem, a podczas urodzinowego bankietu w hotelu „Centrum" dochodzi do zabójstwa. Sierżant Anna Jass będzie nie tylko rozwiązywać tę sprawę, mierzyć się z żałobą po śmierci ukochanej, ale i odkrywać prawdę na temat swojego pochodzenia. Ostatecznie to tajemnice detektywów są przecież dla widzów najciekawsze. © MOCH

No, ale czy powstanie kolejny Pana film o Komendzie?

Nie sądzę, bym wrócił do tego tematu, choć ta historia nie jest do końca opowiedziana. Być może ktoś nakręci serial, by w pełni opowiedzieć o zbrodni w Miłoszycach i o tym, co się działo w jej następstwie przez kolejne naście lat. Sprawa zabójstwa Małgorzaty Kwiatkowskiej była niczym bomba, która swoimi odłamkami poraniła nie tylko Tomka i jego rodzinę, ale dziesiątki innych ludzi wmieszanych w tę sprawę, wbrew swojej woli. To wszystko rzuciło cień na resztę ich życia.

A może powinien powstać serial o innych niewinnie skazanych w polskich więzieniach?

Remigiusz Korejwo, policjant, który doprowadził wraz z prokuratorami Robertem Tomankiewiczem i Dariuszem Sobieskim do wyjścia Tomasza na wolność, założył fundację „Dowód Niewinności" prowadzącą działalność na rzecz zapobiegania niesłusznym skazaniom i przeciwdziałania patologiom wymiaru sprawiedliwości. Tacy ludzie jak Remik są dla niesłusznie osadzonych jedyną nadzieją na odzyskanie wolności.

Samotni sprawiedliwi?

Remik nigdy nie dostał ze strony przełożonych należytego wsparcia. Nie dostał partnera do pomocy w rozwiązaniu miłoszyckiej zagadki. Nie dostał też żadnej premii za rozwiązanie sprawy Tomasza Komendy i doprowadzenie przed sąd prawdziwych sprawców... Nawet po tym, jak Komenda wyszedł na wolność, musiał pracować w pojedynkę. Nie licząc wyżej wymienionych prokuratorów, był sam. W rezultacie przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Więc nasza rozmowa nie będzie miała optymistycznego finału. Policja takich ludzi wypluwa. Uczyniono wszystko, by go zniszczyć jako policjanta. Bo udowodnił, że jego formacja popełniła karygodny błąd. W takich służbach ten, kto się wychyla, dostaje po głowie. A żeby być skutecznym, trzeba przecież tę głowę wychylić.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Arytmetyka i pamięć

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Dlaczego „Jedenaście”? To numer domu w Otwocku przy ulicy Prusa, gdzie po wojnie był dom dziecka, do którego trafiła autorka. Budynku już nie ma, na jego miejscu wyrosły samosiejki.

Ktoś najbliższy umiera w szpitalu, zostaje tylko bezsilna skarga. „Przecież lepiej oddychał (...). Przecież tak ładnie dzisiaj zjadł obiad”. Więc dlaczego? I dlaczego pani doktor w rozmowie telefonicznej zaczyna zdanie od „no właśnie”?

Cztery dni później Rosja atakuje Ukrainę. Wojna zaczęła się właściwie znacznie wcześniej, od zajęcia Krymu, ale media teraz dopiero zaczynają regularne odliczanie. Do kolejnej liczby wystarczy dodać cztery – rodzi się nowa, prywatna chronologia. Znak nieobecności – i obecności. Współczesne wojenne tło dla mozaiki opowieści i portretów.

Tło, o którym musimy pamiętać, choć nie wychodzi na pierwszy plan tak wyraziście, jak w ostatnich fragmentach „Szczegółów znaczących”, poprzedniej książki Hanny Krall, tych o Buczy. Teraz jest tylko zbłąkana rakieta, która przekroczyła granicę i spadła na suszarnię zbóż, zabijając rolnika Bogdana i magazyniera Bogusława – na obu mówiono „Bodzio”. Dokładnie w chwili ich śmierci z Kanady przyszedł do autorki mail, że Zachary, jej prawnuk, powiedział nowe słowo: locomotive. „Dobra okazja do rozważań o roli przypadku, o bezsensie i sensie w życiu człowieka”.

Sarkazm? I, co tu kryć, trochę ulgi. Trzecia wojna światowa jeszcze się jednak nie zaczęła, więc dywagacje: „Gdzie będzie lepiej – na Ursynowie czy na działce na wsi?” (wieś niby bezpieczniejsza, ale przecież na wschodzie) – przedwczesne. A co najważniejsze:

MICHAŁ ŻEBROWSKI / EAST NEWS

Hanna Krall. Warszawa, 20 grudnia 2022 r.

„Lokomotywa i Zachary znajdują się 7171,6 kilometrów od suszarni zbóż.

Dobra wiadomość.

Mam nadzieję”.

WIĘC UKRAINY TU NIE MA, ale jest granica z Białorusią. Las, bagna i uchodźcy. Wstrząsające relacje Natalii Judzińskiej i nowe wcielenie szmalcowników: „nagle, parę metrów od nas, przebiegło dwóch mężczyzn. Za nimi biegł człowiek z krótką bronią. Nie wiedziałyśmy, co robić, więc poszłyśmy za nimi. Usłyszmy parę metrów i zobaczyłyśmy polanę i tego z bronią. Przed nim klęczeli ci mężczyźni. Na nasz widok schował broń i zaczął się cofać. (...) Ci dwaj to byli Afgańczycy, dowiedziałam się, a uzbrojony to szmalcownik żerujący na uchodźcach”. Uciekł przed zdeterminowanymi kobietami, ale skąd w ogóle wiedział, że tak można postępować? „Dzięki Zagładzie wiedział (uważa Natalia J.). Domyśliłby się i bez Zagłady, że tak można, ale zajęłoby to więcej czasu”.

Kolejne pytanie – czy cierpienia mogą ze sobą konkurować? Czy jedne są ważniejsze, a inne mniej ważne? Czy reporter może pisać o prawie-umieraniu autystycznego chłopca, gdy w tym samym czasie umierają naprawdę „ludzie w drodze”, których ciała znaleziono w Narewce? Tak, może, a nawet powinien. Chłopiec, Robert, i jego matka Maria H. nie po raz pierwszy pojawiają się u Hanny Krall, a rysunek siostry Roberta, Amandy znalazł się na okładce – to portret młodej Hanny przerysowany ze zdjęcia.

I jeszcze jedno (dużo tu pytań): co by było, gdyby Polacy podczas wojny pomagali Żydom tak masowo, jak ostatnio Ukraińcom? Pierwsza czytelniczka tekstu, w którym to pytanie padło, przypomina, że okoliczności były inne. Autorka odpowiada:

„No pewnie, że inne i że pomagać nie mogli. Ale mogli – na przykład...

Nie nasłuchiwać.

Nie zauważać.

Nie dopytywać się.

Nie domyślać się.

Mogli nie szukać – po piwnicach, stodołach, stogach, bunkrach.

Ani po lasach.

A jak już po tych lasach biegali, mogli nie wołać – Żydzie, wiem, że tu jesteś!”.

MNÓSTWO TU JESZCZE WĄTKÓW, włącznie z seansem spirytystycznym w Moskwie, u prawnuczki Puszkina, który tajemniczo wiąże się z audiencją u Jana Pawła II, wiele lat później. I – także z Moskwy – wspomnienie o kompozytorze Mieczysławie Weinbergu, który zaufanemu gronu w 1968 r. grał na fortepianie swoją operę oświęcimską „Pasażerka”, a Dymitr Szostakowicz, siedzący koło Hanny Krall, szeptał „czudiesno”. Są też obrazki z lat 50., a także opisany przez Joannę Tokarską-Bakir krakowski pogrom Żydów w sierpniu 1945 r.; niektórzy uważają, że nie był to pogrom, bo zginęła tylko (tylko?) jedna osoba, Róża Berger (mąż mówił do niej „Rachełe”, z akcentem na pierwszej sylabie).

Są krzepiące postacie, jak Anna Jadach. „O Ance myślałam. U której we dwie były, ośmioletnie obie i z nieszczególnym wyglądem. Dobrze było z Anką J. Na Pole Mokotowskie z nią się chodziło, tańce francuskie, jej ulubione, z nią się tańczyło, a w niedzielę szło się do Andrzeja Boboli. (...) Narbutta czterdzieści osiem wiedziało o dziewczynkach. Wiedziało też o mężu – oficerze i o synu – harcerzu. Byli chwilowo nieobecni, ale mieli wrócić, obaj, zaraz po wojnie”. Syn wrócił dopiero po jej śmierci, wspomnienia opublikował po angielsku, w Kanadzie. Krzepią też bohaterowie „Genealogii”, jak Joanna, prowadząca w Human Rights Watch „Projekt więzienny”, albo jej córka Sara, obrończyni praw ugandyjskiego ludu Acholi.

A dlaczego „Jedenaście”? To numer domu w Otwocku przy ulicy Prusa, gdzie

po wojnie był dom dziecka, do którego trafiła autorka. Budynku już nie ma, na jego miejscu wyrosły samosiejki. Wyprawa z niegdysiejszym otwocczaninem, poetą Piotrem S. (domyślamy się, że to Piotr Sommer), wprowadza jednak zamieszanie. Numer jedenasty owszem, jest, ale samosiejek nie ma, są za to siostry Notre Dame. – Na wszystko mamy papiery – odpowiada jedna z nich, zagadnięta przez Piotra.

„To pewne, że mają.
Że papiery są w porządku.
Że ich jedenaście też jest w porządku.
Wszystko w ogóle jest w porządku".

INNE DZIECI Z OTWOCKIEGO DOMU też się pojawiają w tej książce. Jak Tomasz, który trafił do niego jako chłopiec w mundurze. Był w getcie, potem w obozie oświęcimskim, w styczniu '45 szedł w Marszu Śmierci, w Sachsenhausen amputowano mu odmrożone palce u stóp, mundur uszyli żołnierze polscy i rosyjscy, którzy go wyzwolili. W Otwocku odnalazła go matka. Wyjechali za ocean, ukończył kilka amerykańskich uczelni, specjalizował się w prawach człowieka. W 2000 r. przyjechał do Oświęcimia na rocznicę Marszu. „Wieczorem, w krakowskim hotelu odebrał telefon. Miał reprezentować Stany Zjednoczone w Hadze, w Trybunale Sprawiedliwości".

Wspaniała książka, i tylko jedno mnie w niej martwi – epilog. W nim najpierw wyliczenie, co się w niej nie znalazło – historie o dziewczynie, która uciekała przed obławą na prostytutki, o rudym komuniście, o kobiecie z puszczy, która zasadniczo nie lubiła uchodźców, oraz o Syryjczyku Issie i psie Ryżyku, każda z nich znakomita. I potem te mrożące zdania: „Książka skończyła się, a jeszcze nie... Nie ma – jeszcze. Tym razem nie ma". No więc nie ma zgody, Pani Hanno. To nie może być koniec. W „Notatkach przed spotkaniem autorskim" napisała Pani: „Opowiadanie jest potrzebą: pamiętania i bycia zapamiętanym". A co z wiernymi czytelnikami? Co będą bez Pani pamiętać? ©℗

Hanna Krall, **JEDENAŚCIE**, *Wydawnictwo a5, Kraków 2024*

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH

Anita Piotrowska:

Szkoda życia na złe filmy, toteż pisząc do „Tygodnika" dzielę się przede wszystkim tym, co mnie w nich intryguje czy jakoś inspiruje. Obserwując, co się dzieje w kinie i z kinem, wgryzam się w ekran głównie po to, by odnaleźć tam doświadczenia – indywidualne i wspólne. Szukam ukrytych znaczeń, połączeń, refleksów, kontekstów i coraz rzadszych dzisiaj śladów indywidualnego języka.

Na zdjęciu w towarzystwie koleżanek z „Tygodnika": Antoniny Palarczyk, Anny Goc, Anny Łabuszewskiej, Katarzyny Kubisiowskiej, Eweliny Burdy i Zuzanny Radzik

Autorki „Tygodnika" odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.

powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

OPP

Komiksy z Pingwinem

„Pingwin" rozgrywa się w filmowo-komiksowym uniwersum DC. Oglądając serial, łatwo jednak zapomnieć o jego rodowodzie. Twórcom udało się bowiem to, co nie udało się Toddowi Phillipsowi w jego obu „Jokerach": stworzyć osadzone w komiksowym uniwersum widowisko, zdolne połączyć charakterystyczne dla niego postaci i motywy z surową, realistyczną poetyką, przywodzącą na myśl najlepsze dzieła amerykańskiego kina lat 70. czy pierwsze produkcje HBO, zaczynające złoty wiek seriali. Podążając za tymi inspiracjami, „Pingwin" działa tak dobrze jako samodzielne dzieło, że w zasadzie nie potrzebuje podpórki komiksowej franczyzy.

Znak Batmana

W serialu z Pingwinem przez bardzo długi czas nie widzimy ani jednej sceny, która sugerowałaby, że ulice Gotham patroluje samotny mściciel w stroju nietoperza, wkraczający tam, gdzie wymiar sprawiedliwości i mające stać na jego straży instytucje okazują się bezradne. W mieście czuć skutki terrorystycznego zamachu Riddlera, ale dla klimatu serialu i jego ogólnej wymowy nie ma to znaczenia.
Świat zbrodni w „Pingwinie" jest szary, brudny i banalny w swojej codziennej brutalności. Jedynym „komiksowym" elementem jest fioletowe maserati, którym tytułowy bohater porusza się po mieście. Dopiero w ostatnich scenach pojawiają się sygnały, w jakim uniwersum właściwie się znajdujemy. Ten wiążący „Pingwina" z franczyzą symbol pojawia się jednak na końcu wyraźnie odbiegającej stylistycznie od reszty serialu, oniryczno-halucynacyjnej sceny przywodzącej na myśl „Batmany" Tima Burtona i Christophera Nolana. Być może w serialowym „Pingwinie" Batman tak naprawdę nie istnieje, jest tylko mrocznym widmem rodzącym się gdzieś na dnie umysłu oprycha, który doszedł na szczyt i nieświadomie boi się ceny, jaką prędzej czy później zapłaci za swój triumf? Albo zbiorową halucynacją zrodzoną z pragnienia sprawiedliwej zemsty? Jeśli powstaną kolejne sezony „Pingwina", mam nadzieję, że twórcy nie rozstrzygną tej bardzo służącej serialowi niejednoznaczności.

Człowiek z podziemia

JAKUB MAJMUREK

Serial „Pingwin" pokazuje nam świat, w którym zachwycona sobą elita wzięła wiele więcej, niż społeczność była w stanie zaakceptować. Chciwość i pogarda stają się powodem upadku starych hierarchii. Władzę przejmuje upokorzony arogant.

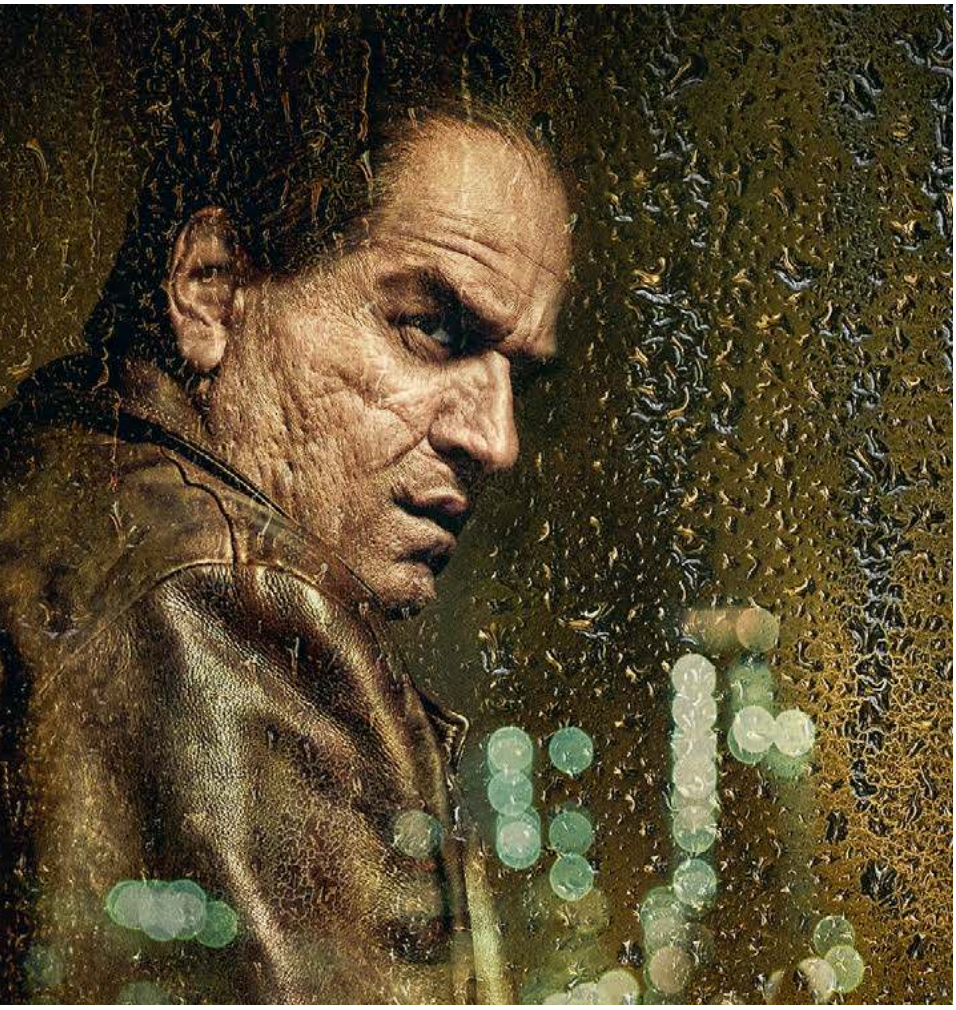

MATERIAŁY PRASOWE MAX X3

Colin Farrell jako serialowy Pingwin.

Pamiętacie Danny'ego DeVito w roli Pingwina? W liczącym sobie już ponad trzydzieści lat „Powrocie Batmana" Tima Burtona pływa on po kanałach Gotham w wielkiej żółtej czaszce i dowodzi bandą zbirów-cyrkowców. Nosi też frak i cylinder, łączące staromodną elegancję ze stopniem zużycia sugerującym, że strój został znaleziony gdzieś na śmietniku. Pingwin ma wielki, charakterystyczny nos przypominający ptasi dziób i dłonie, których zrośnięte palce przywodzą na myśl płetwy. Słowem: wygląda jak postać z koszmaru, a reżyseria Burtona nieustannie podkreśla karnawałowy i „komiksowy" charakter świata, w którym działa Batman.

Chłopiec z ferajny

Pingwin z nowego serialu platformy Max jest postacią zbudowaną zupełnie inaczej. Zmieniony nie do poznania przez charakteryzację Colin Farrell wygląda raczej jak ktoś z dalszego planu „Chłopców z ferajny" Martina Scorsesego niż postać z cyrku, kart komiksu czy wyobraźni reżysera lubującego się w poetyce makabreski.

Oswald „Oz" Cobb (w komiksach znany jako Oswald Cobblepot) jest zwalisty, ciężki, mówi w sposób zdradzający, że jego jedynym uniwersytetem była ulica. Poznaczona bliznami twarz i kulejący krok pokazują, jak trudna musiała to być szkoła. Irlandzki aktor, budując swoją postać, wyraźnie inspiruje się Jamesem Gandolfinim jako Tony'm Soprano, ale ta inspiracja nigdy nie idzie tak daleko, by Cobb zmienił się w kopię mafijnego bossa z New Jersey.

Oswald z pewnością nie jest bossem, ani nawet pełnoprawnym członkiem mafii. Reprezentuje obrzeża świata zorganizowanej przestępczości. Oprychów kręcących się wokół wielkich mafijnych rodzin i marzących o tym, by zasiąść przy stole dla największych graczy.

Córka szefa

Cobb od lat kręci się w ten sposób wokół rodziny Falcone. To przestępcza arystokracja Gotham City. Mieszkają w rezydencji zbudowanej najpewniej przez kolejowego magnata albo bankiera z Wall Street w dwóch ostatnich dekadach XIX w., gdy Stany stały się pierwszą przemysłową potęgą świata, a kraj zaczęły rozdzierać nieznane wcześniej nierówności społeczne.

W jadalni mafiosów wisi kopia konnego portretu przedstawiającego Guidoriccia da Fogliano z Palazzo Pubblico w Sienie, włoskiego kondotiera z XIV w., władającego przez pewien czas Padwą i Weroną. Obraz pokazuje ambicje rodziny Falcone, która – podobnie jak kondotierzy wyrąbujący dla siebie i swoich potomków małe księstewka w Italii – wywalczyła sobie miejsce na samym szczycie hierarchii Gotham obok potomków finansistów, magnatów przemysłowych oraz współczesnych technomiliarderów.

Oswald jest jednym z wielu podwładnych rodziny – zaczynał jako kierowca córki bossa. Gdy go poznajemy, kieruje kontrolowanym przez rodzinę klubem nocnym i grupą zajmującą się sprzedażą niszczącego Gotham narkotyku, przyjmowanego w formie kropel do oczu. Nie siedzi jednak przy stole, na którym leżą prawdziwe pieniądze. Kierownictwo rodziny nie pozostawia mu też złudzeń, że kiedykolwiek przy nim zasiądzie. Falcone odmawiają Oswaldowi nie tylko władzy i pieniędzy, ale i szacunku – a kulawy, wyśmiewany za plecami mężczyzna niczego tak nie pragnie, jak respektu.

Mafijna rodzina wkracza przy tym w trudny dla siebie czas. Jej szef, Carmine, ginie, a jego śmierć tworzy próżnię, której towarzyszy chaos otwierający szanse wszystkim tym, którzy do tej pory byli w mieście marginalizowani. Główną antagonistką Pingwina w walce o kontrolę nad przestępczym podziemiem Gotham jest córka byłego bossa, Sofia. Kobieta skrzywdzona przez własną rodzinę, odsunięta na margines jak wstydliwy sekret, wykluczona z sukcesji. Serial pełen jest zresztą podobnych figur – postaci, w których latami narastała frustracja i poczucie krzywdy.

↦

Rewolucja resentymentu

↦ „Pingwin” pokazuje bowiem świat, w którym podstawową emocją jest resentyment. Gdyby szukać bohatera literackiego o podobnym profilu, można by wskazać narratora „Notatek z podziemia” Fiodora Dostojewskiego – nawet biorąc pod uwagę wszystkie różnice między ulicami nędzy Gotham i Petersburga. „Pingwin” wielokrotnie podkreśla zresztą związki tytułowego bohatera z „podziemiami”. Cobb funkcjonuje w przestępczym podziemiu Gotham, ale też przebiegająca pod miastem sieć tuneli nieczynnej od dawna podziemnej kolejki staje się jego bazą. Te same tunele skrywają najgłębszą, najstaranniej ukrywaną tajemnicę z przeszłości Pingwina, wiążącą się z wydarzeniem, które Oswald przez całe życie próbuje wyprzeć ze świadomości.

Tytułowy bohater nowego serialu nie tylko sam oddycha resentymentem. Zdaje sobie także doskonale sprawę z tego, że jego największą szansą w walce o zajęcie miejsca, które – jak uważa – należy mu się w przestępczej hierarchii Gotham, jest skuteczna mobilizacja resentymentu ludzi podobnych do niego: gangsterów niezdolnych do przebicia szklanego sufitu. Wyzyskiwanych, lekceważonych, a czasem regularnie upokarzanych przez tych, którzy mieli więcej szczęścia.

Kluczowa scena serialu pokazuje wywracającą przestępcze układy Gotham „rewolucję resentymentu”. Sposób jej montażu przywodzi na myśl słynną scenę z pierwszego „Ojca chrzestnego”, w której obrazy Michaela Corleone trzymającego do chrztu swojego siostrzeńca zmontowane są z obrazami egzekucji przeciwników rodziny.

Wracający do Białego Domu Donald Trump przez **całe życie traktowany był przez nowojorskie elity jak impertynent i cham.** I zupełnie jak Pingwin zmobilizował ludzi, którzy czuli się jak on – lekceważeni i pomijani.

Droga na szczyt

Ten obraz aż prosi się o to, by czytać go we współczesnym społeczno-politycznym kontekście. „Pingwin” pokazuje bowiem świat, w którym samozwańcza, zachwycona sobą elita wzięła więcej, niż otaczająca ją społeczność – w tym wypadku przestępcza – była w stanie zaakceptować. Chciwość, pogarda oraz nieumiejętność dzielenia się stają się ostatecznie powodem upadku starych przestępczych hierarchii.

Czy podobnej mechaniki resentymentu wymierzonego w elitę nie mogliśmy zaobserwować w ostatnich amerykańskich wyborach? Wracający do Białego Domu Donald Trump jest co prawda celebrytą i miliarderem, a w kampanii wspierał go najbogatszy człowiek na świecie, ale jednocześnie przez nowojorskie elity całe życie traktowany był jak impertynent i cham. I tak jak Pingwin zmobilizował szeroką koalicję ludzi, którzy we współczesnej Ameryce czuli się strukturalnie lekceważeni i pomijani.

Rewolucja, jaką pokazuje serial, nie przynosi przy tym żadnej nadziei na lepszy, bardziej sprawiedliwy świat. Nie mamy wątpliwości, że Pingwin odniesie sukces i zniszczy wszystkich tych, którzy dotąd patrzyli na niego z góry. Ale gdy dojdzie na szczyt, będzie się zachowywał podobnie jak Carmine Falcone. W serialu wykluczenie, bycie lekceważonym i pomijanym nie uszlachetnia i nie czyni moralnie lepszym. Przeciwnie – poniżeni często okazują się potworami.

Ulubiony antybohater

We współczesnej telewizji dominują wieloznaczni moralnie antybohaterowie. Oswald Cobb zasługuje, by stanąć obok tych najciekawszych – Tony’ego Soprano, Waltera White’a, Saula Goodmana i Franka Underwooda. Twórcy „Pingwina” idą w kreowaniu swojej postaci daleko, nawet jak na standardy współczesnej jakościowej telewizji.

Wiemy, że Pingwin jest gangsterem i że jak każda osoba w tym fachu ma na koncie pobicia, wymuszenia, a nawet morderstwa. Im bliżej go jednak poznajemy, tym bardziej problematyczną postacią się staje. Nie przestrzega żadnego, choćby gangsterskiego kodu, nie ma rzeczy, których nie byłby w stanie zrobić, by przetrwać i piąć się w górę. Nie kieruje nim przy tym żaden wewnętrzny kompas, honor ani lojalność. Na początku wydaje się, że pielęgnuje jakieś autentyczne więzi – okazują się one jednak o wiele bardziej skomplikowane.

Zwłaszcza relacja gangstera z jego matką – ukrywaną gdzieś na dalekim przedmieściu przed wrogami – okazuje się splotem toksycznej zależności, kłamstw i hipokryzji. Węzłem, do którego rozplątania potrzeba byłoby lat pracy najzdolniejszych uczniów doktora Freuda.

© JAKUB MAJMUREK

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

REKLAMA

NOCNE ZWIEDZANIE TEATRU

WYDARZENIE PRZEZNACZONE DLA WIDZÓW PEŁNOLETNICH, NIEMAJĄCYCH KLAUSTROFOBII, LĘKU PRZED CIEMNOŚCIĄ, LĘKU PRZED WYSOKOŚCIĄ I LĘKU PRZED LĘKIEM.

Zagubcie się z nami w teatrze! Przeżyjcie przygodę inną niż wszystkie, teraz w odświeżonej, jeszcze bardziej zaskakującej i atrakcyjnej formie. Weźcie ze sobą wygodne buty, otwartość na nowe, ekscytujące doznania i odwagę. Przyda Wam się, bowiem Wy, którzy tu wchodzicie, żegnajcie się z nadzieją!

bilety na: www.**teatrwkrakowie.pl**

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie | INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO | MAŁOPOLSKA

OFICJALNI PARTNERZY TEATRU

BMW M-Cars Group | Bielenda | Face Boom

Wielka draka

ANITA PIOTROWSKA

To awanturnicza opowieść tocząca się w willi rosyjskiego miliardera, nocnych klubach i klimatycznej dzielnicy nad Atlantykiem. Dopiero jej finał wybija z krotochwilnego nastroju.

AUGUSTA QUIRK / MATERIAŁY PRASOWE UIP

Nowojorskie Brighton Beach, pełne kaukaskich grillów i knajpek z pielmieniami, bywa nazywane Małą Odessą ze względu na żyjącą tam diasporę różnych nacji z byłego Związku Radzieckiego. I doczekało się wielu filmowych portretów, chociażby u Jamesa Graya. Tam właśnie mieszka tytułowa Anora, młoda pracownica seksualna z nowego filmu Seana Bakera, a podstawowa znajomość rosyjskiego bardzo jej się przyda, kiedy trzeba będzie obsłużyć zepsutego synalka oligarchy. Dla reżysera stanowi to elektryzujący punkt wyjścia, by raz jeszcze opowiedzieć o ludziach z tak zwanego półświatka – bez paniki moralnej, za to z komediowym szwungiem. Ale i z dyskretnym namysłem nad tym, co jest prawdziwą depprawacją.

Bohaterem „Red Rocket", poprzedniego filmu Bakera, był emerytowany, oczywiście tylko w cudzysłowie, gwiazdor porno, który wraca po latach branżowych sukcesów i ekscesów do rodzinnego miasteczka. Wiele było podskórnej goryczy w tym „różowym" obrazie z posypką czarnego humoru. Przede wszystkim brutalna diagnoza współczesnej Ameryki, turbokapitalizmu, kultu męskości, narcystycznej kultury.

„Anora" takich ambicji z pozoru nie przejawia. Wygląda niczym komedia romantyczno-erotyczna z awanturniczym skrętem, psychologicznie naskórkowa, dziejąca się wyłącznie tu i teraz. Słychać w takiej klasyfikacji zarzut, bo jakże to – największe trofeum na najbardziej snobistycznym festiwalu otrzymuje frywolna wydmuszka, bez zaangażowanego przesłania czy wywrotowej formy. W przeszklonej willi rosyjskiego miliardera, w autentycznej scenerii nocnych klubów i klimatycznej dzielnicy nad Atlantykiem toczy się opowieść wyjątkowo „nieprestiżowa" – i dopiero finał wybija z krotochwilnego nastroju. Zaczynamy rozumieć, czemu reżyser bardziej powołuje się na „Cabirię" Felliniego niż na „Pretty Woman".

„Anora" ma tyle wspólnego z bajką o Kopciuszku, który sprzedaje swoje ciało i wreszcie trafia na księcia, ile „The Florida Project" miała w sobie z pastelowej bajki o dzieciach śmieciach tworzących sobie własny Disneyland. Podobnie jak w tamtym filmie, Baker serwuje nam długą, ekscytującą i beztroską jazdę, zanim ukłuje znienacka w samo serce. Wcześniej każe imprezować i używać wraz ze słodką Ani i Wanią, lekkomyślnym „bananem" przepuszczającym rodzicielskie rublodolary.

Aż nagle, głównie dla kaprysu, bierze z dziewczyną ślub w Las Vegas, ściągając na siebie gniew oligarchicznej familii. Rozpoczyna się wtedy innego rodzaju komedia. A raczej wielka draka w stylu braci Coenów, z udziałem ormiańsko-rosyjskich „goryli". Próbują oni przekonać Anorę do unieważnienia małżeństwa, a właściwie spacyfikować jej słuszny opór i gniew. Długo też nie bardzo wiadomo, co jest stawką w tej grze: szczeniackie, ale jednak szczere uczucie, jej albo jego wolność, czy może zwycięstwo nad wszechobecną transakcyjnością i cynizmem. Baker potrafi igrać z oczekiwaniami.

Dostarcza przy tym wiele filmowej frajdy i stało się to znakiem rozpoznawczym dla twórcy „Mandarynki", bez względu na ciężar podejmowanych przez niego tematów. Chodziło często o różne formy wykluczenia, ze względu na rasę, tożsamość płciową, sytuację ekonomiczną. Samą pracę seksualną ukazywał Baker w prowokacyjny sposób – jako splot życiowej konieczności i chwilami całkiem udanej zabawy, zepchniętej na społeczny margines przez zbiorową hipokryzję. Zabawy tym bardziej podejrzanej, że w istocie była obsypanym brokatem ciemnym zwierciadłem, podsuwanym w jego kinie „zdrowemu" społeczeństwu. Stawiane tam pytania o uczciwość czy lojalność nie dotyczyły wyłącznie branży erotycznej i tak też jest w „Anorze".

Co więcej, zamiast moralizatorstwa czy pokrzepienia, bije z ekranu po prostu bezwstydny wdzięk. Mimo obyczajowej śmiałości kryje się w nim coś uroczo staroświeckiego, toteż chętnie porównuje się film Bakera do zwariowanych komedii uprawianych w dawnym Hollywoodzie przez Franka Caprę, Ernsta Lubit-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

ANORA
– reż. Sean Baker. Prod. USA 2024. Dystryb. UIP. W kinach od 22 listopada.

Sean Baker, amerykański reżyser, scenarzysta, montażysta i producent, zadebiutował filmem „Four Letter Words" (2000). Uwagę zwrócił tytułem „Take Out" (2004), a potem „Gwiazdeczką" (2012) i nakręconą smartfonem „Mandarynką" (2015). Kolejne filmy, „The Florida Project" (2017) i „Red Rocket" (2021), były sukcesami festiwalowymi, zwieńczonymi w tym roku Złotą Palmą dla „Anory".

Kadr z filmu „Anora"

scha czy Billy'ego Wildera. Wszyscy oni byli mistrzami opowiadania i prawdziwymi sowizdrzałami w przekręcaniu schematów związanych z ekranową romantycznością. Marzenia związane ze społecznym awansem również nie były obce ich bohaterom.

Prócz dziarskiego tempa i błyskotliwych dialogów wspomniany podgatunek, nazywany *screwball comedy*, wymagał idealnie trafionej obsady i pod tym względem „Anora" przynosi spełnienie absolutne. Mikey Madison gra „dziewczynę lekkich obyczajów" w podwójnym tego słowa znaczeniu, tragiczną i zabawną jednocześnie. Młodziutka aktorka, częściowo potomkini polskich Żydów, w swojej pierwszej dużej i chwilami improwizowanej roli wydobywa z Anory wszystkie możliwe tony. Od naiwności i brawury, po determinację i desperację. Chce się jej kibicować, kiedy osamotniona staje naprzeciw wszechmocnej rodziny Zacharowów, a tak naprawdę przeciwko niesprawiedliwości, pogardzie i tępej sile. W tak brutalnie urządzonym świecie jedyną jej walutą jest seks.

Ktoś powie: obrzydliwie bogaci Rosjanie nie są dziś tym, czym chciałoby się sycić oko, nawet w satyrycznym wydaniu. I Baker, unikając łatwych przerysowań i przegięć, nie pozostawia złudzeń, z jakim rodzajem ludzkim mamy tu do czynienia. Kontrowersje może natomiast budzić fakt, iż zaangażował znanych rosyjskich aktorów – Mark Eidelstein, czyli filmowy Wania, oraz Jura Borisow grający (świetnie!) jednego z wynajętych „gopników" nadal pracują w Rosji i to w reżymowych produkcjach. Pierwszy nazywany jest tamtejszym Chalametem, drugi zaś pojawi się wkrótce na rosyjskich ekranach w roli Puszkina. Zrozumiałe więc, że ich obecność na canneńskim czerwonym dywanie i Złota Palma z rąk Grety Gerwig mogły być zgrzytem, zwłaszcza dla gości z Ukrainy. Maja Kleczewska w swoich ukraińskich „Dziadach" dała widzom odczuć niemal na własnej skórze, dlaczego nie powinno się fetować rosyjskiej kultury dzisiaj.

Najwyraźniej amerykański reżyser, który swój film planował jeszcze przed pełnoskalową inwazją, nie miał nawet i potem związanych z tym dylematów. W wywiadach mówi, że interesują go „ludzkie historie". Tyle, że ten szlachetny humanizm coraz trudniej wyabstrahować w dzisiejszym świecie od rządzących nim mechanizmów korupcyjnych, by nie rzec prostytucyjnych. I to też mogłoby stanowić ciekawy przypis do pędzącej na złamanie karku słodko-gorzkiej historii opowiedzianej w „Anorze". ©

Lektor:
Mędrzec

▪ *Stanisław Jerzy Lec*
FRASZKI
Zredagowała i posłowiem opatrzyła Lidia Kośka. Opracowanie graficzne i projekt okładki Tomasz Lec. Noir sur Blanc, Warszawa 2024, ss. 382.

Międzynarodową sławę przyniosły mu „Myśli nieuczesane" – stworzyły nowy, oryginalny rozdział w dziejach aforystyki. Był wybitnym poetą i wybitnych poetów tłumaczył – jak Celan i Trakl. No i pisał fraszki, które po raz pierwszy otrzymujemy scalone w tak obszernym wyborze i tak starannym opracowaniu.

Lidia Kośka od dawna zajmuje się spuścizną Stanisława Jerzego Leca (1909-1966), poświęciła mu też książkę („Lec. Autobiografia słowa", Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2016). W posłowiu do „Fraszek" pisze o relacjach między gatunkami literackimi, jakie pisarz uprawiał, i ich wzajemnym na siebie oddziaływaniu. Fraszka, choć mała, jest ambitna: „chce po swojemu ogarnąć sprawy świata. Jest wszędobylska i wszechstronna – zauważa Kośka. – Powaga aforyzmu, niepowaga fraszki – myślenie schematyczne, w przypadku utworów Leca nie wytrzymuje próby lektury". I dodaje: „Lec wyprostował fraszkę w linijkę zdania, a wierszom odebrał rym. Zostawił go tylko fraszce". Rym „aktywizuje umysł do zdrowej gimnastyki", sprzęga całość albo też pozwala odkryć nowy aspekt słów, zderzyć wysokie z niskim. „Zestawienie dostojnego i wpływowego, często abstrakcyjnego pojęcia, z pospolitą nazwą niepokaźnego byle czego wytwarza klimat groteski wpływający na całe połacie znaczeń".

No i teraz chciałoby się cytować, cytować i jeszcze raz cytować. Niech jednak każdy dokona własnego wyboru. Ja tylko dla zachęty. Oto „Sny, sny": „Splamić się raz sama! – / śni plama". „Wskazówka praktyczna": „Grzeszcie, święci, / będziecie wniebowzięci!". Fraszka bez tytułu: „Kto w sprawach wiary najbardziej oblatan? / Szatan". „Sursum corda": „Nie lękajcie się stuleci – / jakoś to zleci!". I jeszcze „Ideał fraszki": „Wielkie uczucie / przeżyte w skrócie".

Żegnając w 1966 r. Leca – a choroba zabrała go w środku życia i w pełni możliwości twórczych – pisał Leszek Kołakowski: „Gorzki humor jego był na służbie mądrości, a w śmiechu, który wyzwalał, obecna była niezmiennie smuga skupionej medytacji nad okrucieństwem dziejów, jakie za sobą ciągniemy: my – ludzie po prostu, albo Polacy, albo Żydzi, albo Żydzi-Polacy". Dobroć i mądrość złączona z poczuciem tragizmu – tak widział go Jacek Łukasiewicz we wstępie do „Utworów wybranych". Wracajmy do Leca, bo niewielu mieliśmy pisarzy tak przenikliwych! ©℗

OLGA

Drenda:
Hałas z nieba rodem

W słynnym odcinku komiksu XKCD rysunkowy bohater wyjaśnia, że nie może iść spać, ponieważ dzieje się coś bardzo ważnego: ktoś się myli w internecie. Ten żart zapowiada się na nieśmiertelny, bo mijają lata, a kolejne pokolenia wciąż wierzą, że kogokolwiek da się przekonać w dyskusji online na uczciwe – lub nie – argumenty. Ich naturą jest przecież niewygrywalność i samonapędzanie się, co zdefiniowali już pionierzy sieciowej komunikacji Gerard van der Leun i Thomas Mandel w przedpotopowym poradniku zatytułowanym „Netykieta" (słowo to zupełnie wypadło z użytku, nie mówiąc już o jego desygnacie). Internetowe debaty nie służą ani rozmowie, ani przekonaniu kogokolwiek – raczej wyciąganiu coraz cięższych dział w służbie udowodnienia, że przeciwnik jest głupi, a uczestnicy rozchodzą się w swoje strony wyczerpani grą o pietruszkę i gotowi bronić nawet niespecjalnie znaczących opinii jak Częstochowy. To frustrujący i bezskuteczny sport, choć wciąż niejeden wierzy, że mocą swoich argumentów przełamie klątwę, a tymczasem wsiąka i przepada. Niewykluczone, że żyjemy w czasach, w których ludzie znajdują szczególną przyjemność we własnym nieubłaganiu i nieustępliwości za wszelką cenę. A jeszcze większą w udowadnianiu sobie samym, że mogą brnąć bez końca.

Ten stan rzeczy nieco mnie smuci, wolę bowiem postawę nieortodoksyjnej gotowości, by dowiedzieć się czegoś nowego o świecie i o sobie. Leży ona nieopodal zjawiska, które poeta John Keats określił „zdolnością negatywną", czyli porzuceniem potrzeby kompletnych i jednoznacznych odpowiedzi, gotowością na zamęt, turbulencje, dysharmonie. Takie życie wydaje mi się może mniej bezpieczne, lecz poznawczo bogatsze i, miejmy nadzieję, po latach owocujące mądrością. Dlatego chętnie zwracam uwagę na przykłady takich nieoczekiwanych zwrotów, gdy ktoś wyruszył z pełnym ekwipunkiem na wyprawę, z której wrócił z czymś zupełnie innym.

Światło pod brudkiem.

OLGA DRENDA

Jak mogą wiedzieć co wytrwalsi moi czytelnicy, z przyjemnością słucham ekstremalnej muzyki, metalu czy noise. Ostatnio często włączam sobie nagrania szwedzkiego zespołu Reverorum Ib Malacht, który można zaklasyfikować umownie jako awangardowy black metal – gitarowy ciężar i rytmiczny pęd stanowią tu bazę zanurzoną w mgławicy atonalnych brzmień, hałasów, eksperymentów z głosem, wypływających z otchłani śpiewów. Przy całej satysfakcji obcowania z tą muzyką nie sposób nazwać ją łatwą. Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że Reverorum Ib Malacht deklarują się jako artyści katoliccy.

W tych rejonach muzyki jest to zjawisko rzadkie. Metal preferuje sztafaż kojarzący się z ciemną stroną mocy; potrzeba transgresji, mizantropia, czasem uwydatnienie indywidualizmu, czasem zamiłowanie do taktyki szoku sprzyjają przybraniu teatralnie upiornego kostiumu, niekiedy w wersji karnawałowego obrazoburstwa, niekiedy przypominającego dziewiętnastowieczny dekadentyzm. Nieczęste przykłady tzw. unblack metalu (chrześcijańskiego) nie są niestety muzycznie zbyt dobre – poczucie misji przeważa nad imperatywem tworzenia udanych kompozycji, spokój ducha nie idzie w parze z twórczą odwagą. Co innego Szwedzi z Reverorum Ib Malacht: nie obawiają się tworzyć muzyki w pewnym sensie religijnej, ale brzmiącej naprawdę konfrontacyjnie, w której jest miejsce na natłok, na deformację, której można słuchać trwożliwie. Bo też sacrum, jak uczą na podstawach religioznawstwa, to doświadczenie zachwytu i przerażenia, a wiara to wszak także zderzenie z tajemnicą, z grozą nieskończoności. Do nabożnej grozy dotarli przez gnozę – młodzieńcze fascynacje satanizmem zaprowadziły ich do studiowania pism gnostyków, lecz szybko doszli do wniosku, że nie trzeba szukać tak daleko – i zostali katolikami.

Jest to historia o niespodziance i o paradoksie: można stać się wyznawcą tego, od czego wcześniej próbowało się jak najmocniej oddalić. Można też tworzyć sztukę przeraźliwą, a zarazem sławiącą dobro. Zakładam, że pielęgnowanie zdolności negatywnej w sobie pozwala to osiągnąć: przywiązanie do jednej drogi, do jednego wariantu zdarzeń uniemożliwia dopuszczenie do siebie możliwości zadziwienia się czymkolwiek, w tym samym sobą. Choć dla mnie przy okazji cała przytoczona powyżej historia to również przepyszny Boży żart. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Nostalgia za emalią

Dwadzieścia jeden dni to wystarczająco długi czas, żeby ustalić, że listopad zasługuje na wykreślenie z kalendarza. I dlatego będziemy jutro, w czwartek 21 listopada, świętowali, że już prawie mamy go z głowy. Cóż, potem ustąpi miejsca równie, a może jeszcze bardziej paskudnemu koledze, niosącemu coraz więcej mroku i apogeum namolnej propagandy zakupów. Przegapiłem rozszerzenie zasięgu dywanowych nalotów reklamowych z jednego konkretnego „czarnego" piątku – wypadającego tuż po Święcie Dziękczynienia, które w tym roku mamy dopiero 28 listopada – na cały miesiąc, już od Zaduszek. Czarny ten cały miesiąc, żałoba po ostatnich liściach zmiecionych na stertę pod płot dla jeża i popielic.

Ale ostatnie liście to zarazem zwiastun pierwszego wina. Już jutro zaczniemy pić najsławniejsze nouveau 2024, którym zacny region Beaujolais zepsuł sobie reputację („zapłaczę nad swoim upadkiem po drodze do banku" – mówią miny tamtejszych negocjantów). Nie ma co marudzić, że to kompot i pachnie gumą bananową, kiedy chodzi w sumie o pretekst do spotkania. Tę potrzebę ogrzania się bliskością innych – a przy tym wypicia za obietnicę, że w kadziach syczy już nowy rok, który na serio zacznie się w połowie marca, gdy nadejdzie czas rozlać dojrzałe już białe wino i odłożyć walonki na pawlacz – praktykuję, nie czekając aż Francuzi się wykokoszą ze swoim rytuałem. Włoskie bowiem novello pojawia się wcześniej i bywa, przy tym samym poziome cenowym, odrobinę jednak smaczniejsze. A poza tym na pewno rozwesela – nie wiem, czy skrócony, inny niż zazwyczaj proces maceracji i fermentacji pozwala zachować jakieś substancje, które w „poważnym" winie się rozpadają, ale odczułem ten efekt chichotu wielokroć. Nie jest to wcale efekt zamroczenia alkoholem, który to żałosny stan nie powinien nigdy gościć w głowach miłośników biesiady.

Głupawka za stołem przyjaciół zawiodła mnie, zwykle alergicznie unikającego wspominek, w nostalgiczne obrazy dawniejszych zim drugiej połowy zeszłego wieku, kiedy zwornikiem zmysłowego doświadczenia słoty lub mrozu było picie herbaty czekającej cały dzień na każdego, kto wszedł i zdjął palto. Była to herbata rosyjska z ducha, przynajmniej w Kongresówce: diablo czarna esencja wlewana z fajansowego imbryczka, ten zaś stał w gotowości nad otworem w blaszanym czajniku, z którego zdjęto pokrywkę. Ot, takie peerelowskie bieda-samowary. Przy urządzaniu kuchni odrzucało się od razu czajniki bez pokrywki i odchylanego pałąka na zawiasach. Bo jak na takim imbryk postawić?

Blaszane czajniki to teraz ciasna, raczej brzydka nisza, jak zresztą w ogóle wszystkie emaliowane naczynia – upadła w zeszłej dekadzie fabryka w Olkuszu wznowiła jakąś tam produkcję, poza tym jest głównie chiński chłam. Olkusz to przecież było jedno z pierwszych słów, jakie nauczyłem się samodzielnie literować, gdym na stołeczku pomagał przy zmywaniu. Miejsce równie mityczne co kuźnia Hefajstosa z książeczki Parandowskiego. Pochodzące stamtąd garnki i miski zyskały niepostrzeżenie status muzealny, o czym się przekonałem właśnie w Muzeum Warszawy, na niewielkiej, zacnej wystawie o kuchniach. Nagle piękne olkuskie utensylia zobaczyłem, z perspektywy stali i teflonu, jako całkiem bliskie średniowiecznym patelkom na trzech nóżkach, do stawiania w otwartym palenisku. Starocie, których już nie chciałbym i nie umiałbym dobrze używać – choć przecież same były częścią rewolucji, jaką wywołało upowszechnienie małych kuchenek gazowych sto lat temu. Tylko sto lat. Przypuszczam, że nasze dzisiejsze sprzęty pójdą do rupieciarni jeszcze szybciej. Tym bardziej ceńmy listopadowe młode wino – ono wcale nie ma pretensji do długowieczności.

PAWEŁ BRAVO

Cykoria karmelizowana z tahiną

Na teflonowych powłokach można radykalnie zmniejszyć ilość tłuszczu, co pozwala otrzymać lżejsze i smakowitsze smażone warzywa. Ale są przepisy, w których tłuszczu nie należy unikać, bo stanowi o ich clou. Np. na tę endywię belgijską, czyli cykorię.

3 cykorie 4 łyżki klarowanego masła 50 ml białego wina garść cukru trzcinowego | sól | tahina

Kroimy ostrożnie wzdłuż cykorię (poszukajmy takich wąskich okazów), kładziemy przeciętą stroną na patelnię, gdzie rozgrzaliśmy masło. Podsmażamy na sporym ogniu dwie minuty, odwracamy na krótko, potem znów przewracamy, solimy, dolewamy wino i ewentualnie dodajemy masła, posypujemy cukrem, przykrywamy i zmniejszamy ogień. Po ok. 10 minutach powinno być gotowe – mocno zrumienione, ale nie spalone. Przekładamy na talerz, polewamy sosikiem z patelni i dodajemy parę kropel tahiny. Smakuje dobrze też po nocy w lodówce, ożywione kropelką octu. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

CO JEST W PUDEŁKU

Pod względem prawnym nic nie należy już do nas, nawet jeśli nabywamy to „na własność" w cyfrowych sklepach. I choć taki system ma swoje plusy, to wymazuje zjawisko oddolnej ochrony tekstów kultury. A przecież o to chodzi w kolekcjonowaniu.

MICHAŁ WALKIEWICZ

Sednem każdej pasji jest chaos. Lecz tylko sednem pasji kolekcjonerstwa jest chaos wspomnień" – pisał zanurzony w drewnianych wiórach i podartych papierach filozof Walter Benjamin. W jego eseju „Rozpakowuję swoją bibliotekę" z tomu „Podróże wyobraźni" (cytuję we własnym przekładzie) brakuje typowej dla nałogowców łowieckiej metaforyki. Coś jednak jest na rzeczy, skoro wydane w druku oraz plastikowych pudełkach skarby kina, literatury i elektronicznych mediów są zwykle „zdobyczą" i „łupem", a sam kolekcjonerski proceder nazywamy „polowaniem".

Za sprawą cyfrowej rewolucji gromadzenie fizycznych dóbr kultury – zwłaszcza tych łatwo dostępnych – odchodzi powoli do lamusa. Z polowania coraz częściej wracamy bez zwierzyny. Jako że wygoda jest wrogiem brawury, wolimy dostawać ją na tacy. Nawet jeśli zdigitalizowane filmy, książki, gry i komiksy tak naprawdę nie należą do nas.

Obcy w pawlaczu

Badania nie kłamią: jedynie śmierć bliskiej osoby, bolesne rozstanie oraz utrata pracy wyprzedzają w rankingu najbardziej stresujących okoliczności życiowych... remont mieszkania. Ma to oczywiście związek z perspektywą czasowej niestabilności, ale również z nagłą redukcją symbolicznych przedmiotów, totemów naszej wrażliwości. Oto z dnia na dzień wszystko, co kształtuje naszą tożsamość, porządkuje pamięć, nadaje sens pasji, ląduje – na jakiś czas lub na zawsze – w kartonach.

Do niedawna sam żyłem wśród takich totemów. Na moich półkach stały gry, filmy i figurki – w zwyczajnych lub kolekcjonerskich wydaniach, w plastikowych i metalowych pudełkach, zdobywane latami i oddawane bliskim, jeśli grzecznie poprosili. Ścieżkę dźwiękową na kasecie magnetofonowej z gry „Metal Gear Solid V: The Phantom Pain" kupiłem w Tokio na wyprzedaży. Na jajo Obcego, z którego wykluwały się płyty Blu-ray, odkładałem przez pół roku studiów. Kasetę VHS z kultowym filmem „Wojownicy" Waltera Hilla znalazłem w podziemiach jednego z londyńskich pubów. Żeby ją zdobyć, nie wystarczyło zapłacić. Musiałem zagrać partyjkę bilarda z lokalnym mistrzem i nie przegrać wyżej niż trzema bilami.

Ktoś, kto twierdzi, że kolekcjonerzy wiodą bezstresowe życie, ewidentnie nie docenia potęgi nerwicy natręctw. I bez niej to sporo roboty – nawet jeśli chcemy kilka razy rocznie przetrzeć grzbiety pudełek z filmami, a licencjonowane fanty poukładać w intrygujące wzory. Kiedy jednak każdy grzbiet trzeba przetrzeć

nie raz i nie trzy, ale dokładnie dwa razy, wzory zaś zawsze muszą być symetryczne, sprawy szybko się komplikują. Spoglądając na puste gablotki i półki, tęsknię za dzieciństwem. Strach przed nawrotem choroby jest jednak silniejszy. Mija czwarty miesiąc, odkąd totemy leżą w pawlaczu. Trzymajcie za mnie kciuki.

Istnieją kulturowe narracje, w których podobny styl życia jest utożsamiany z niedojrzałością, z trwaniem w wiecznym okresie bezdecyzyjnym, w którym nie trzymamy się już rozpaczliwie dzieciństwa, ale jeszcze nie jesteśmy gotowi na dorosłość. Są również i takie, w których kolekcjonerstwo jest aktywnością rozwijającą. I jeśli napisano o nim tomy, to właśnie dlatego, że nie ma ono zbyt wiele wspólnego z pospolitym zbieractwem – to ostatnie jest raczej czynnością kompulsywną, manifestacją psychologicznej relacji ze światem. W kolekcjonerstwie natomiast chodzi o ekspresję, podkreślenie indywidualizmu, poszukiwanie stylistycznego klucza do odtwarzanej w głowie opowieści o własnym życiu. Przede wszystkim zaś – chodzi o nostalgię.

Dziewczyna na kredensie

W wybitnym brazylijskim filmie „Aquarius" w reżyserii Kleber Mendonki Filho główna bohaterka – zahartowana przez życie i prowadząca krucjatę przeciw lokalnemu deweloperowi krytyczka muzyczna – obchodzi swoje 70. urodziny. Otoczona szczelnym kordonem bliskich, otumaniona kakofonią dźwięków, ucieka spojrzeniem w stronę starego kredensu. Po błyskawicznym cięciu montażowym jesteśmy w tym samym miejscu, kilkadziesiąt lat wcześniej. Dziewczyna siedzi na kredensie z głową kochanka między udami i jęczy w ekstazie. Kamera panoramuje na regał z książkami i płytami winylowymi, a my powoli wracamy do teraźniejszości.

Uwielbiam ten montażowy skrót – być może jeden z najciekawszych w historii kina – właśnie z powodu definiującej całą scenę kategoryczności. Kolekcjonowanie pozwala uporządkować przeszłość, nadać jej narracyjny sens, odrzeć przedmioty z ich czysto utylitarnego znaczenia. W teorii popkulturowy przemysł jest zaledwie narzędziem merkantylizacji naszej pasji. Jego urok polega jednak na pewnej dwoistości: jeśli drepczemy w zaklętym kręgu konsumpcji, to zwykle w poszukiwaniu autentycznych emocji.

Kształt tym emocjom nadawał do tej pory tradycyjny cykl dystrybucyjny, masowa produkcja pożądanych przedmiotów, w tym – fizycznych wydań filmów, albumów muzycznych, gier wideo. Jak przekonuje w kapitalnym eseju „Przyszłość nostalgii" artystka Svetlana Boym, konsumowanie kultury przy użyciu tradycyjnych nośników służy tak naprawdę autoekspresji. Przedmioty pomagają wyrazić siebie. Pamięć o nich jest z kolei kluczowa w budowaniu społecznej tożsamości. Sam proces zbierania filmów, gier i książek nie jest jednak procesem elegijnym. Nie chodzi w nim o opłakiwanie przeszłości, tylko o tworzenie wizytówki własnej tożsamości w świecie teraźniejszym, o ciągłe manifestowanie naszej „fizycznej biografii".

Życie w kinie

Cykl życia i śmierci albo zaklęte koło popkultury: silniejszy nośnik wypiera słabszy, rynek zmienia się za sprawą technologicznych tąpnięć. Cztery dekady w muzyce należały do kaset magnetofonowych, a ich monopol zakończyły dopiero płyty CD. Filmy na kasetach VHS miały się świetnie, dopóki pod strzechami nie rozgościły się odtwarzacze DVD. Kino trwa w klinczu ze streamingiem, branża muzyczna ewoluuje pod dyktando hegemonów formatu Spotify, pudełka z grami wideo powoli znikają z rynku, gdyż wystarczają nam wirtualne „klucze" z sieci.

↦

Figurki z bohaterami serii „Shrek". Styczeń 2023 r.

BURCU ERGIN / SHUTTERSTOCK

CHESNOT / GETTY IMAGES

Wystawa figur z filmu „Transformers" podczas Paris Games Week. Paryż, 22 października 2024 r.

Debiutująca właśnie konsola PlayStation 5 Pro jest symbolem ważnej zmiany – w bazowej wersji sprzedaje się ją bez napędu pozwalającego odtwarzać gry i filmy z płyt.
Koniec z prezentami pod choinką i wymianami pod blokiem.

↦ Kiedyś był to truizm. Dziś – gdy nostalgia nakazuje nam szukać winnych wśród korporacyjnych graczy – to raczej wiedza tajemna. Otóż za siłami decydującymi o popularności danych formatów zawsze stoi konsument. Dla przykładu: przez wiele lat ostatnie słowo w kłótni o wyższości jednej technologicznej nowinki nad drugą miała... branża porno. Rewolucja wideo w jej obrębie przyczyniła się do triumfu kaset VHS nad Betamaksem. Później zaś to przemysł filmów dla dorosłych rozstrzygnął pojedynek formatu HD DVD i Blu-ray na korzyść tego drugiego. Przed dwiema dekadami rozwój kultury internetowej, fala piractwa oraz raczkujący streaming doprowadziły do zamknięcia wypożyczalni wideo. A przed kilkoma laty pandemia scementowała zupełnie nowy rodzaj uczestnictwa w kulturze filmowej. I tak dalej.

Pogłoski o śmierci kina jako wspólnotowego doświadczenia okazały się przedwczesne. Hollywood złapało drugi oddech, a my wróciliśmy do kin (choć nie na polskie filmy, ale to akurat temat na inną opowieść). Z tą różnicą, że wróciliśmy po coś zupełnie innego, mianowicie po wyjątkowe „doświadczenia" i na specjalne „wydarzenia". Zaczęliśmy kategoryzować filmy podług potencjału czysto kinowego spektaklu.

Większość tzw. kina środka (czyli ambitnych produkcji z komercyjnym potencjałem, o budżecie rzędu 30-50 mln dolarów i z jedną gwiazdą w obsadzie) została zepchnięta do streamingu. I naprawdę trudno obrażać się na rzeczywistość, skoro korzyści są zauważalne. Gdyby nie wspomniany piwot, większość ciekawych autorskich produkcji oraz tzw. świadectw próżności (czyli realizowanych za kosmiczne pieniądze późnych filmów wielkich mistrzów formatu Martina Scorsesego czy braci Coen) nigdy by nie powstała.

W Stanach Zjednoczonych sprzedaż fizycznych nośników z filmami spada o kilka procent w skali roku, nawet pomimo wzrostu zainteresowania formatem 4K Ultra HD (koszty jego produkcji są na tyle wysokie, że niwelują kilkunastoprocentowe kwartalne wzrosty sprzedaży). Nieco bardziej emblematyczna dla całego trendu jest jednak branża gier wideo. Nie z powodu swojego kulturowego znaczenia, ale z racji rozmiarów całego biznesu. I właśnie ta branża przechodzi coraz odważniej na dystrybucję cyfrową.

Płyty pod choinką

W marcu bieżącego roku wartość globalnego przemysłu elektronicznej rozrywki wyniosła zawrotne 283 mld dolarów. Dla porównania wartość filmowej branży w 2023 r. to jedynie 100 mld (co z grubsza odpowiada segmentowi gier mobilnych), muzycznej – 28,6 mld, przy czym należy pamiętać, że zarówno filmy, jak i muzyka są na fali wznoszącej.

Już w 2022 r. 70 proc. gier wideo sprzedawano wyłącznie dzięki dystrybucji cyfrowej – czy to na platformie Steam, z której korzystają użytkownicy komputerów, czy w przeznaczonych dla odpowiednich konsol do gier wirtualnych sklepach. Produkcje AAA, czyli potencjalne wysokobudżetowe hity (jak zeszłoroczny „Alan Wake II"), coraz częściej pozbawiane są fizycznych wydań, gdyż jest to, najzwyczajniej w świecie, nieopłacalne dla wydawców – ceny pudełek są niższe, marże sklepów wyższe, a zwrot nie jest gwarantowany.

Debiutująca właśnie na rynku konsola do gier PlayStation 5 Pro jest monumentalnym symbolem tej zmiany – w bazowej wersji sprzedaje się ją bez napędu pozwalającego odtwarzać gry i filmy z płyt Blu-ray. Koniec z płytami pod choinką i transakcjami pod blokiem?

W ubiegłym roku gruchnęła wieść, że amerykańska sieć sklepów Best Buy planuje wycofać ze sprzedaży wszystkie fizyczne nośniki z filmami (w tym serię autorskich steelbooków, czyli limitowanych metalowych pudełek), a także znacznie ograniczyć sprzedaż gier. Proces ograniczania nakładów trwał już od dłuższego czasu, lecz jego owoce mamy zebrać dopiero w kolejnym pięcioleciu.

Działy z grami i filmami w popularnych dyskontach stają się coraz mniejsze, co jest mało zaskakującym odzwierciedleniem odbiorczych praktyk. W przypadku gier mówimy o owocach ekspansji samego medium w obrębie głównego nurtu i zarazem o pewnym paradoksie. W końcu kulturowe znaczenie medium jest nierozerwalnie związane z jego rosnącą popularnością wśród masowej publiczności. Ta jednak, z definicji niezbyt sentymentalna, coraz częściej wybiera wygodę.

Tymczasem w Polsce

Nie da się oczywiście opowiadać o „śmierci kolekcjonerstwa" bez mówienia o wyjątkach i bez przyjęcia do wiadomości,

PULP FICTION. LIMITOWANA EDYCJA KOLEKCJONERSKA

DOMENA PUBLICZNA X4

Sto milionów dolarów? Dusza Marsellusa Wallace'a? Święty Graal? Jeśli jeszcze nie wiecie, co było w walizce z „Pulp Fiction", spieszymy z odpowiedzią. Było w niej... „Pulp Fiction". Kolekcjonerskie wydanie arcydzieła Quentina Tarantino wygląda niewinnie, ale pozory mylą. Za film na płycie Blu-ray, dokument z planu oraz walizeczkę zapłacicie około 650 złotych.

TETRIS Z AUTOGRAFEM

Jeszcze do niedawna „Tetris" był najlepiej sprzedającą się grą wideo w historii (palmę pierwszeństwa stracił na rzecz „Minecrafta"). Wciąż jednak pozostaje jedną z najdroższych. Przynajmniej w rzadkiej wersji na konsolę Sega Mega Drive, opatrzonej autografem twórcy, Aleksieja Pażytnowa. Ktoś ma wolny milion dolarów?

AMAZING FANTASY #15

Kiedyś bestseller, dziś – biały kruk. Tytuł „Amazing Fantasy #15" z wczesnych lat 60. brzmi tajemniczo. Jest to jednak pierwszy komiksowy zeszyt, w którym do walki ze złem i niegodziwością stanął Spider-Man. Sami rozumiecie, skąd te 3,5 mln dolarów dolarów za doskonale zakonserwowany egzemplarz.

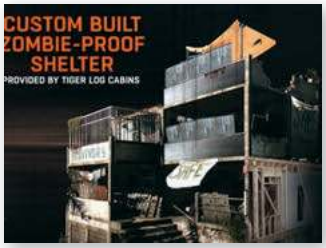

DYING LIGHT. EDYCJA APOKALIPTYCZNA

Z żywymi trupami nie ma żartów. By przetrwać apokalipsę zombie, potrzebujecie nie tylko dobrej gry wideo, ale też noktowizora, metalowych pudełek na prowiant oraz kursu szybkiego ganiania po mieście. No i oczywiście porządnego schronu. Wszystko to oferował wrocławski Techland za jedyne 250 tys. funtów. Chętni się nie znaleźli. © MW

że preferencje kulturowe nowego pokolenia to w zasadzie *terra incognita*. Weźmy lokalny rynek muzyczny, którego dochody wyniosły w ubiegłym roku 671 mln złotych. To o niemal 18 mln więcej niż w poprzednim roku. I choć na lwią część tego wyniku pracuje dystrybucja cyfrowa (stanowiąca aż trzy czwarte całej sprzedaży), to dla przykładu sprzedaż płyt winylowych stale rośnie i obecnie wynosi ponad 40 proc. (sic!) wszystkich nośników fizycznych.

Magdalena Lemańska z magazynu „Forbes" zauważyła, że zarówno płyty CD, jak i winyle są w tym układzie przede wszystkim przedmiotami kolekcjonerskimi. Ponieważ większość nabywców nie posiada nawet sprzętów do ich odsłuchu, ich wartość jest wyłącznie symboliczna.

Jeśli rozmyślnie pomijam kwestię literatury, to chyba dlatego, że otchłań ziejąca pomiędzy kulturowym oraz symbolicznym znaczeniem fizycznych wydań jest w tym przypadku największa. Nawet za niedawnym sporem wydawców z Legimi stoi przecież wielka tradycja prywatnego bibliotekarstwa.

„Rozpakowuję swoją bibliotekę – pisze Benjamin. – To właśnie czynię. Książek nie układam jeszcze na półkach, nie tknęła ich dotąd otumaniająca nuda porządku. Zapraszam cię w sam środek chaosu roztrzaskanych skrzyń, w powietrze nasycone zapachem wiórów, na podłogę zasypaną podartym papierem. Zapraszam cię, byś stanął ze mną wśród tomów, które – po dwóch latach wegetowania w mroku – znów ujrzały światło. Dziel ze mną ten nastrój – nie elegijny, lecz pełen oczekiwania".

Licencja na użytkowanie

Polska gra „Dying Light", w której dziesiątkujemy krwiożercze zombie i fikamy koziołki po ulicach, doczekała się wyjątkowej edycji kolekcjonerskiej. Za jedyne 250 tys. funtów, oprócz gry, figurki oraz limitowanej edycji słuchawek, mogliśmy otrzymać gogle noktowizyjne, lekcje tzw. free runningu (zwanego też parkourem), wycieczkę po studiu deweloperskim, a także wybudowany przez firmę Tiger Log Cabins... schron na wypadek epidemii żywych trupów. Nie wiadomo tylko, gdzie miałby stanąć, no bo przecież nie w Puszczy Kampinoskiej.

Ostatecznie nikt się na schron nie szarpnął. Podoba mi się jednak ten eksces – zwłaszcza jako symboliczny pomost między istotą popkultury a jej fizyczną reprezentacją. Kiedyś bowiem filmy i gry miały swoją fakturę, swój zapach i kształt. Dziś żyjemy w erze licencjonowanych produktów kultury, które zamieniły stan posiadania w wartość umowną. Bez względu na to, czy mówimy o streamingu, czy o sklepach z wirtualnymi dobrami, większość podmiotów handlujących kulturą użycza nam jedynie licencji na użytkowanie tychże produktów.

W praktyce oznacza to tyle, że pod względem prawnym nic nie należy do nas, nawet jeśli nabywamy to „na własność" w rozmaitych cyfrowych sklepach i bibliotekach, albo za pośrednictwem subskrypcji. Ograniczenia mają tu charakter technologiczny (dla przykładu: odgórne decyzje o zamykaniu serwerów czynią część naszego „dobytku" całkowicie bezużytecznym) lub wydawniczy (patrz: stała rotacja tytułów w popularnych serwisach streamingowych). I choć taki system ma swoje plusy (stale ulepszane, rozwijane i naprawiane na długo po premierze gry wideo są dziś nazywane, nie bez powodu, „usługami"), to w istocie powoli wymazuje zjawisko oddolnej ochrony i konserwacji tekstów kultury.

A przecież o to w nałogowym kolekcjonowaniu chodzi. Tożsamość i autoekspresja to jedno, ale punktem dojścia w całej tej wędrówce są najczęściej same kolekcje. Świadectwa czasów, w których wszystko było odrobinę prostsze. W których sednem naszej intymnej relacji z kulturą była jej nieodwołalność, „kompletność" doświadczenia. A na swój intymny związek z kinem, literaturą czy grami najzwyczajniej w świecie mieliśmy papiery.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

STANISŁAW

Mancewicz: *Obiecaj!*

Utkwiła nam w pamięci obietnica nowego prezydenta Ameryki, który po ogłoszeniu wyników wyborów powiedział: „naprawimy wszystko". Szerokość tej zapowiedzi skłania nas do fantazjowania. Chcielibyśmy oto, by wydarzyło się coś, o czym marzymy od dzieciństwa, by ktoś, może to być prezydent USA, obiecał nam solidną naprawę, by mianowicie sprawił, że Ziemia na powrót płaską będzie. By uderzył pięścią w stół i rzekł mocno: Make Earth Flat Again! I by stało się to szybko, jak najszybciej.

Oczywiście, w Stanach, mimo rzesz zamieszkujących ten kraj płaskoziemców, federalne spłaszczanie planety nie jest na razie możliwe. Najbliższy współpracownik nowego prezydenta, E. Musk, zajmuje się podbojem Kosmosu i kulistość Ziemi jest ważnym elementem kosztorysowania jego rakiet. Ale trend jest dobry, głównym lekarzem USA – i nie jest to żarcik – zostanie zaraz R.F. Kennedy junior; on nie ma hamulców, to człowiek nieprzekonany do mikrobiologii.

Można by teraz rzec, że przecież jesteśmy w Polsce, i dalibóg, Ameryka nas nie za bardzo obchodzi. Tu nikt za kulistość nie będzie umierał, więc hasło MEFA może nabrać nośności, a nawet państwowego wsparcia. Jak wiemy, nie takie rzeczy nasze państwo dotowało w ostatnich latach. Czapeczki z napisem MEFA albo koszulki „Krągłe jest złe" można by zacząć produkować tu i teraz, gdyby nie drobnostka – jedyny spec od tego typu odzieży siedzi dziś w areszcie i bodaj prędko nie wyjdzie.

Chyba że wyjdzie. Bo jeśli idzie o wsadzanie i wypuszczanie, to Polska stała się – popatrzmy – krajem dość rozrywkowym. Raz się wsadza, raz się puszcza, znów wsadza, znów puszcza i tak w kółko. Są już tacy rodacy, którzy nie wiedzą, czy siedzą, czy nie siedzą, czy siedzieli, czy oto dopiero siedzieć pójdą. O tym, czy ktoś siedzi bądź nie, decydują dziś, zdaje się, sondaże opinii publicznej, a robi się je szybciej, niż pracuje wymiar sprawiedliwości.

Nie są to wszystko razem ani czcze żarty, ani głupawe pogwarki. Zewsząd słychać bowiem poważne zapowiedzi rewolucji mas, końca świata, końca starych elit, ogłasza się narodziny elit zupełnie nowych, ale – co ciekawe – niepiśmiennych. Jest to także moment końca edukacji, jaką znamy, słowem – kończy się era uniwersytetów, nawet tych słabych, a nadchodzi era – tak uważamy – paczkomatów. Paczkomat jako placówka edukacyjna – wydaje się to realne. Powiada się, że nowa era w Ameryce uruchomi także nową erę na obrzeżach świata widzialnego, w pradolinie Wisły i w szalonym dorzeczu prawobrzeżnej Odry. Tutejszy solidny sceptycyzm wobec tzw. pewników i niezmienników w przyrodzie na pewno się w latach najbliższych, a może wręcz miesiącach rozwinie, czy, jak kto woli, nabierze rumieńców. Lubimy ten rumieniec.

Radujemy się, gdy polski polityk prowadzi rumianą kampanię, pełną dziwnych widzeń Kosmosu, bombastycznych pomysłów dobrych dla każdego, zapowiadającą wpłaty, wypłaty, szalone dotacje, darowizny, promocje, podwyżki i obniżki oraz zakupy. Nudne akcje przeciwko nadmiernym wydatkom, wystąpienia obnażające niepohamowane wydatki poprzedników u władzy, uważamy za chybione, wręcz groźne. To nieświadome promowanie dziadostwa, to upokarzanie ludzi i kraju. Niebawem ruszy kampania wyborcza i wypada poradzić każdemu, kto marzy o wygranej – wydawaj, płać za wszystko każdemu, wypłacaj sobie i innym, nigdy nie mów „nie wiem", i nigdy nie mów „wiem", mów, że Ziemia jest płaska, mów też, że jest kulą. Obiecaj i obiecuj. Kto nie obiecuje, ten nie rządzi. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
WYSTAWA CZASOWA
(po) ŻYDOWSKIE
Sztetl Opatów oczami Majera Kirszenblata
polin.pl
17.05-16.12.2024 r.
Organizator:
Współorganizator:
Honorowy Patronat:
Partner:
Mecenasi wystawy:
Fundacja CBRAT ku pamięci Josepha i Miriam Ratnerów
Wystawa powstała dzięki wsparciu:
Jankilevitsch Foundation
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Sponsor strategiczny Muzeum:
Oficjalny przewoźnik Muzeum:
Partnerzy medialni:
RE KLAMA

REKLAMA

Dajemy słowo.
PIW
www.piw.pl
Nasze książki polecają się na Święta
Yasunari Kawabata Dawna stolica
Italo Calvino I na tym koniec
Louis-Ferdinand Céline Wojna
Opowieści niesamowite z języka czeskiego
Italo Calvino Nasi przodkowie
Laurence Sterne
Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy
KAPRYSY I ZYGZAKI
THÉOPHILE GAUTIER
KAFKA
Reiner Stach
Lata decyzji 1910–1915
PRAWDZIWA HISTORIA CZEKOLADY
SOPHIE D. COE, MICHAEL D. COE
MAGICZNY ROK 1497
WOJCIECH IWAŃCZAK
KATARZYNA STANNY
TERESA WILBIK i JANUSZ STANNY
W KRÓLESTWIE ILUSTRACJI